

Z dziejów walk o niepodległość Polski: 1887–1918

Materiały dla nauczycieli

[Wszystkie teksty są publikowane z pominięciem przypisów autorskich]

„Nie chciałem pozwolić, by w czasie, gdy na żywym ciele naszej ojczyzny miano wyrębać mieczami nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przy tym brakowało [...], zabrakło szabli polskiej”.

[Józef Piłsudski, *Rozkaz w pierwszą rocznicę wojny*, 5 VIII 1915 r. [w:] *idem, Pisma zbiorowe*, t. 4, Warszawa, KAW, 1990 (reprint wydania z 1937–1938)]

„Jedynie pięść uzbrojona może wydrzeć caratowi ustępstwa, jedynie ona gwarantuje ich utrzymanie. Niepodległa demokratyczna republika polska leży w odległości uzbrojonego ramienia”.

[Wypowiedź Kazimierza Sosnkowskiego na zebraniu założycielskim Związku Walki Czynnej, cyt. za: J. Stachiewicz, *Początki Związku Walki Czynnej*, „Niepodległość” (Warszawa) 1933, t. 2]



1. „Obrona czynna polega nie na powstaniu, ale też i nie na zarzekaniu się powstania”.

[Zygmunt Miłkowski, *Rzecz o obronie czynnej i o skarbie narodowym. Wybór pism*, oprac. Piotr Koryś, Kraków, Ośrodek Myśli Politycznej, 2009]

Apatia jest rodzajem choroby umysłowej, bardzo niebezpiecznej, będąc bowiem przedsionkiem zwątpienia o słuszności sprawy, której się służyło, dla której się pracowało i poświęcało, prowadzi do opuszczenia rąk, przywykania do niewoli i zatruwania charakteru narodowego jadem, zmieniającym chemicznie obronę wszelaką na ucieczkę tchórzliwą, nadzianą wybiegami, osłaniającymi przed zsyłką, katorgą, przed szubienicą.

Ucieczka ta moralna, służąc ku bałamuceniu opinii publicznej, nie służy bynajmniej ku obronie chociażby najbierniejszej, najbardziej niewolniczej. Ta ostatnia wymaga dyrektywy pewnej, albowiem szykować się musi wedle wskazówek, wysnuwanych z wrażenia pierwotnego, w którym postrach jest doradcą jedynym. Wywiązują się stąd poglądy i doktryny, na których panika serwilistyczna piętno swoje wyciska. Postrach jest doradcą jak najgorszym – jest zarazą, co się od człowieka człowiekowi udziela i krew narodową zakaża.

Przedsiębranie pod wpływem onego obrony, wydaje adwokatów bojaźni, szeregujących się w zastępy takich stańczyków, którzy z upływem czasu i rozwojem doktryny rozpadają się na różnice i odcienia: wsteczne i postępowe, arystokratyczne i demokratyczne, klerykalne i bezwyznaniowe, wszystkie zamknięte w granicach parafii galicyjsko-lodomeryjno-krakowskiej, wszystkie nacechowane tego instynktu samozachowawczego rodzajem, którego wzór dają strusie, broniąc się za pomocą chowania głów od zagrażającego im niebezpieczeństwa. Obrona, na drodze takiej urabiana, urabia się na bierną – na ultrabierną, na rozpaczliwie bierną, na tak dalece bierną, że Polacy, wynajdując postrachy na samych sobie w terażniejszości, przeszłości i przyszłości, zrzekają się nie tylko praw, ale i aspiracji wszelakich, na podłoże dla zrzeczeń upatrują „trójlojalizm” i drogą rozumowania dochodzą do wniosków niegodnych narodu szanującego nieszczęścia własne. [...]

Do takich to wyników doprowadziła „obrona bierna”, zarówno dawniejsza, zaszczycona patronatem Stańczyka, jako też najnowsza, będąca wynikiem twórczości naśladowniczej, modelowanej pod hasłem galicyjskim, „Przy tobie panie [stoimy i stać chcemy]”, wedle wzorów Aleksandra Wielopolskiego i Aleksandra Świętochowskiego, ześrodkowujących patriotyzm polski w granicach



Królestwa Kongresowego, a zaprawnej gotowością do ustępstw, narzucanych przez państwowość rosyjską. Ustępstwa takie błędny utylitaryzm polityczny, niezawierający w sobie ani odrobiny twórczości, nakazuje.

Obrona przeto bierna, drogą utylitarnych z czci i godności ustępstw, dojść do poniżenia ostatecznego musi. Na szczęście nasze, skłonność do poniżania siebie nie tkwi w duszy narodu polskiego. Pojawia się ona sporadycznie w pewnych warstwach czy klasach społecznych, jako wynik doktryny na tle chorobliwym wylęglej. Najserdeczniejsi nasi w sferach carskich i cesarskich wiedzą o tym i niedowierzająco, jeżeli nie wzgardliwie biernościowe służby polskie przyjmują. [...]

[...] Włochy do swobody i zjednoczenia nie doszłyby nigdy, gdyby się wobec panowania obcego „w granicach prawem przepisanych” trzymały. W granicach owych stanowiły one „wyraz geograficzny”; wyszedłszy z takowych, dlatego że wyszły, za to, że wyszły, uzyskały wolność i niepodległość. Czynnie się broniły i panowania obcego się pozbyły. Jesteśmyż od Włochów tak dalece gorsi, podlejsi i nikczemniejsi, że się na obronę tegoż lub podobnego rodzaju zdobyć nie możemy? Jesteśmyż z innej aniżeli Niderlandczycy, Irlandczycy, Grecy, Serbowie ulepieni gliny, z innej niż Bułgarzy nawet, których Moskwa, gdy o usprawiedliwienie wyzwolenia ich dla jej na Półwyspie Bałkańskim korzyści chodziło, do czynnej wobec panowania tureckiego obrony wzywała?

Obrona czynna, w jak najgorszym przez przeciwników swoich świetle przedstawiana, wyklucza bezwarunkowo rzecz jedną: tchórzostwo, przymiot w stopniu najwyższym ujemny; nie wyklucza atoli bynajmniej ani serca, ani głowy. Obecność w niej uczucia, przebywającego w sercu, świadczy się miłością, wśród miłowań wszelakich najpoważniejszą i najszczytniejszą: miłością Ojczyzny. Rozumu, mieszczącego się w głowie, najpierwszy i najkardynalniejszy [przymiot], do zapewnienia sobie skuteczności w obronie, polega na: zaopatrywaniu się w środki odpowiednie, na tworzeniu i zużytkowywaniu właściwie takowych.

[...]

Obrona czynna polega nie na powstaniu, ale też i nie na zarzekaniu się powstania. Czemuż: na niezarzekaniu się?

Najpierwszą na zapytanie to cisnącą się, a ogólną, wszechczłowieczą odpowiedzią jest:

Dla nieupodlenia ducha narodowego – dla szanowania w człowieku człowieka, dla nieznížania go do znaczenia zwierzęcia.



2. O idei Skarbu Narodowego.

[Zygmunt Miłkowski, *Rzecz o obronie czynnej i o skarbie narodowym. Wybór pism, oprac. Piotr Koryś, Kraków, Ośrodek Myśli Politycznej, 2009*]

[...] Mówiąc, odnośnie do tej, jaka nam jest potrzebną, obrony: „środki”, mówimy: „pieniądze”. W zalecaniu obrony czynnej kwestii pieniężnej pomijać milczeniem nie możemy. Dotykając zaś jej, poruszamy materię Skarbu Narodowego **Polskiego**. Sprawa SNP, dawno omawiana, na porządek dzienny w spotęgowaniu wprowadzoną została w chwili zaprojektowania w zaborze pruskim banku ratunkowego.

Ratujmy się, o! ratujmy! Ratujmy ziemię polską przez Niemców zagrożoną, ale opierając ratunek ten cząstkowy i specjalny o rezerwę, przeznaczoną na popieranie akcji etycznej i politycznej, rozwiniętej na Polskę całą „od morza do morza”, jak się o niej z przekąsem ugodowcy, dziś członkowie „Towarzystwa popierania pracy społecznej”, odzywają. Sprawa polska zagrożoną jest, zwalczaną nie tylko przez Niemców i nie w tym tylko jednym punkcie. Wszędzie, nawet poza granicami Polski, nawet za Oceanem Atlantyckim, sposobami wszelkimi, jako jeden z twórczych na kuli ziemskiej punktów, ratować ją należy.

Potrzeba założenia na cel ten SNP nasunęła się sama przez się.

Skarb taki posiadają Irlandczycy. [...] Podtrzymuje on akcję agitacyjną, dzięki której skołatana i za rozbitą już uważana nawa irlandzka pełnymi ku przystani dopływa żaglami. Czuwajmy nad powiększeniem i uowocnieniem coraz to szerszym podobnej instytucji naszej. Niech ona nas ogniskuje, skupia, gromadzi w jeden zastęp obronny, niech środków na uświadamianie o znaczeniu i zadaniach Polski, o prawach i obowiązkach Polaków, na zaopatrzenie nas w oręż do walki za Ojczyznę nam dostarcza – niech w ogóle zachęca nas do czynów, które by sprawę polską z gnoju, w jaki ją obrona bierna wepchnęła, na jasną, polityczną, Polski godną widownię wyprowadziły.

[...]

Porównanie obrony jednej z drugą niewątpliwą czyni wyższość czynnej nad bierną. Bierna do zgniłego prowadzi rozkładu; czynna życie podtrzymuje, energię pielęgnuje, siły urabia i hartuje. Dla utrzymania sił w skupieniu koniecznym jest ogniskowanie takowych. Ku temu nic nie nadaje się lepiej, aniżeli taka jak Skarb Narodowy instytucja.

Skarb Narodowy, będąc dotykającym patriotyzmu polskiego świadectwem, byłby zarazem rękojmią działalności onego na dziś i powodzenia na przyszłość.



Ileż to okazji przyjaznych opuszcza się dla tej jeno przyczyny, że braknie środków do korzystania z takowych! Ileż to sił żywych marnuje się, dlatego że – zasobom własnym pozostawione – działać nie mogą!... Na dziś na przykład, ze Skarbu Narodowego, za pośrednictwem organizacji odpowiedniej, udzielać by się mogły premie stosowne tym spomiędzy nauczycieli i nauczycielek wiejskich, którzy by w dzieci polskich pojęcia i uczucia obywatelskie wszczepiali. Czy mógłby był wychodzić „Polak”, gdyby w procentowych z SN zasiłkach, regularnie organizacji politycznej udzielanych, nie posiadał rezerwy, umożliwiającej, jeżeli nie wydawanie, to kolportowanie, to przekradanie do Królestwa pisemka, które w porozbiorowych Polski dziejach odegrało rolę historyczną?... To samo już, to jedno, gdyby SN na co innego nie służył, dowodził pożyteczności onego i potrzeby utrzymywania nadal instytucji, w czynnej sprawie polskiej obronie zasłużonej.

[...] Cała Polska, w dzielnicach od niej przez trzy mocarstwa oderwanych, wymaga zaprowadzenia nielegalnej organizacji narodowej, mającej obowiązek czuwania nad edukacją publiczną, celem: zachęcania nauczycieli, wskazywania im sposobów odpowiednich, zaopatrywania ich w książki i wyszukiwania wśród nich takich, co za trudy swoje i poświęcenie na wynagrodzenie zasługują. Byłoby to kitem, służącym do spajania w społeczeństwie obrony czynnej, za pomocą cichego szerzenia onej.

Z prześladowaniem edukacyjnym łączy się prześladowanie religijne, wręcz sprzeciwiające się przenikającemu istotę ducha polskiego równouprawnieniu religijnemu. Prześladowanie to, będące w zaborze rosyjskim ogólnym, najdotkliwiej uczuć się daje na Podlasiu w Kongresówce, w całej Krajów Zabrzanych (Litwa i Ruś) rozciągłości, odnośnie do wyznania katolickiego i kultury polskiej. [...]

Dostarczanie środków na [...] cele, których wymienianie miejsca by nam – ze względu na odnoszenie się ich do wszelakich a tak mnogich i tak rozmaitych postaci, pod jakimi nas Moskale i Niemcy unicestwić usiłują – zajęło za dużo [tak w oryginale], stanowiłoby zadanie Skarbu Narodowego wewnątrz Polski. W sposób ten oddziaływałyby on na trzymanie się Polaków przy ziemi rodzinnej i, celem spotęgowania działalności we względzie tak tym, jak każdym innym, obronę wzmacniającym, poruszałyby opinię publiczną na drodze czy to sądowej, czy publicystycznej, zarówno w kraju, jak za granicą.

Nie potrzeba dowodzić, jakie ta ostatnia ma znaczenie i jaki wywiera wpływ. Dość będzie, gdy powiemy, a raczej przypomnimy, że na kaptowanie głosów prasy europejskiej gabinetu mocarstw wszystkich wydają sumy ogromne. Prasa jest sprzymierzeńcem, którego się poszukuje i pozyskuje. Rosję miliony kosztowała



kampania przeciwko emigracji polskiej po r[oku] 1863. My ani jednego nie posiadamy świstka, co by sprawy naszej stale, obowiązkowo bronił. Podczas kiedy Moskale i Niemcy opinię publiczną światową bałamucają swobodnie, w obronie naszej kiedy niekiedy ten lub ów dziennik odzywa się z łaski. Czy tak być powinno? Czy we względzie tym na łaskę, na to, że publicysta jakiś o Polsce sobie przypomni, spuszczać się można? [...]



3. Pomnik Murawiowa.

[Józef Piłsudski, *Odezwa na odsłonięcie pomnika Murawjewa w Wilnie (Wydana w tajnej drukarni „Robotnika”*) [w:] *idem, Pisma zbiorowe*, t. 1, Warszawa, KAW, 1990 (reprint wydania z 1937–1938)]

W niedzielę Wilno będzie świadkiem niezwyklej parady. Roje pijawek, wysysających krew naszą – popi i czynownicy moskiewscy – obchodzić będą nadzwyczajną dla nich uroczystość – odsłonięcie pomnika Murawjewa-Wieszatiela. To ich święto, słusznie bowiem składają oni hołd wdzięczności katowi Litwy. On pokrył szubienicami kraj cały, mordem i łupiestwem ujarzmił wydobywającą się z niewoli Litwę – oni z jego czynów korzystają, zbierają obfite żniwo z jego krwawego zasiewu. Niejeden z nich świnie by pasał u siebie, tutaj dzięki Murawjewowi jest panem życia i mienia podbitej ludności. Każda kropla krwi, tak obficie przelanej przez Murawjewa, dla nich stała się bryłą złota, wyciśniętego z naszej pracy. Nie dziwny się więc, że złodzieje oddają cześć złodziejowi, że ci, którzy na nas bat trzymają, wielbią tego, co im bat ten w ręce oddał.

Dla nas ta bryła z kamienia i spiżu, ten pomnik jest piętnem niewoli, wyciśniętym przez cara na Wilnie. Murawjew kamienny urągać będzie naszej niedoli, jak ongi urągał żywy. Pomnik ten mówić nam będzie stale: „Otoczony jestem pogardą waszą i nienawiścią, a jednak stoicie przede mną w milczeniu, bo tak chce car i jego słudzy; nad miastem unosi się jeszcze opar z krwi przeze mnie wytoczonej, w powietrzu drgają jęki zamęczonych przeze mnie ofiar, na placach mającą szubienice, dzieła rąk moich, a wy to nowe upokorzenie znieść musicie, jak znosiliście tysiące innych, które się nam – panom waszym – zadać podobało”.

Lecz nie, niedługie już wasze panowanie! Bo oto lud pracujący, wyzyskiwany i uciskany przez swoich i obcych, budzić się zaczyna do życia i żądać od wrogów swoich rachunku za niewolę i upokorzenie. Pierwszymi, którym ten rachunek spłacić przyjdzie, będzie Murawjew i jego czciciele. Już teraz świętujący popi i czynownicy czują się bezpieczni tylko w otoczeniu policjantów i żandarmów, pod osłoną bagnatów i szabel. A przyjdzie czas, gdy nic ich od kary uchronić nie zdoła. I pod promieniami wschodzącego nad Polską i Litwą słońca swobody skruszeje i rozsypie się pomnik niewoli, bo jak mówi nasz hymn robotniczy:

Co złe, to w grzyby się rozleci, Co dobre – wiecznie będzie żyć!

Polska Partia Socjalistyczna.

Listopad, 1898 r.



[O polityce Michała Murawiowa na Litwie w dobie powstania styczniowego
zob.– tekst *Cień Murawiowa* w pierwszej części materiałów].

Materiały dla
nauczycieli



4. „Ucisk narodowy wykoszlawia wszelkie przejawy społecznego życia”.

[Józef Piłsudski, *Niewola* [w:] *idem, Pisma zbiorowe*, t. 1, Warszawa, KAW, 1990 (reprint wydania z 1937–1938) (pierwodruk: „Robotnik”, 1896, nr 19)]

[...] Tęgo rodzaju ujemnych stron niewola daje tyle, że na zapisanie wszystkiego nie starczyłoby, jak to mówią, i wołowej skóry. Gdziekolwiek zaś i jakkolwiek ucisk się zaznacza, zawsze między innymi krzywdzi on nas materialnie, zuboża i rujnuje. Ucisk narodowy wykoszlawia wszelkie przejawy społecznego życia, w których przecież i robotnicy biorą udział, i brać będą lub powinni brać, według sprawiedliwości. Niewola sprawia, że przejawy te są jakieś chorobliwe i nikłe, a to odbija się ujemnie na naszym poziomie umysłowym i zamożności. Literatura np. jest dziś najpotężniejszą dźwignią rozwoju społecznego we wszystkich krajach, a jakąż ona biedna i uboga u nas pod opieką carską! Bo czymże ją zapełnić, kiedy o kwestiach najżywotniejszych, najwięcej nas obchodzących cenzura zabrania pisać i coraz bardziej zacieśnia krąg spraw, które wolno poruszać. Nic więc dziwnego, że wobec takich pęt i knebla piśmiennictwo nasze stało się jałowym i płytkim.

Widzimy przeto, że niewola nie jest ciężarem urojonym, wysnutym z fantazji, ale uciska rzeczywistość i czyni życie ludzkie o wiele cięższym. Dla tych, którzy umieją oceniać tylko straty materialne, możemy powiedzieć, że ciężar jej da się obliczyć w rublach i kopiejkach zmniejszonego zarobku robotnika oraz spotęgowaną jego nędzą i śmiertelnością. Niewola nie jest również tym zwykłym wyzyskiem robotnika przez rząd, który ma miejsce we wszystkich samoistnych państwach, bo ponad ciężar tego wyzysku dorzuca ona jeszcze sobie właściwe olbrzymie brzemię materialnego zdzierstwa i ucisku. Dzieje się nam tak, jak gdyby komuś, uginającemu się pod ciężarem dźwiganego z trudem brzemienia, ktoś dorzucił nowy wielki ciężar i nadto spętał mu łańcuchem ręce i nogi oraz zakneblował usta, żeby nie krzyczał.

Niewola dla nas jest dodatkowym wyzyskiem ponad zwykły kapitalistyczny i państwowy. Ona sprawia, że środki nasze, i bez tego szczupłe, stają się jeszcze szczuplejsze, życie nędzniejsze i krótsze, a praca większa; ona rzuca nas na łaskę i niełaskę wyzyskiwaczom kapitalistycznym, którym zapewnia opiekę i bezkarność nadużyć.

Znieść wszelki ucisk i wyzysk to zadanie socjalizmu i hasło robotników wszystkich krajów. My zaś znajdujemy się w takim położeniu, że, chcąc się pozbyć wyzysku kapitalistycznego, musimy zacząć od niewoli politycznej. Bez niej bowiem



nie tylko bylibyśmy dziś zamożniejsi, mądrzejsi i szczęśliwsi: ona sprawia jeszcze to, że usiłowania nasze w celu poprawienia swego bytu nie osiągają należytego skutku i każdy krok naprzód trzeba okupywać wielkimi ofiarami, a nieraz krwią pomordowanych przez dzikie żołądactwo współbraci.

Stając dziś zawsze i wszędzie w obronie naszego bytu i godności, walcząc o lepsze warunki pracy, nigdy też zapominać nie powinniśmy, że dopiero z opadnięciem kajdan niewoli, nałożonych na nas przez despotyczny rząd najezdniczy, rozpocznie się era szybkiego postępu ku szczęśliwej przyszłości bez troski i krzywdy.



5. Wystawa podłości o różnych barwach.

[Józef Piłsudski, *Odezwa na przyjazd cara Mikołaja II do Warszawy* [w:] *idem, Pisma zbiorowe*, t. 1, Warszawa, KAW, 1990 (reprint wydania z 1937–1938)]

Towarzysze! Robotnicy!

Nie pierwszy to raz noga carów moskiewskich ma deptać bruk Warszawy. Od stu lat, jakby na stwierdzenie swego panowania nad nami, carowie zdobywali się nieraz na odwagę spojrzeć w oczy buntowi, który u nas zdawał się obrać sobie stałe siedlisko. Lecz po raz pierwszy Warszawa ma spotkać cara, nie jako okuta w łańcuchach i wstrząsająca nimi groźnie buntownica, lecz jako uległa niewolnica, pokornie leżąca u stóp swego pana.

Tak przynajmniej zapowiadają ci, którzy wyzbywszy się ostatków godności ludzkiej w wyobraźni już zmieniają swą – pokorę na ruble, order i posady. Gwałtem chcą zmusić wszystkich, by okrzykami hucznymi zagłuszyli jęki, wydobywające się z ziemi, przesiąkniętej krwią bohaterów, a świątecznym strojem i wesołym wyglądem rozchmurzyli czoło kata, wstępującego do grodu męczenników – jego ofiar. Wisłę, której fale nieraz wzbierały łzami i krwią mordowanej przez carskie żoldactwo ludności, dziś, jakby na urągowisko poległym za wolność Polski synom, uwieczniono napisem: „Boże caria chroni!”.

Car przejedzie po ulicach Warszawy, otoczony nie wojskiem i kozakami, jak zwykle, lecz szeregami oddanych mu Polaków. Nieswojsko mu będzie w tym niezwykłym otoczeniu, lecz złoży „ukochanemu monarsze” w ofierze swój honor, godność i sumienie. I w imieniu narodu opowiedzą carowi, jak Polska jest szczęśliwą pod jego panowaniem. [...]

Towarzysze! Nie mamy dziś możliwości w imieniu wyzyskiwanych przemówić do cara takim językiem, który jedynie jest dla niego zrozumiałym – językiem siły i przemocy. Musimy jeszcze pozostać niemymi świadkami szopek powitalnych i służalstwa tych, co cisnąć się będą dla okazania carowi swej wiernopoddańczości. Patrząc na tę wystawę podłości o różnych barwach i odcieniach, możemy tylko z dumą wskazać na nasz sztandar czerwony, gdzie ugodowe błoto nie sięga.

W socjalizmie, w ruchu robotniczym, spoczywa dziś ta siła, co skruszy kajdany najazdu i wyzwolenie przyniesie społeczeństwu. I choć nie witamy dziś cara ani bombą, ani z bronią w rękę, zarówno on, jak i nowi polscy satelici jego czują dobrze, że mają w nas zdecydowanego wroga. [...] Nieugięci wobec zjednoczonych wrogów naszych, z tym większą energią walczyć, przygotowywać i skupiać swe



siły będziemy, aż nadejdzie wreszcie chwila, kiedy na ulicach Warszawy zagrzmi
potężny okrzyk powstającego ludu:

Śmierć despotom! Precz z niewolą!

Niech żyje wolny polski **lud!**

Centralny Komitet Robotniczy.

Warszawa, 30 sierpnia 1897 r.



6. „Mamy szczerze przekonanie, że niewola nie upodliła charakteru wszystkich”.

[Józef Piłsudski, *Odezwa do ogółu społeczeństwa w sprawie pomnika Mickiewicza w Warszawie* [w:] *idem, Pisma zbiorowe*, t. 1, Warszawa, KAW, 1990 (reprint wydania z 1937–1938)]

[...] Mamy szczerze przekonanie, że niewola nie upodliła charakteru wszystkich i że znajdują się jeszcze uczciwi Polacy i Polki, do których sumienia głos nasz trafi. Do nich też zwracamy się dziś z wezwaniem, by razem z nami stanęli w obronie czci Mickiewicza i godności naszego narodu.

Stała się rzecz dziwna. Oto w kraju, gdzie rozpanoszyła się najohydniejsza niewola i ucisk, wznosi się pomnik człowieka, co słowem, pieśnią i czynem rwał okowy, ciężące ojczyźnie; w mieście, gdzie dzieci karzą za mowę polską, czci się urzędownie największego poetę polskiego! Czyżby nagle opadły więzy, nas krępujące? Nie! Dziwne to zjawisko zawdzięczamy politycznemu kuglarstwu naszych handlarzy patriotyzmu, dla rządu jest ono – jak mówi żandarm Margrafski – uroczystością pokojową, tak! – pokojową, bo godzi patriotyzm polski z niewolą moskiewską. Wyraz „naród” wykreślono ze słownika polskiego, bo może przypominać Niepodległość narodu, zastąpiono go nowym – „rodacy”, jak gdyby Polacy, tu w sercu Polski, byli gośćmi z dalekiego kraju.

I nie naród stanie przed pomnikiem Mickiewicza w chwili, gdy odsłonią jego spiżowe oblicze, ale „rodacy” z biletami carskiego pozwolenia, patriotyczni cherlacy z sercem oziębłym, obojętną twarzą. Swą nicosć duchową chcieli pokryć szumnymi frazesami, a gdy Petersburg brutalnie kazał im milczeć, z powagą uroczystych durni zapewniają, że najwymowniejszym słowem bywa milczenie

I nie zadrży pomnik na widok tych skarłałych potomków wielkiego narodu, spiżowy Mickiewicz nie odwróci od nich swego oblicza, ale lud robotniczy – ta żyjąca część naszego narodu – nie zniesie w milczeniu tej zniewagi, nie da sobie ukraść Mickiewicza.

Uroczystość mickiewiczowska nie może być pokojową, ale musi być przeciwrządową, jak przeciwrządowym jest duch Mickiewicza. Zbierzemy się więc publicznie bez carskiego zezwolenia i wbrew carskim siepaczom uroczystym pochodem ruszymy przed pomnik, by tam zaświadczyć, że nie naród spodłał, ale jego urzędowi przedstawiciele, że lud polski żyje, chce się dźwignąć, uszczęśliwić. Tylko w takich warunkach bez pieczętki rządowego pozwolenia najbardziej milcząca demonstracja godnie uczci Mickiewicza i wystarcza, by intencje jej i znaczenie były



zrozumiane powszechnie. I do udziału w niej nawołujemy wszystkich tych, których uczuć nie stępiła niewola, którzy nie splamili swego sumienia, jako handlarze patriotyzmu.

Patriotyzm polski, jeśli ma doprowadzić do Niepodległości narodu, musi być przeciwrządowym, rewolucyjnym, musi czerpać życiodajną siłę w politycznej świadomości mas szerokich. Te masy żyć zaczęły, rosną, potężnieją, i dla uczciwych Polaków i Polek nie masz potrzeby oglądać się za innym przewodnikiem dla siebie. Spójrzcie raz nareszcie prawdzie prosto w oczy i przyznajcie, że proletariat dziś stanowi serce narodu, on będzie wodzem narodowego powstania i tylko w jego szeregach miejsce dla tych, którzy szczerze ukochali ideały wolności.

Nie boimy się pozostać sami, a jeśli zwracamy się dziś do was z tym wezwaniem, to dlatego, by nie powiedziano, że i my milczeliśmy wtedy, kiedy do was mówić należało. Czyż nie jesteście w stanie zrozumieć hańbiącej komedii, odgrywanej publicznie przed waszymi oczyma? Czyż nam tylko przypadło w udziale czuć cierpienia całego narodu? Czyż głos nasz wśród was ma pozostać głosem wołającego na puszczy?

Centralny Komitet Robotniczy.
Warszawa, 20 grudnia 1898 r.



7. Prasa podziemna.

[Józef Piłsudski, *Bibuła* [w:] *idem, Pisma zbiorowe*, t. 1, Warszawa, KAW, 1990 (reprint wydania z 1937–1938)]

[...] W lipcu (dnia 12) 1894 r. z tajnej drukarni PPS ukazał się pierwszy numer „Robotnika”, którego dotąd wyszło 52 numery, tj. pięć razy więcej w porównaniu z „Narodną Wolą”, organem najsilniejszej z doby powojennej organizacji rewolucyjnej w państwie cara do niedawnych czasów. Dotąd jedynie organizacja żydowska Bund poszła w ślady PPS i potrafiła urządzić tajną produkcję bibuły w kraju. Inne organizacje, tak polskie, jak rosyjskie, od czasu do czasu robią próby w tym kierunku, próby rzadkie, z efektem krótkotrwałym. Do takich prób należy „Pochodnia” narodowo-demokratyczna, kilka rosyjskich pisemek rewolucyjnych, wysypujących się zwykle przy trzecim czy czwartym numerze. Druki pochodzenia krajowego dotąd są prawie monopolem PPS.

Stąd właśnie pochodzi fakt, że przy wypadkach, obchodzących ogół opinii publicznej, jak przyjazd cara, odsłonięcie tego lub owego pomnika, większe strejki lub poruszenia ludowe – najczęściej daje się słyszeć jedynie głos PPS. Inne organizacje – oprócz, jak powiedziałem, Bundu wśród Żydów – nie są w stanie sprostać temu zadaniu, nie są w stanie wypowiedzieć się publicznie z powodu tego lub owego zdarzenia w tym właśnie czasie, gdy zajmuje ono umysły ludzkie.

Fakt istnienia drukarni w kraju, stałe ukazywanie się różnych wydawnictw – „Robotnika” i odezów – wywarł w swym czasie głębokie i silne wrażenie na wszystkich, co czuli jakkolwiek chęć do walki z uciskiem rządowym.

Wśród sceptyków i „pozytywistów” panowało pewnego rodzaju zdumienie i oczekiwano z dnia na dzień wpadnięcia drukarni w ręce żandarmów. Wśród samych założycieli drukarni i „Robotnika” panował taki nastrój, że – jak opowiadał mi jeden z nich – nie oczekiwano, by można było bez wyspy dojść do dwunastego numeru pisma. Lecz bodaj nie omyłę się, gdy powiem, że najpowszechniejszym uczuciem było pewnego rodzaju entuzjazm i uznanie dla śmiałego przedsięwzięcia.

[...] W istocie żandarmi wściekali się ze złości i urządzali formalne polowania na nieuchwytnego Robotnika. [...] Żandarmi warszawscy próbowali okłamywać siebie i wyższą władzę twierdzeniem, że Robotnik jest wydawany za granicą, a druki, rzekomo krajowego pochodzenia, są przeszwarzowane z za kordonu. Mądry pułkownik Utgoff znalazł nawet, że papier, na którym wydrukowany jest „Robotnik”, zdumiewająco jest podobny do londyńskiego papieru, używanego



do zagranicznych wydawnictw PPS. Lecz wreszcie musiano się pożegnać z tą iluzją, raz po raz bowiem w numerach „Robotnika” znajdowały się nowiny z dnia wczorajszego, które fizycznie nie mogły tak prędko przebiec granicę i wrócić stamtąd w postaci zadrukowanego papieru. Wówczas drukarnia „Robotnika” stała się głównym celem nagonek żandarmskich. W przyszłości zapewne będzie znanym, jak mądre plany budowano w zarządach żandarmerii dla wykrycia drukarni. Obecnie jednak, sądząc tylko z przejawów tych polowań, trzeba przyznać, że polowania te mocno przypominały rozjuszonego byka, rzucającego się na czerwoną płachtę i spotykającego pod rogami pustą przestrzeń. Tą płachtą dla żandarmów były odezwy. Pojawiły się w Radomiu – jazda do Radomia w poszukiwaniu drukarni; były w Białymstoku – marsz na Białystok, tam bowiem ukrywa się drukarnia; są w Dąbrowie i oto w głupich głowach żandarmów kręci się myśl, że drukarnia musi być ukryta gdzieś w zarzuconym szybie. Przed samym zaarrestowaniem drukarni w Łodzi żandarmeria warszawska była już na „pewnym” tropie. Drukarnia miała być ukryta u jakichś bardzo bogatych i możnych ludzi i żandarmi poszukiwali ich śladów przez... modne i drogo sprzedające siebie kokoty.

Jeśli żandarmi suszyli sobie nieraz mózgi nad tym zagadnieniem z obowiązku, to mnóstwo ludzi łamało sobie głowy nad nim z prostej i zrozumiałej ciekawości. Koło tej niepochwytnej drukarni tworzyły się legendy i hipotezy. Jedni umieszczali ją w piwnicach, inni – na strychach, wielu słyszało w zamieszkanym przez siebie kamienicach szmery, mające świadczyć o istnieniu drukarni itd. – wszyscy zaś osłaniali tę tajemniczą drukarnię różnymi romantycznymi szczegółami.

Wreszcie w lutym 1900 r. pieczęć absolutnej tajemnicy, która gęstą mgłą otaczała drukarnię, została zdjęta. Żandarmeria łódzka, dzięki prostemu przypadkowi, wykryła ową drukarnię w Łodzi, przy Wschodniej ulicy, na pierwszym piętrze domu pod n[ume]rem 19.

Tryumf żandarmerii był ogromny. Zdawało się im, że raz nareszcie opanowano ruch, który im tyle kłopotów sprawiał, a przynajmniej, że zmuszono ten ruch do milczenia. Jeden z żandarmów, który piszącego te słowa właśnie w sprawie drukarni badał, szeroko tłumaczył, jak wielki cios został zadany partii przez aresztowanie drukarni.

– Niełatwo – mówił mi pan rotmistrz – zdobyć się raz jeszcze na taki wysiłek, niełatwo zorganizować podobną rzecz na nowo.

– Ależ, panie rotmistrzu! – zawołałem na to z uśmiechem – jestem przekonany, że w tej chwili już się drukuje następny numer „Robotnika”. Niech mi pan wierzy, że dla PPS nie stanowi to nic tak bardzo trudnego.



Nie wiedziałem wówczas, zamknięty w murach cytadeli warszawskiej, że moje słowa odpowiadały rzeczywistości. W kilka dni po tej rozmowie ukazał się trzydziesty szósty numer „Robotnika” z nowej drukarni, założonej przez partię. Odkryta w Łodzi drukarnia nie mieściła się ani w piwnicy, ani na strychu, ani nie była otoczona jakąś nadzwyczajną tajemniczością. Redakcja i drukarnia znajdowała się w zwykłym mieszkaniu, takim, jakich tysiące jest w każdym większym mieście. [...]

Dosyć sobie przedstawić ludzi, którzy nie mają prawa czytać niesfałszowanej historii swego narodu: dosyć widzieć utwory naszych wieszczów, pokaleczone brutalną ręką cenzorów; dosyć pomyśleć, że istnieje nowoczesne społeczeństwo, w którym stronnictwa polityczne albo są pozbawione prawa istnienia, albo w najlepszym razie skazane na przemawianie potwornym, niewolniczym językiem Ezopa; dosyć wyobrazić sobie, że szeroka, tak bolesna dla nas działalność rządowa podlegać nie może wcale publicznej krytyce – a często nawet zwykłemu omówieniu; dosyć tego wszystkiego, by wiedzieć, jak nie odpowiadającym potrzebom społeczeństwa jest stan legalnego słowa drukowanego, jak poniżająco wyglądamy wobec innych narodów. Lecz chociaż „żyjemy w pomrocy”, żyć chcemy. I oto, jako dowód tego życia, wytwarzamy wspaniałe zjawisko – tajną, nielegalną literaturę, ilością prawie dorównującą legalnej, a wpływem może ją przerastającą. Wbrew gwałtom i przemocy, pomimo turm i knuta, naród nasz w swym łonie wytwarza, jak i inne, szczęśliwsze narody, stronnictwa i partie, żyje skomplikowanym, nowoczesnym życiem politycznym, a najczęstszym tego życia dowodem jest nie co innego, jak nielegalne słowo drukowane – bibuła.



8. „Jestem Polakiem – więc mam obowiązki polskie”

[Roman Dmowski, *Myśli nowoczesnego Polaka*, wyd. 10, Wrocław, Nortom, 1994]

[...] Nierzadko spotykamy się ze zdaniem, że nowoczesny Polak powinien jak najmniej być Polakiem. Jedni powiadają, że w dzisiejszym wieku praktycznym trzeba myśleć o sobie nie o Polsce, u innych Polska zaś ustępuje miejsca – ludzkości. Tej książki nie piszę ani dla jednych, ani dla drugich.

Myślami swymi chcę się dzielić nie z tymi, dla których naród jest martwą cyfrą, zbiorowiskiem jednostek, mówiących pewnym językiem i zamieszkujących pewien obszar: rozumieją mnie tylko ci, co widzą w nim nierozłączną część społeczną, organicznie spójną, łączącą jednostkę ludzką niezliczonymi więzami, z których jedne mają swój początek w zamierzchłej przeszłości – twórczyni rasy, inne znane nam w historii – twórczyni tradycji, inne wreszcie, mające wzbogacić treść tej rasy, tradycji, charakteru narodowego, tworzą się dziś, by w przyszłości dopiero silniej się zacieśnić. Piszę nie dla tych, których dla polskości trzeba pozyskiwać dopiero, ale dla tych, co głęboko czują swą łączność z narodem, z jego życiem, potrzebami, dążeniami, którzy uznają obowiązek udziału w jego pracach i walkach.

Jestem Polakiem – to słowo w głębszym rozumieniu wiele znaczy.

Jestem nim nie dlatego tylko, że mówię po polsku, że inni mówiący tym samym językiem są mi duchowo bliżsi i bardziej dla mnie zrozumiali, że pewne moje osobiste sprawy łączą mnie bliżej z nimi, niż z obcymi, ale także dlatego, że obok sfery życia osobistego, indywidualnego znam zbiorowe życie narodu, którego jestem częścią, że obok swoich spraw i interesów osobistych znam sprawy narodowe, interesy Polski, jako całość, interesy najwyższe, dla których należy poświęcić to, czego dla osobistych spraw poświęcić nie wolno.

Jestem Polakiem – to znaczy, że należę do narodu polskiego na całym jego obszarze i przez cały czas jego istnienia zarówno dziś, jak w wiekach ubiegłych i w przyszłości; to znaczy, że czuję swą ścisłą łączność z całą Polską: z dzisiejszą, która bądź cierpi prześladowanie, bądź cieszy się strzępami swobód narodowych, bądź pracuje i walczy, bądź gnuśnieje w bezczynności bądź w ciemności swej nie ma nawet poczucia narodowego istnienia; z przeszłą – z tą, która przed tysiącleciem dźwigała się dopiero, skupiając koło siebie pierwotne pozbawione indywidualności politycznej szczepy, i z tą, która w połowie przebytej drogi dziejowej rozpościerała się szeroko, groziła sąsiadom swą potęgą i kroczyła szybko po drodze cywilizacyjnego postępu, i z tą, która później staczała się ku upadkowi, grzęzła w cywilizacyjnym



zastoju, gotując sobie rozkład sił narodowych i zagładę państwa, i z tą, która później walczyła bezskutecznie o wolność i niezawisły byt państwowy; z przyszłą wreszcie, bez względu na to, czy zmarnuje ona pracę poprzednich pokoleń, czy wywalczy sobie własne państwo, czy zdobędzie stanowisko w pierwszym szeregu narodów. Wszystko, co polskie jest moje: niczego się wyrzec nie mogę. Wolno mi być dumnym z tego, co w Polsce jest wielkie, ale muszę przyjąć i upokorzenie, które spada na naród za to, co jest w nim marne.

Jestem Polakiem – więc całą rozległą stroną swego ducha żyję życiem Polski, jej uczuciami i myślami, jej potrzebami, dążeniami i aspiracjami. Im więcej nim jestem, tym mniej z jej życia jest mi obce i tym silniej chcę, żeby to, co w moim przekonaniu uważam za najwyższy wyraz życia stało się własnością całego narodu.

Jestem Polakiem – więc mam obowiązki polskie: są one tym większe i tym silniej się do nich poczuwam, im wyższy przedstawiam typ człowieka.

Bo im szerszą stroną mego ducha żyję życiem zbiorowym narodu, tym jest mi ono droższe, tym większą ma ono dla mnie cenę i tym silniejszą czuję potrzebę dbania o jego całość i rozwój.

[...]



9. „Nasza moralność narodowa, przy pewnym jałowym sentymentalizmie, dziś polega przeważnie na braku zupełnym czynnej miłości ojczyzny”.

[Roman Dmowski, *Myśli nowoczesnego Polaka*, wyd. 10, Wrocław, Nortom, 1994]

Głębokie poczucie wspólności z narodem, z jego interesami i dążeniami, nie zależy od tego, czy ojczyzna w danej swej fazie rozwojowej i w danym położeniu podoba nam się, czyśmy z niej zadowoleni, ale zdolne jest ono objawiać się z równą siłą we wszelkich warunkach, zarówno względem wolnej ojczyzny, jak względem będącej w niewoli, czy gdy trzeba, żeby jej bronić, czy w jej imieniu napadać. Na takim tylko patriotyzmie można budować narodową przyszłość. I jeżeli mamy wyraźne poczucie tego, że za mało w nas czynnej miłości ojczyzny na to, ażebyśmy mogli wolność dla niej wywalczyć, to kto wie, czy braku tego silniej nie uczulibyśmy, gdyby nam dziś przyszło żyć i rządzić we własnym państwie. Polska niepodległa więcej niż dzisiejsza będzie potrzebowała projektów szerokiej miary, ludzi poważnie i głęboko pojmujących swój stosunek do narodu, do jego potrzeb, interesów, dążeń i większe by może dla niej z ich braku wypływało niebezpieczeństwo.

Na głębszych podstawach oparty patriotyzm nie potrzebuje też żywić się i wspierać przekonaniem o wyższości swego narodu nad innymi, a poczucie niższości własnego narodu pod jakimkolwiek względem nie może zmniejszyć jego moralnej siły. Przywiązanie do narodu nie powinno osłabiać umysłu człowieka, jego zdolności do krytyki, nie powinno go zaślepiać w sądach o tym, co mu najbliższe, szerzenie zaś w narodzie przyjemnych złudzeń co do własnej wartości jest tym szkodliwsze, im dalsze są one od prawdy. Bo jeżeli silne i daleko posunięte w kulturze narody pod wpływem przekonania o swej wyższości nad innymi okazują skłonność do wynoszenia tych przymiotów, które stanowią ich siłę, to słabe i zacofane – idealizują te strony swego życia i charakteru, które są źródłem ich słabości. A myśmy przez długi czas byli i jesteśmy bardzo słabi, choć tkwią w nas zarodki wielkiej siły.

Naród nasz pod względem siły materialnej, pod względem liczebności i bogactwa, daleko pozostał poza tymi ludami, które postanawiają dziś głównie o losach świata, i podniesienie materialnych zasobów jest jednym z pilniejszych i donioślejszych zadań naszego bytu. Dzieje ludzkości wszakże nieraz przynosiły dowody, że mniejszy a częstokroć większy bez porównania wpływ na losy narodu miała jego siła moralna. Tylko trzeba pamiętać, że siłą moralną narodu nie jest jego bezbronność, jego niewinność, jak to często dziś u nas słyszymy, ale żądza



szerokiego życia, chęć pomnożenia narodowego dorobku i wpływu oraz gotowość do poświęceń dla urzeczywistnienia narodowych celów. Ubogie i nieliczne narody tą siłą moralną zdobywały nieraz przewagę i wpływały potężnie na bieg dziejów świata.

Wierzę, jestem pewien, że taka właśnie siła, obok fizycznej, zaczyna się wydobywać w chwili dzisiejszej z mas naszego ludu. I wierzę, że jako odbicie tego zjawiska podnosi się poziom moralności narodowej w oświeconych warstwach społeczeństwa.

Ciężkie warunki naszego politycznego bytu postępowi na tej drodze przeszkodzić nie mogą. Przeciwnie, jestem przekonany, iż nie ma takiego położenia, z którego by naród żywotny, mający zapas sił do lepszej przyszłości, nie mógł wyciągnąć korzyści właściwych temu położeniu i niemożliwych w innym.

Jedną z korzyści naszego obecnego położenia, tego niesłychanego ucisku, w którym żyjemy, tego rozćwiartowania politycznego, przy silnym poczuciu narodowej jedności, jest większa niż u innych narodów konieczność zastanawiania się nad istotą narodowego bytu, nad znaczeniem więzi narodowych, nad rozległością narodowych zadań i obowiązków. Żaden naród nie ma tylu co my pobudek do zwracania swej myśli w tym kierunku. Dzięki temu wydaliśmy swego czasu poezję patriotyzmu, jakiej żaden naród nie posiada, poezję, której siła i głębokość uczucia miłości ojczyzny nie znajduje w żadnym piśmiennictwie przykładów sobie równych. Kto wie, czy pod tymi samymi wpływami nie otworzymy kiedyś nowych widnokręgów w etyce i polityce... Jeżeli duch polski, jak najszerszej korzystając z doświadczenia innych narodów, jednocześnie będzie zdolny z niezwykłych warunków polskiego życia wyciągnąć naukę dla innych niedostępną, to może stworzymy kiedyś tak silną narodową moralność i tak szeroką politykę czysto narodową, wolną od wszelkich wpływów ubocznych, że na długie lata staną się one dla nas podwalinami niepospolitej siły. Tymczasem jest całkiem przeciwnie. Nasza moralność narodowa, przy pewnym jałowym sentymentalizmie, dziś polega przeważnie na braku zupełnym czynnej miłości ojczyzny, a poglądy polityczne naszego oświeconego ogółu tym są niezwykle, tym się różnią od polityki innych narodów, że brak im podstawy wszelkiej zdrowej polityki, mianowicie – narodowego instynktu samozachowawczego. Jesteśmy narodem z wypaczonym sposobem politycznego myślenia.

Źródła tego smutnego i zgubnego dla nas zjawiska należy szukać w odległej przeszłości. Przez parę stuleci rozwój społeczności naszej, wyszedłszy z właściwej kolei dziejowej, oddalał się coraz bardziej od tej linii, która jej mogła zapewnić



wielką przyszłość. Zapowiedziawszy się w dziejach, jako jeden z najpierwszych ludów Europy i gospodarz na olbrzymim, ciągle powiększanym jej obszarze, naród nasz usunął się w krótkim czasie na tyły pochodzącego cywilizacyjnego, stracił prawo kierowania własnymi losami i znalazł się w gorszym położeniu od ludów, które nigdy nie znały bytu państwowego. Gdy tamte, jako małoletnie, nie miały nigdy poczucia swej samodzielności, on został oddany pod upokarzające rządy obcych, jak niepoczytalny marnotrawca, któremu odmawiają praw dojrzałego człowieka po długim z nich korzystaniu. Nie mając w sobie pierwiastków, które by mu pozwoliły wejść na drogę stopniowego powrotu do dawnej siły i na nowo politycznie się narodzić, szarpał od czasu do czasu rozpaczliwie swe pęta, w długich przerwach między tymi wysiłkami biernie znosząc niewolę. W swym wzrastającym coraz bardziej usiłowaniu pogodzenia się z tym nędznym losem stworzył on sobie powoli sposób myślenia, ułatwiający ostateczną abdykację z dziejowej roli. Niedołęstwo nazwał szlachetnością, tchórzliwość – rozważą, służbę u wrogów – działalnością obywatelską, zaprzaństwo – prawdziwym patriotyzmem. Wszelkie niemal pojęcia polityczne wywrócił, zaczął żyć w świecie moralnych urojeń, a przystosowując się do tego bytu, zaczął nawet tępić w sobie wszelkie zdrowe skłonności, wszelkie przejawy instynktu samozachowawczego.

Ale równolegle z tym chorym rozwojem myśli polskiej, pod wpływem zmiany warunków prawnych i ekonomicznych, rozpoczął się zdrowy rozwój społeczny. Z zaniedbanych przez wieki warstw narodu, z tych żywiołów małoletnich, które nigdy nie rządziły swym wspólnym dobrem i nic nie zmarnowały, zaczyna się wydobywać nowa siła społeczna, a na jej gruncie rodzą się nowe dążenia polityczne. Jest to fakt, który przetworzy całą duszę narodową. A im prędzej to się stanie, tym dla nas lepiej.

W chwili obecnej, kiedy u podstaw, w szerokich masach zaczynają się zjawiać elementy nowej polityki narodowej, naród nasz zdobywa w nich świeżą, szeroką podstawę moralno-politycznego odrodzenia. Jeżeli myśl polska dzisiaj z nich korzysta, to wejdziemy szybko na drogę istotnej, zdrowej twórczości politycznej, a dla ducha polskiego nastanie nowy okres rozwoju, który mu otworzy szerokie widnokręgi czynu i da zarazem niepospolitą siłę moralną.



10. „[...] niepodległość państwowa wszakże nie jest tu traktowana jako cel ostateczny, ale jako środek, jako najważniejszy warunek szerokiego narodowego rozwoju”.

[Roman Dmowski, *Myśli nowoczesnego Polaka*, wyd. 10, Wrocław, Nortom, 1994]

[...] Przeszkodą do wytworzenia się pozytywnego patriotyzmu był z jednej strony brak ciągłości w rozwoju narodowej myśli, przerywanie się tradycji działań politycznych po każdej klęsce, z drugiej zaś powolny postęp ekonomiczno-społeczny i należenie głównego obszaru Polski do bardziej zacofanej organizacji państwowej, pozwalającej dłużej niż należało trwać w przestarzałych formach bytu i przestarzałych pojęciach.

Dzięki postępowym zmianom prawno-społecznym, a w dwóch zaborach i prawno-politycznym, jakie w drugiej połowie zeszłego stulecia w kraju naszym zaszły, dzięki – z drugiej strony – dłuższej dobie pokoju po ostatnim powstaniu, warunki te gruntownie się zaczęły zmieniać, a pod wpływem tej zmiany zaczęła się nowa, twórcza praca w zakresie narodowej myśli.

Ostatnia walka o wolność, będąca właściwie tylko negacją niewoli w przeciętnych swoich przedstawicielach, skończyła się klęską. Po niej zapanowała negacja walki, a więc negacja negacji, wspierająca się hasłami pracy ekonomicznej itp., nie mającymi nic wspólnego z szerszą myślą narodową. Ale naród współczesny, zwłaszcza zaś naród, podlegający tak szybkiej jak nasz przeróbce wewnętrznej, nie może długo żyć bez aspiracji, bez myśli przewodniej, przyświecającej wszystkim jego pracom i walkom, bo warunki polityczne do nieustannej walki w takiej lub innej postaci nas zmuszają. Hasła patriotyczne musiały znów się odezwać, gromadząc koło siebie narastające społeczeństwu nowe, lepsze siły...

Hasła te z początku były znów tylko negacją ucisku i niewoli: łączyło się z nimi wprawdzenawoływanie do pracy wśród ludu, ale pracę tę bądź pojmwano wyłącznie, jako przygotowywanie armii do walki o niepodległość, bądź też traktowano je bez związku ze sprawą narodową, idąc niewolniczo za hasłami kosmopolitycznymi socjalizmu, przynoszonymi z zewnątrz. W nielicznych tylko mózgach uświadamiała się myśl twórczej pracy narodowej, pracy dla narodowej kultury przez pomnożenie uczestników kulturalnego życia polskiego, przez wprowadzenie w nie nowych pierwiastków ludowych. Z tych zaczątków jał się tworzyć nowy kierunek narodowy, nowy patriotyzm, stopniowo rozwijający program szerokiej pracy i walki narodowej, mający również doprowadzić do pozbycia się niewoli, do zdobycia niepodległości;



niepodległość państwowa wszakże nie jest tu traktowana jako cel ostateczny, ale jako środek, jako najważniejszy warunek szerokiego narodowego rozwoju.

Przedmiotem tego patriotyzmu albo ściślej mówiąc – nacjonalizmu nie jest pewien zbiór swobód, które dawniej ojczyznę nazywano, ale sam naród, jako żywy organizm społeczny, mający swą na podstawie rasowej i historycznej rozwiniętą odrębność duchową, swą kulturę, swe potrzeby do języka, kultury, tradycji, na odczuciu potrzeb narodu jako całości, na zespoleniu się z jego interesami. Jego rola nie kończy się z bliższą lub dalszą chwilą odzyskania niepodległości – ta jest dla niego jedynie etapem, poza którym praca i walka trwa dalej, posiłkując się nowymi narzędziami, nową bronią. Jednostka tu nie występuje, jako walcząca o wolność jedynie – głównym jej celem jest rozszerzenie zakresu narodowego życia, pomnożenie materialnego i duchowego dobra narodu, zdobycie dla tej całości społecznej, do której należy, możliwie wysokiego stanowiska w szeregu ludów. [...]



11. „Program więc zdobycia mozolną pracą niepodległości wewnętrznej jest możliwy do urzeczywistnienia”

[Bogumił Grott, *Zygmunt Balicki – ideolog Narodowej Demokracji*, Kraków, Arcana, 1995 (pierwodruk: „Kwartalnik Naukowo-Polityczny i Społeczny” 1898 r.)]

[...] Wewnętrzna siła społeczna poprzedzać musi zdobycie praw narodowych. Najwyższe i najogólniejsze z tych praw, prawo do niepodległości, wtedy tylko stanie się naszym udziałem, gdy je poprzedzi rzeczywista niepodległość wewnętrzna. Do niej to sprowadzać się musi cały program bezpośrednich narodowych wysiłków.

Zdrowy i silny organizm społeczny, zaspokajający samodzielnie wszystkie swe kardynalne potrzeby, rozwiązujący o własnych siłach narastające zadania, uniezależniony przeto pod tym względem od rządów, a więc i od państw zaborczych, zdolny przeciwstawić własną organizację funkcji publicznych – obcej i narzuconej organizacji państwowej, rządzący sam sobą na każdym polu, nad którym przemoc nie jest w stanie zapanować, organizm taki jest już narodem niepodległym, bo posiada tę siłę wewnętrzną, dla której sankcja prawna będzie tylko kwestią czasu.

Zakres tej samodzielności nie jest nieograniczony w najbardziej nawet sprzyjających warunkach, nie ma jednak pola, na który by ona przejawiać się nie mogła, gdyż wszędzie, gdzie jest w zasadzie możliwa interwencja państwa, możliwą jest również świadoma interwencja samego społeczeństwa, opinii publicznej i zorganizowanej akcji zbiorowej. Nam o tym wątpić nie wolno, bo mamy w niedawnej swej przeszłości przykład w dziejach prawie jedyny: w latach 1861–[18]64 potrafiliśmy postawić pod boki rządów zaborczych własną organizację państwową, która rządziła krajem niepodzielnie. Była to organizacja bojowa, wzniesiona naprędce dla prowadzenia akcji zbrojnej: to dawało jej siłę energii, zogniskowanej w jednym momencie dziejowym, ale pozbawiało ją zarazem głębokich podwalin społecznych, właściwych organizacjom, rozwijającym się latami pracy i pokoju.

Przy krytycznej ocenie wypadków ostatniego powstania pomija się zwyczajnie tę największą jego zasługę wobec przyszłości, że wzniosło ono po raz pierwszy zręby narodowego państwa drogą samorzutnej organizacji samego społeczeństwa, nie mając jednej piędzi ziemi wolnej pod nogami, jednej instytucji publicznej uprawnionej. Taka tradycja daje narodowi więcej niż wygrane bitwy i powodzenia dyplomacji.

Utarło się już u nas w opinii publicznej zdanie, że przeszłość wymagała od



nas, abyśmy umieli ginąć za ojczyznę, teraźniejszość wymaga, abyśmy umieli dla niej pracować. Gdyby przedstawiciele dzisiejszego pokolenia byli zdolni wydobyć z siebie w ciągu życia taki sam ilościowo zasób ofiarności i poświęcenia, jaki ich poprzednicy w powstaniu złożyli jednorazowo na rzecz dobra publicznego, umieli nadto zastosować tę siłę do potrzeb i warunków obecnych – osiągnięcie tej mocy, którą daje niezależność wewnętrzna narodu, nie byłoby bynajmniej pustym marzeniem.

Program więc zdobycia mozolną pracą niepodległości wewnętrznej jest możliwy do urzeczywistnienia, gdyż najważniejsze i najtrudniejsze do zrealizowania jego przesłanki znajdujemy we własnej, najświeższej historii, na nową zaś, odpowiednią dzisiejszym warunkom taktykę, naprowadza nas sama praktyka lat ostatnich. Akcja społeczeństwa w myśl tego programu musi być z konieczności dwojakiej natury.

Na pewnych polach może być ona tylko pośrednią, oddziaływać drogą szerzenia pewnych zasad polityki narodowej; ma to miejsce tam, gdzie i państwo, prowadzące tę politykę w krajach wolnych, pośrednio tylko wpływać może na bieg życia społecznego. Na innych polach społeczeństwo jest w stanie samo brać na siebie pewne funkcje publiczne i zaspakajać bezpośrednio swe potrzeby pomimo rządu, a nawet wbrew jego polityce i zakazom.

Do pierwszej kategorii zaliczyć należy przede wszystkim politykę ekonomiczną, która i świadomą, i narodową być musi, aby była w stanie zapewnić krajowi niezależność na tym polu. [...]

Legalność lub nielegalność zorganizowanej pracy społecznej zależy w zupełności od warunków zewnętrznych. Warunki te utrudniają niezmiernie rozwój życia organizacyjnego w zaborze pruskim, gdzie wszystkie wysiłki energii zużywają się na obronę legalną od zamachów, w zaborze rosyjskim paraliżują je u podstaw. Rząd rosyjski nie da nam nigdy swobody stowarzyszania się w takim zakresie, do jakiegośmy dorosli i jaki odpowiada istotnym naszym potrzebom. Czyż można mówić na serio o rozwoju życia narodowo-społecznego w legalnych towarzystwach, skrojonych według „ustaw normalnych”, wyrabianych w ministeriach rosyjskich, o narzuconym języku urzędowym i przestrzeganej policyjnie prawomyślności? Jeżeli rząd skąpo pozwala na nie, to tylko w widokach rusyfikacji i przymusowego lojalizmu, pod grozą rozwiązania. Tak diametralnie sprzeczne cele i zadania, jak te, których rząd i społeczeństwo polskie od towarzystw wymagają, nie mogą istnieć obok siebie w tych samych instytucjach publicznych, bo to, co nam one dać mogą i powinny, rząd zwalcza i zwalczać będzie zawsze. Cały absolutyzm rosyjski trzyma się na ściśle przestrzeganim odosobnieniu od siebie poddanych, niedopuszczaniu



obywateli do żadnej łączności, do żadnej inicjatywy, do żadnego zbiorowego działania. My zaś bez tego marzyć nie możemy nie tylko o zdobyciu politycznej siły, ale nawet o zachowaniu naszych właściwości narodowych.

Zorganizowany tryb prowadzenia wszelkiej pracy publicznej, a nawet sama zasada organizacji, nie liczącej się z narzuconymi ramami dozwolonego, spotyka się z silną opozycją przede wszystkim tych, którzy gotowi są nałożoną przemocą niewolę zamienić na dobrowolną. Jeżeli w ogóle zdobędą się na tolerancję dla pracy obywatelskiej „niepowołanych”, uznają ją zwyczajnie w granicach legalności i jawności, piętnując wszystko inne mianem „spisków, tajnych knowań i konspiracji”.

[...]

Nie, tajne organizacje nie potrzebują być ani „knowaniami”, nie liczącymi się z rzeczywistą potrzebą i dążeniem społeczeństwa, ani „spiskami” zmierzającymi do bezpośredniego i gwałtownego przewrotu politycznego: mogą one obejmować całą skalę zadań publicznych, począwszy od filantropijnych i moralnych, aż do najwyższych i najdalszych celów narodowych. Rola ich będzie zawsze rolą faszyn w wale ochronnym, których nie przebiją żadne pociski, ani dyplomacji rządowej, ani policyjnych zamachów, a zarazem fundamentem, na którym wznosić się będzie gmach niezależności wewnętrznej naszego narodowego bytu.

Zadatki siły społecznej narodu tkwić mogą w trwałości cech rasowych, w przywiązaniu do języka i tradycji, w pracowitości i przedsiębiorczości obywateli, w ich odporności na wpływy zewnętrzne, ale są to wszystko zadatki tylko. Siła czynna, twórcza, zdolna do walki i zwycięstw, musi mieć swe ognisko i swój podział pracy, toteż w organizacji tylko znaleźć może celowe swe zastosowanie i przeciwstawić się skutecznie naporowi potęgi państwowej. Od stopnia i rozwoju organizacji wszystkich funkcji społecznych w narodzie zależy stopień jego niepodległości wewnętrznej, a więc i stopień prawdopodobieństwa zdobycia dla niej sankcji prawnej na arenie międzynarodowej. Tą tylko drogą dostroić możemy środki do celów, zamiast cele do środków dostrajać.



12. „Wrodzone każdemu uczucie przywiązania do swego narodu etyka powinna doskonalić, pogłębiać i ujmować w formę obowiązków”.

[Zygmunt Balicki, *Egoizm narodowy wobec etyki*, Lwów 1902, cyt. za: Bogumił Grott, *Zygmunt Balicki ideolog Narodowej Demokracji*, Kraków, Arcana, 1995]

[...] Jak prawa logiki są powszechne i niewzruszone, choć każde rozumowanie posiłkuje się zastosowaną do tematu metodą, odpowiednimi do faktów pojęciami i dochodzi do właściwych sobie wniosków, tak samo etyka społeczna jest jedną i bezwzględną, jednym i bezwzględnym prawem naturalnym, wypisanym w sumieniu wszystkich ludów i wszystkich czasów, chociaż na każdym stanowisku inne ma człowiek obowiązki moralne, innym też musi być jego postępowanie, zgodne z nakazami etyki autonomicznej.

Ostatnia wymaga od członków każdego skonsolidowanego na wewnątrz ciała zbiorowego odpowiedniego poziomu solidarności w stosunkach wzajemnych, tym wyższego, im łącznik wewnętrzny zbiorowości jest ściślejszy; jest to obowiązek wyższego altruizmu wobec współczłonków. Swój pomaga swemu prędzej niż obcemu i postępując tak, stosuje się tylko do wskazań etyki społecznej. Taż sama moralność wymaga dalej egoizmu zbiorowego w stosunku do całości, nieprzeniewierzenia się jej dobru i interesom, przestrzegania etyki i godności korporacyjnej, współdziałania w rozwoju indywidualności swego stanu. Każde stowarzyszenie, organizacja lub stronnictwo nakłada na swych członków specjalne wobec siebie obowiązki i uchylenie się od nich lub sprzeniewierzenie się im nie będzie nigdy, z punktu widzenia etyki społecznej, czynem moralnie obojętnym.

Wszystkie jednak powyższe wskazania moralności autonomicznej stanowią tylko pojedyncze tony jednego akordu, ten zaś odpowiada najwyższej indywidualności zbiorowej, jaką jest naród. Obejmuje ona całość wszechstronnego życia człowieka i w normalnych warunkach sama sobie wystarczać może, a jest nadto jedyną społecznością przyrodzoną, której jednostka nie wybiera, ale w której się rodzi. W duchowości też każdego narodu tkwi źródło uczuć i pojęć moralnych jego członków. Co więcej, wszelka etyka autonomiczna, jako rzeczywiście obowiązująca pewną grupę całość pojęć i wskazań moralnych, jest i musi być zawsze narodową.

[...]

Wrodzone każdemu uczucie przywiązania do swego narodu etyka powinna doskonalić, pogłębiać i ujmować w formę obowiązków, da ona tym samym



dostateczne, bo niewyczerpane pole dla altruistycznych popędów każdego. Filantropia kosmopolityczna, obojętna na to, komu daje, jeżeli nie jest bezmyślnym naśladownictwem, jest zawsze ukrytym sobkowstwem, gdyż zwracając swą ofiarność ku obcym, a pomijając tym samym swoich i bliskich, kieruje się względami ujemnymi, zwykle obawą krytyki, interesem lub ambicją, z uszczerbkiem przyrodzonych obowiązków. Z chwilą, gdy idzie wbrew interesom narodowym, staje się wręcz niemoralną. [...]

Zachowanie, niezależność, rozwój i potęga najwyższej indywidualności społecznej, jaką jest naród, ma za podstawę egoizm narodowy, przed którym wszelki inny egoizm, choćby sam w sobie najbardziej uprawniony, czy to indywidualny, czy zbiorowy, ustępować musi. Jest on równocześnie wyrazem altruizmu jednostek i grup wobec całości. Autonomiczna ich etyka podporządkować się powinna pod etyką narodową, gdyż autonomiczną jest ona tylko w swojej sferze, na gruncie podniesienia własnej indywidualności, ale indywidualność ta służyć musi całości narodowej, jeżeli nie ma się sprzeniewierzyć wskazaniom etyki społecznej [...]. Wszelkie stowarzyszenia, organizacje, stronnictwa i klasy czuć się powinny częściami narodu, pracować z myślą o jego dobru i mieć jego cele na względzie; z chwilą, gdyby stawiały swoje interesy partykularne wyżej niż interesy narodowe, spotykają się z bezwzględny potępieniem we wszystkich społeczeństwach, w których nie zamarło jeszcze poczucie moralności publicznej.

Nie tylko egoizm grup autonomicznych ustępować musi wobec wymagań etycznych egoizmu narodowego, ale nawet ich altruizm, o ile z uszczerbkiem jego interesów, gdzie indziej jest skierowany. Solidarność, współdziałanie, zbliżanie się do innych, nawet duchowe z nimi obcowanie, wszystkie te stosunki z podkładem sympatii i altruizmu mogą stać się czynnikami nie wyższej formy uspołecznienia, ale rozkładu własnej indywidualności narodowej. [...] Klasa społeczna, która by się czuła bardziej solidarną z taką klasą innego narodu niż z pozostałymi klasami własnego stronnictwa, dla którego wspólność międzynarodowa zasad ma większą wagę niż wspólność tradycji i interesów narodowych, sfera towarzyska wchodząca w stosunki codziennego obcowania i pożycia ze sferami społeczeństwa wrogiego, rozprzegając spójnię wewnętrzną własnego narodu, zasługują na bezwzględne potępienie ze stanowiska moralności publicznej, niezależnie od intencji, które nimi kierowały, stawiają bowiem egoizm swego altruizmu, ponad altruizm obowiązujący ich wobec egoizmu narodowego.

Altruizm wobec swego narodu i przejęcie się jego egoizmem składają się łącznie na uczucie patriotyzmu. Sam altruizm wystarczyć tu nie może: pozbawiony drugiego



swego pierwiastka, zespolenia się z indywidualnością narodu, z jego egoizmem, niezbędnym dla zapewnienia mu bytu i rozwoju, stanie się jedynie i wyłącznie zmysłowym. Filantropia wobec ojczyzny patriotyzmem nie jest; będzie ona boleć nad jej cierpieniami, ale sił i życia w nią nie wleje, nie będzie z nią chciał, dążyć i żądać, toteż nie uczyni jej wielką, bo proste współczucie nie zrodzi pragnienia czyjejś potęgi. Dla filantropa patriotyzmu, ojczyzna jest może istotą żywą i kochaną, ale na zewnątrz jego indywidualności stojącą, toteż będzie się starał „zrobić coś dla nieszczęśliwego kraju” i bolejąc nad jego losem, da mu jałmużnę czynu. Altruista zmysłowy jest przede wszystkim wrażliwy na cierpienia innych, wszystko, co stanowi treść ich indywidualności, dążenie na odległą przyszłość, pragnienie czegoś więcej nad uniknięcie cierpień – wszystko to nie jest zdolne poruszyć dość silnie jego drażliwości nerwowej i pozostawia go mniej więcej obojętnym. Takie uczucie u nas tylko, wśród rozbicia i rozprężenia duchowego może być podnoszone do godności patriotyzmu; zdobyć się na nie może każdy cudzoziemiec bezstronny, współczujący z cierpieniami innego narodu. Jako patriotyzm, uczucie takie straciłoby wszelki grunt pod nogami wśród narodu wolnego, zasobnego i szczęśliwego. Tam nie ma miejsca dla płaczących patriotów, pełnych współczucia, ubolewania i rozrzewnienia nad każdym cierpieniem narodu, choćby to cierpienie było młotem kującym jego przyszłą wielkość; i u nas miejsca być nie powinno dla tych, których patriotyzm umie tylko boleć, a niczego więcej prócz prześladowań nie jest w stanie odczuć. [...]

Altruista samowiedny zespala się z ojczyzną, z jej celów robi cele swego życia, ognisko swych dążeń i ambicji, a ze swej indywidualności uczyni stalowe koło tej wielkiej maszyny, poruszającej się pod wpływem najpotężniejszego motoru ludzkości – samowiednego egoizmu narodowego.



13. „Prawo do bytu niepodległego przysługuje tylko narodom o silnej indywidualności, umiejącym o ten byt walczyć i zwyciężyć”.

[Zygmunt Balicki, *Egoizm narodowy wobec etyki*, Lwów 1902, cyt. za: Bogumił Grott, *Zygmunt Balicki ideolog Narodowej Demokracji*, Kraków, Arcana, 1995]

[...] Tam, gdzie się dzieje narodowi krzywda, gdzie występuje bezprawie, stanowisko bezwzględnie wrogie ze strony pokrzywdzonego jest kategorycznym nakazem etyki społecznej. Sprzeniewierzenie się tej zasadzie jest zarazem odstępstwem narodowym i winą współdziałania w bezprawiu. Wyciąganie ręki do zgody wobec nieprzyjaciela, dopóki sprawiedliwości nie stało się zadość, czy to w imię mniemanego altruizmu humanitarnego, który wszelki antagonizm w zasadzie potępia, czy to w imię zmysłowego egoizmu, pragnącego oszczędzić sobie trudów i cierpień walki o swe prawa, pozostanie zawsze zbrodnią wobec własnego narodu, ciężkim przewinieniem wobec ludzkości. Nie będzie to aktem altruizmu, ale uległością wobec wroga, w której naród zatraci swą godność, swój charakter niepodległy i swą indywidualność, zatraci też uznanie i poszanowanie tych najcenniejszych podstaw swego bytu ze strony innych, gdyż na nie nie zasłużył.

Nie ma prawdopodobnie narodu, który by posiadał tak słabe poczucie egoizmu, tak często sprzeniewierzał się obowiązkom wobec samego siebie i swej przyszłości, jak nasz naród, i to zwłaszcza w czasach ostatnich, po utracie niepodległości, kiedy egoizm bezwzględny stać się powinien pierwszym jego przykazaniem, kiedy – w myśl etyki społecznej – jest on jego prawem i obowiązkiem. Słabą indywidualność narodu, brak charakteru w polityce tych, którzy kierowali jego losami, obawę walki bezwzględnej, wszystkie te braki podajemy chętnie jako przejawy altruistycznych



jego skłonności i niemal chełpimy się nimi, jako cechami naszej wyższości moralnej w polityce międzynarodowej.

[...] W oczach wielu, nasza skłonność do polityki altruizmu w przeszłości, ofiary bezinteresowne, ponoszone przez nas kosztem własnych interesów na rzecz „moralności międzynarodowej i cywilizacji”, mają stanowić jeden z tytułów naszego prawa do niepodległości. Prawo do bytu niepodległego przysługuje tylko narodom o silnej indywidualności, umiejącym o ten byt walczyć i zwyciężać, zdolnym przeciwstawić sile siłę, mścić krzywdy doznane i zapewniać na sobie przewagę sprawiedliwości. Z człowiekiem bez charakteru nikt się nie liczy, nikt się o niego nie troszczy, tym bardziej z narodem bez charakteru w środowisku walki o byt i przewagę. Wszelkie ofiary altruistyczne imieniem i kosztem narodu składane, są tylko dowodem jego niezdolności do samoistnego bytu, właściwością, którą każdy chętnie wyzyska, ale która nie podniesie w niczyich oczach jego powagi i uroku, bo wejście na widownię takich narodów nie jest żadnym cennym nabytkiem dla społeczności międzynarodowej.

Altruizm wobec obcych, jak wiemy, może być czynnikiem rozkładu wobec własnego narodu. Szerzenie w naszym społeczeństwie opinii, że solidarność międzynarodowa proletariatu jest silniejsza niż wszelkie ogniwa wewnętrzne, że tożsamość haseł stronnicych, nawet wśród społeczeństw nam wrogich, jest bliższym łącznikiem niż solidarność narodowa, stanowi prawdziwy duchowy rozbiór kraju. I rzeczywiście nikt nie sieje większych antagonizmów klasowych i stronnicych, większych nienawiści wewnętrznych niż ci, co występują pod hasłem zniesienia antagonizmów i nienawiści narodowych. Chcąc organizować solidarność międzynarodową, zaczynają od dezorganizowania własnego narodu.

[...] Panująca u nas opinia w sprawach polityki narodowej, bałamucona świadomie przez wynarodowioną etykę humanitarnego idealizmu, zapomina na każdym kroku, że zasady moralności regulują stosunki pomiędzy ludźmi i grupami społecznymi, wszelki zaś stosunek jest dwustronnym. Człowiek czy naród, który postępuje według przyjętej z góry zasady, niezależnie od tego, z kim ma do czynienia, jaką jest natura wzajemnego stosunku i z jakim przyjęciem postępowanie jego się spotyka, posiada być może formuły etyczne, ale żadnego poczucia moralności społecznej. W stosunku do rządów zaborczych, jakim takim regulatorem jest tu jeszcze zdrowy instynkt narodu, który czuwa nad tym, aby hasło pojednania w nas umilkło, gdy hasło tępienia rozlega się ze strony przeciwnej. Ale i tu ślepa doktryna polityczna paraliżuje wszelkie zdrowe pojęcie o zasadzie wzajemności: niech tylko żywiołowa siła narodu lub jego praca zmusi rząd wrogi do pewnych pozornych choćby ustępstw,



głosić będzie natychmiast, że stosunek jego do nas uległ zasadniczej zmianie, że nienawiść ustępuje miejsca życzliwości, i wzywać będzie własne społeczeństwo do odpowiedniego postępowania. W ten sposób każda zdobycz nasza staje się w rezultacie dzięki nam samym zdobyczą przeciwnika. W świetle etyki społecznej jest to praca na szkodę kraju, na rzecz jego nieprzyjaciół.

[...] Naród duchowo wielki nie poniży się do nadużyć i gwałtów, bo ceni wysoko swą godność, ma poszanowanie dla własnej kultury i cześć dla swego sztandaru, którego, jak żołnierz, skrytobójstwem nie splami. Mają w sobie taki egoizm samowiedny Stany Zjednoczone i Anglia: nawet gdy prowadzą politykę zaborczą, szanują indywidualność krajów podbitych i barbarzyństwem się nie plamią; nie mają go w sobie Rosja ani Prusy: w czasie pokoju zarówno, jak w czasie wojny polityce ich towarzyszą wiarołomstwo i bezprawie, nieposzanowanie indywidualności innych, pospolite barbarzyństwo, obłudnie i ze złą wiarą osłaniane prawem, toteż wielkimi narodami nie są. Gotowe zawsze płaszczyć się przed siłą, pełne instynktów służalstwa w życiu wewnętrznym, wykazują zawsze niepohamowane brutalstwo, gdy czują swą przewagę i bezkarność swego bezprawia. Buta i arogancja idą zawsze w parze z brakiem prawdziwego szacunku dla swej godności osobistej i stanowią cechę nieodłączną charakterów płaskich i służalczych, mających chwilowo siłę za sobą. [...]



14. „Należy przejąć się myślą walki i pracy legalnej i nielegalnej, nauczyć się ją prowadzić stale, hartować w niej i zaprawiać ogół tą drogą”.

[Tadeusz Gruźewski, *Rewolucje i powstania [w:] idem, Polska i Rosja. Wybór pism*, wyboru dokonał i wstępem opatrzył Przemysław Dąbrowski, Kraków, Ośrodek Myśli Politycznej, Wydział Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2013 (Pierwodruk: „Przegląd Wszechpolski” 1902, nr 8)]

[...] Program powstańczy uważamy w chwili obecnej za nadzwyczaj szkodliwy: u inteligencji, nie mając żadnego oparcia w rzeczywistości, otwiera on drogę bładze i frazeologii, jakich przykłady zbyt często oglądamy, odwraca uwagę od pracy realnej, która właśnie szuka sobie dróg działania poza akcją zbrojną; wśród ludu program powstańczy wytwarza przesadne nadzieje natychmiastowe, po których przyjść musi niepożądana reakcja.

Należy przejąć się myślą walki i pracy legalnej i nielegalnej, nauczyć się ją prowadzić stale, hartować w niej i zaprawiać ogół tą drogą, wzmacniając się wewnątrz, dezorganizować i osłabiać politykę rządów zaborczych, zmuszając je nawet do ustępstw.

Długie lata takiej walki codziennej, ciągłej mogą się wydawać ciężarem nad siły dla zdenerwowanej, wyczerpanej naszej inteligencji, ale świeże warstwy ludowe brzemień to podejmują już i zgodnie z pewnikiem psychologicznym tym goręcej przywiązują się do narodowości swojej i wiary, im więcej trudów i ofiar w obronie ich ponoszą.

Naród nie jest spółką akcyjną, ani innym przedsiębiorstwem, łączność więc jednostki z nim nie powinna i nie może być oparta na perspektywie obfitej dywidendy. Słusznie mówi [Stanisław] Szczepanowski że nikt jeszcze na tej zasadzie nie zbudował ani narodu, ani religii. Uczucie narodowe, tkwiące korzeniami w nieświadomych albo na wpół świadomych właściwościach psychologicznych, na wyższym stopniu swojego rozwoju opiera się na przywiązaniu człowieka do swojego środowiska, do jego interesów, jego nadziei, jego wspomnień; jest jak się wyraził myśliciel francuski „świadomością wspólnych czynów spełnionych w przeszłości i pragnieniem łącznego tworzenia ich w przyszłości”. To nie marzycielski idealizm, ale najpospolitszy fakt psychologii zbiorowej, niezrozumiały dla tych tylko, którzy żyjąc na wzór nomadów w znaczeniu dosłownym albo przenośnym, moralnym, takiej potrzeby w duchowej organizacji swej nie posiadają. Nikt nie potrzebował



kupować ludu czeskiego dla Czech, ani ludu naszego w Poznańskim dla Polski; tu i tam dość mu było zrozumieć i odczuć, że wspólne dobra moralne są zagrożone, aby stawać w ich obronie; ta obrona i walka ogarnia coraz to obszerniejszy zakres życia, tworzy nowe węzły, łączące go z całością narodową, nadaje swoiste zabarwienie zabiegom ekonomicznym i w rezultacie z ludu, broniącego swej wiary i języka, tworzy prawdziwych obywateli kraju i prawdziwy we współczesnym słowa tego znaczeniu naród. To przywiązanie do ziemi, wiary, języka i całości społecznej tkwi zbyt głęboko w naszym ludzie, aby z tej strony zachodzić mogła jaka wątpliwość; raczej można by się obawiać z jego strony zbyt silnego patriotyzmu lokalnego, zbyt ciasnego pojmowania ojczyzny. Jest to fakt pospolity w dziejach, jak również pospolitym jest fakt przekształcania się w narodzie żywotnym tej formy patriotyzmu na wyższą, która obejmuje cały naród.

W tym właśnie tkwi klucz do zagadki, jak lud przejmie się ideą narodową, zagadki, do której nasi socjaliści niepotrzebnie dobierają różnych wytrychów, jak obietnic świetnego interesu, który lud robi na powstaniu itd.

W przeszłości możemy się chlubić pojedynczymi, niejako wybuchowymi faktami bohaterstwa wojennego, które mogło odnosić bezpłodne zwycięstwa, teraz wchodzimy w fazę stałego uporczywego męstwa, które jedynie może naprawdę zwyciężyć.

[...]



15. „[...] naród, który chce żyć i rozwijać się, nie może poprzestawać na obronie biernej”.

[Tadeusz Gruzewski, *Odbudowanie Polski* [w:] *idem, Polska i Rosja. Wybór pism*, wyboru dokonał i wstępem opatrzył Przemysław Dąbrowski, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków, Wydział Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2013 (Pierwodruk: „Przegląd Wszechpolski” 1903, nr 6–8)]

[...] Patriotyzm nasz jeszcze za czasów niepodległości i długo po jej utracie nie zdołał osiągnąć tego napięcia, ani tego bogactwa treści, jakie widzimy u narodów przodujących w cywilizacji. Wprawdzie jednostki albo niewielkie cząstki naszego narodu umiały się wznosić na poziom pod tym względem bardzo wysoki, wprawdzie w wielkich, uroczystych chwilach naród cały zdawał się być nim przejętym, ale dotyczy to zarówno jednostek, jak i chwil wyjątkowych. Patriotyzm życia codziennego, przejście się zwykłymi obowiązkami narodowymi i ich praktykowanie, poczucie mocniejsze spójni wiążącej jednostkę z całością narodową, słowem patriotyzm nowoczesny, który nie w egzaltacji osobistej albo zbiorowej czerpie siłę – taki patriotyzm masowy ukazuje się w Polsce dopiero w czasach najnowszych, jako owoc głębokich przeobrażeń społecznych. Prowadzi on w czasach naszych do organicznego odbudowania narodu polskiego, a więc do dania przyszłemu państwu trwałej i silnej podstawy, dzisiaj zaś coraz wyraźniej objawia się on we wzmaganiu się naszej siły społecznej, która w braku własnego państwa staje się dla nas jedyną naszą bronią w walce z wrogami i jedynym źródłem naszego przyszłego odrodzenia państwowego, jak dzisiaj już jest źródłem narodowego odrodzenia.

Nie ma dziedziny, w której by poczucie obowiązków i obrona interesów narodowych mogły się wyrazić pełniej i wszechstronniej, niż w codziennej walce naszej siły społeczno-narodowej z obcą przemocą państwową. W takiej walce dochodzi się dopiero do zrozumienia, że siła społeczna jest dzisiaj pierwszorzędą potęgą, wobec której najmocniejsza nawet władza państwowa posiada środki niewystarczające i zawodne. Jeżeli niezbyt jeszcze dawno my sami nie umieliśmy ocenić w należytych stopniu tej potęgi, którą rozporządzać może naród, skutki łańcuchami obcej państwowości, to dlatego przede wszystkim, że wówczas sama nasza siła społeczna była bardzo niewielka. Opinia nasza ograniczała się wtedy pod względem narodowym do pewnych obowiązków biernego raczej charakteru niż czynnego, do pewnych zakazów, np. zakazu wchodzenia w związki małżeńskie z osobami prawosławnymi, i w tej szczupłej dziedzinie umiała być nawet



dość surową i stanowczą. Grasująca przed laty jeszcze kilkunastu propaganda postępowego kosmopolityzmu albo moskalofilstwa, nie próbowała nawet robić wyłomów w tych nielicznych przepisach etyki narodowej, wiedząc, że spotkałoby ją sromotne fiasko. W karceniu objawów jawnego zaprzaństwa narodowego, nasza opinia w najgorszych nawet czasach popowstaniowych umiała być dość surową, aby powściągnąć „wszechludzkie” zapędy i postawić mur obronny przeciw naszym wrogom bezpośrednim i podającym im rękę członkom własnego narodu. Ale naród, który chce żyć i rozwijać się, nie może poprzestawać na obronie biernej. Historia ubiegłego wieku pozostawiła nam szereg szczytnych przykładów potężnego napięcia, które okazała siła społeczna ujarzmionych narodów, i zwycięstw, które odniosła nad władzą państwową, rozporządzającą siłą zbrojną i wszelkimi środkami materialnej przemocy. Najbliższym i dla nas najwymowniejszym przykładem są Czesi, którzy rozpoczęli swą walkę w warunkach tak ciężkich, jakich my nie mamy nawet w zaborze rosyjskim. Przeciw rządowi austriackiemu, jeszcze wtedy absolutnemu, przeciw miejscowemu społeczeństwu niemieckiemu, które opanowało wszystkie ważniejsze stanowiska ekonomiczne i kulturalne, wystąpiła garść chłopów czeskich, zamiast silnej podstawy materialnej mająca tylko potęgę duchową, wytrwałość, energię i silne poczucie narodowe, a zamiast siły zbrojnej, jako jedyny oręż, niepospolitą siłę społeczną – i widzimy obecnie, co po latach kilkudziesięciu zaciętej walki okazało się potężniejszym. [...]

A jednak my, przywaleni całą potęgą rządu najeźdźczego, mając spętane ręce tak, że pozornie ruszyć nimi nie jesteśmy w stanie, podjęliśmy wbrew temu rządowi wielkie dzieło oświaty narodowej mas ludowych i ich organizacji i prowadzimy je z powodzeniem, zdolnym rozproszyć niewiarę w przyszłość nawet bardzo upadłych na duchu sceptyków. Marzenie dawniejszych demokratów, budzenie się ludu do życia narodowego, dokonuje się w oczach naszych i w oczach naszych wrogów, którzy mimo swej rzekomej wszechwładzy nie tylko nie mają środków na zatrzymanie tego ruchu, ale nawet nie mogą zmienić jego charakteru ani kierunku. Mimo więziennych warunków, w których pod rządem rosyjskim znalazło się słowo drukowane, najnowszy ruch narodowy zdołał stworzyć już dzisiaj początki wolnej, niezależnej od cenzury publicystyki polskiej i zrobić z niej nie przedmiot przelotnej ciekawości i sensacji, ale prawdziwą i coraz głębiej odczuwaną potrzebę społeczną. A potrzeba taka stać się musi nową siłą społeczną, rozpierającą rozrostem swym wąskie ramy, w których wegetuje nasza prasa i piśmiennictwo. Ktokolwiek zdaje sobie sprawę z tych zdobyczy lat ostatnich, z tych rezultatów osiągniętych przez budzącą się siłę społeczeństwa, rezultatów, które z kolei posłużą za środki do



wzmacniania jej i rozszerzania dalej, ten przekonać się musi, że najszkodliwszym i najdziwniejszym przesądem, któremu dotąd hołdowało społeczeństwo, jest przekonanie o naszej bezsilności wobec Moskali. Tak! Byliśmy bezsilni, ale dlatego głównie, żeśmy w bezsilność swoją głęboko wierzyli. Dzisiaj w miarę tego, jak naród przekonywa się, że sam może los swój budować i w miarę jak pragnie tego, zjawia się w nim ta siła, której dotychczas nie dostrzegał wcale, albo oczekiwał od obcych. Pomyślmy, że ilość ludzi pracujących na niwie narodowej i ilość środków materialnych idących na te cele, jest w stosunku do ogólnych sił społeczeństwa bardzo niewielka, że mogłaby ona być dziesięć i sto razy większa i naturalnie tyleż razy większa nasza siła w walce z wrogiem, a zrozumiemy, iż rzeczywiście, choć na straży naszej narodowej abstynencji i bierności stoi żandarm i policjant, to wszakże jedyną skuteczną jej ochroną może być tylko własna nasza obojętność i demoralizacja.

W sile społecznej zawiera się obecnie nie tylko podstawa naszego odrodzenia narodowego i państwowego, ale nasza codzienna broń do walki z wrogami. Ona zastąpić nam nawet musi do czasu organizację państwową, jak zastępuje ją np. Czechom. Ktokolwiek więc istotnie chce, żeby naród zdobyć mógł lepsze warunki rozwoju, uznawać musi za najważniejszą rzecz wzmocnienie węzłów łączących społeczeństwo i, co za tym idzie, nie tylko wzmocnienie, ale i rozszerzenie obowiązków jednostki wobec narodu i społeczeństwa. [...]



16. „Na podłożu niewolniczej psychologii rodzą się bujnie niewolnicze myśli i zapatrywania”.

[Tadeusz Gruzewski, *Duch rosyjski jako wychowawca* [w:] *idem, Polska i Rosja. Wybór pism*, wyboru dokonał i wstępem opatrzył Przemysław Dąbrowski, Kraków, Ośrodek Myśli Politycznej, Wydział Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2013 (Pierwodruk: *W przededniu nowej próby dziejowej*, red. Władysław Studnicki, t. 2, Warszawa 1916)]

[...] Demoralizujący wpływ panowania rosyjskiego, czy to w czasie rozbiorów, czy w okresie mickiewiczowskich *Dziadów*, czy w ciągu późniejszych dziesięcioleci, był faktem oczywistym i najboleśniejszym dla przodujących umysłów polskich. Nie był też czymś przypadkowym, lecz wynikał z samej istoty rzeczy. Moskale, chcąc nad naszym narodem panować, świadomie lub nieświadomie dążyli do tego, ażeby mu odebrać wszelkie pierwiastki przewagi moralnej oraz wyższej kultury i zrobić z niego bierną masę, której łatwo narzucić niewolę. Dwa narzędzia, którymi posługiwał się najazd moskiewski jeszcze za czasów niepodległej formalnie Rzeczypospolitej – to postrach i korupcja. Są to zresztą dwa klasyczne środki, wypróbowane przy budowie państwa rosyjskiego i wychowaniu jego narodu. [...]

W jednym z listów do Mikołaja I pisze Paskiewicz, że dla stłumienia nieprawomyślnego usposobienia w Polsce należy jej szlachtę i inteligencję trzymać w ciągłym strachu. Wielkorządca carski chciał się, że ma zamiar uprawiać system terroryzowania nie przez rok, lecz przez szereg lat i chce, żeby ten, komu przychodzi w dzień występne myśli, „źle spał w nocy”.

Te słowa długoletniego namiestnika carskiego doskonale malują praktykę terroryzmu, stosowaną przed nim i po nim w naszym kraju. Tu nie chodzi nawet o surowe kary za przekroczenia narzuconych przez rząd przepisów, nie chodzi o utrzymanie legalności w takim czy w innym pojmowaniu, lecz o wszczęcie ludności chronicznego strachu przed władzą. Wszelka legalność, chociażby w ciasnych granicach przepisów wychodzących z góry, krępuje władzę moskiewską, gdyż tworzy swego rodzaju szaniec, za którym ludność ma zapewnione względne bezpieczeństwo. Ażeby strach, jak tego chciał Paskiewicz, prześladował ludzi w dzień i w nocy, potrzeba, iżby ci wiedzieli oraz czuli, że żadne rzeczywiste prawo ich nie broni, że są oni na łasce policji i urzędników, że muszą ciągle dbać o ich łaskę.

To wszystko urabia podwładnych na masę niewolniczą i wytwarza w niej stosowne nałogi. Chroniczny strach jest czymś upadlającym, do czego wstyd się przyznawać.



I oto za cnotą niewolników idzie też w tropy głęboki fałsz: wmawiają oni w siebie i w innych, że czynią to lub tamto nie z bojaźni, lecz z przekonania. Zresztą chroniczny fałsz, wynajdujący na swe poparcie różne dialektyczne sofizmaty, z biegiem czasu staje się rzeczywistością – rzeczywistością w subiektywnym znaczeniu, której już przestaje towarzyszyć poczucie kłamstwa. Na tej drodze powstają nawet pewne rodzaje sympatii lub uznania dla sprawców ucisku. Skoro bowiem są wszechwładni, mogliby uciskać jeszcze gorzej i bezwzględniej. Nieszczęśliwe ofiary po długich latach niewolniczej egzystencji skłonne są do uważania wszystkiego tego, czego im nie odebrano, za łaskawą darowiznę ze strony przemożnej władzy. Stąd już niedaleko do jakiejś patologicznej wdzięczności, do sympatii.

[...] Dewastacja szkolna przyniosła niepowetowane straty naszej kulturze narodowej i na łup ciemnoty i analfabetyzmu rzuciła nasze masy ludowe. W ciągu ostatnich lat dziesięciu w tak dotykany i bolesny sposób kraj nasz doświadczył skutków gospodarki moskiewskiej na polu szkolnictwa, że ludzi, dla których sprawa publiczna i przyszłość społeczeństwa nie jest obojętną, na ten widok ogarniać musi przerażenie. Z ciemnotą idzie w parze demoralizacja. Niewysoki poziom obyczajowy, wyniesiony z rodzimego środowiska, łączy się w biurokracji moskiewskiej zalewającej kresy z poczuciem bezkarności i samowoli. [...]

Proces ten w ciągu ostatniego pół stulecia tylko w wyjątkowych epizodach spotykał się z męczeństwem i z ofiarami, poza tym był zgoła czymś innym, chociaż w istocie nie mniej strasznym i ponurym. Była to stopniowa degradacja społeczeństwa – zduszenie, wyeliminowanie i wykoślawienie jego wyższych pierwiastków, przystosowanie do warunków niewolniczej egzystencji. W miarę jak idzie przystosowanie, zanika świadomość cierpień i dręczonej godności narodowej i ustępuje miejsca zgoła innym uczuciom, przyzwyczajeniom i upodobaniom. Sam wyraz „niewola” z codziennej a bolesnej rzeczywistości zmienia się w metaforę poetycką, w sentymentalny frazes, któremu w odczuwaniu i pojmowaniu szerokich kół brak rzeczywistej treści.

Na podłożu niewolniczej psychologii rodzą się bujnie niewolnicze myśli i zapatrywania. Wszystkie one na ogół zmierzały do rehabilitacji niewoli; nieraz nawet pod pozorem lekceważenia usiłowano panowanie rosyjskie uwolnić od najbardziej uzasadnionych i najcięższych oskarżeń. O ile chętnie w szerokich kołach rozprawiano o ucisku moskiewskim, o nienasyconej chciwości i rusyfikacyjnych pomysłach czynowników, o tyle skwapliwie omijano przykry, lecz nieporównanie ważniejszy temat – moralny upadek społeczeństwa, jako rezultat długotrwałego, deprawującego jarzma. Właśnie ulubionym przesądem inteligencji polskiej było



twierdzenie, że władza moskiewska w naszym kraju jest niewątpliwie przykra i uciążliwa, lecz nie może wywierać większego wpływu, a tym mniej urabiać uczuć, instynktów, myśli i wyobrażeń naszego społeczeństwa. To wszystko rozwija się rzekomo niezależnie od władzy moskiewskiej i całego systemu regulowanych przez nią stosunków.

Któż się nie spotykał z oklepanym a najniedorzeczniejszym zdaniem, jakoby Moskale nie byli dla nas niebezpieczni, gdyż stoją na niższym stopniu kulturalnym i ulegają pod tym względem naszemu wpływowi. W tym optymistycznym zapatrywaniu, ignorującym ogrom dokonanej dewastacji moskiewskiej, widzimy właśnie wymowny przykład moralnego i umysłowego przystosowania do istniejącego stanu, do niewolniczego bytowania. [...]



17. „Poza tobą, żołnierzu polski, gdy samotny na haku szubienicy zawieszasz – gdy lecisz w krwawy skazańca rów, z sercem zestrzelanym od kul żołdackich – gdy dogasasz powolnym straceniem w stepie Sybiru – nie powiewa sztandar dalekiej potęgi. Poza tobą nie ma nic”.

[Stefan Żeromski, *Sen o szpadzie* [w:] *idem, Sen o szpadzie. Pomyłki*, Warszawa, Czytelnik, 1957]

Kiedy oficer japoński, skazany na rozstrzelanie przez cudzoziemczy sąd polowy za służbę dla swego kraju, był zapytany przed egzekucją, co chce uczynić ze znalezionymi przy nim pieniędzmi i czy nie jest to z jego wolą zgodne, żeby te pieniądze jego dzieciom odesłać, rzekł: – Pieniądze przeznaczam na rzecz międzynarodowej instytucji Czerwonego Krzyża, a o los dzieci moich nie mam potrzeby się troskać, gdyż po mej śmierci mieć je będzie w swej pieczy – Mikado.

Usłyszawszy tę prostą odpowiedź wzdrygnął się w duchu świat znikczemniały, tym większym zdjęty zachwytem, że japońska sprawa była wygraną.

Poza tobą, żołnierzu polski, gdy samotny na haku szubienicy zawieszasz – gdy lecisz w krwawy skazańca rów, z sercem zestrzelanym od kul żołdackich – gdy dogasasz powolnym straceniem w stepie Sybiru – nie powiewa sztandar dalekiej potęgi. Poza tobą nie ma nic. Za tobą jest tylko dół wykopany na miarę twojego trupa. Przed tobą stoją armie. Twoich dzieci nie nakarmi, gdy skonasz, niczyja miłość. Wyprą się ciebie ziomkowie, zapomną współmieszkańcy, ponieważ w sercu ich nie trwa długo uczucie, a myśl, jak dawno – dawno wykryto, nie trwa godziny. Toteż dzieci twe przyjmie rynsztok, schronieniem będzie im – jako się już przydarzyło – kloaka, a nożowiec, skoro podrosną, będzie im mistrzem. Świat bliski i świat daleki nie wsłucha się w rapsod twojego skonu z zachwytem, gdyż nie jest twoja sprawa wygraną.

Toteż twe bohaterstwo wyższe jest niżli japońskie! Przeciwno tobie za szeregiem żołdaków – jest wszystko. Niechęć, trwoga, nienawiść, wrzaski dziedziców, bicie we dzwony fabrykantów, tajne intrygi tchórzów i ciemna niewiedza nędzy. Przerażone oczy narodowej samoniewoli spoglądają na ciebie ze szpar, ze szczelin, zza węglów i z dymników. Nienawiść wszystkich, komu niepotrzebna jest wspaniałość duszy, moc, nieustraszonność wytężonego ramienia, zdeptanie za cenę śmierci gronostajów tyranii – zmawia się na ciebie z wypróbowanymi doktrynami złądaczkiej filisterii,



wzywa na pomoc spryt i wymowę ścierwa dziennikarskiego i mrok zalegający niziny. W trop twoich męczeńskich kroków, które stawiasz przebiegle jak lis, cicho jak widmo idzie zbrodniarz, naśladowujący twój gest i – imię.

Twoja dola – to konać za święte idee, a konać bez ostatniej pociechy męznego człowieka: – bez sławy. Ale ty nie dla sławy wyszedłeś! Posłałeś siebie sam, ażeby świat, wbrew woli świata, wydrzeć spod skinień berła nocy. Twoje zadanie – to niweczyć przemoc człowieka nad człowiekiem, spod męki ciał wydobyć ducha ludzkiego, osadzić wśród ludzi miłość i prawo do szczęścia. Dlatego wyzwałeś na rękę łuk i koronę świata. Więc obok męczeńskiego twojego słupa dla tym większego urągowiska stawiają słupy – łotrów. Wyszędłeś w najciemniejszą, jesienną noc, gdy huczał wicher i bił deszcz, a my wszyscy, dwudziestomilionowy naród, spaliśmy w swych sypialniach, pokojach, izbach, poddaszach i norach podziemnych, kamiennym snem niewolników. Wyszędłeś, jak przemytnik, obnażony do pasa. Na plecach dźwigałeś składowe części drukarni. Byłeś obładowany pismami zwiastującymi wyzwolenie ciał i duchów. W lewej ręce trzymałeś żerdź, którą w ciemności szukałeś obieszczyka strzegącego granic ziemi – w prawej niosłeś rewolwer, gotowy do strzału. Tak przebywałeś graniczne rzeki. Szedłeś w kraj boso i krwawiąc nogi. Tej to nocy przyniesiona została Niepodległość do tego kraju nędzarzy ducha, popychanych pięścią obcego żołdaka. Tej też nocy przyniesiona została deklaracja praw świętego Proletariusza, która zdeptała przemoc bogaczy. Przyniosłeś wtedy bezcenne zwitki polskiego zakonu od zakłęsłych emigranckich mogił. Przyniosłeś „drugą strunę”, zerwaną z lutni nieśmiertelnych. Stąpiwszy na ziemię rodzoną, poszedłeś za jękiem ludzkim. Było ci drogowskazem stękanie pracującego człowieka. Ci, o których nie wiedziała Ojczyzna, ci, których trudem paść się świat, znalezieni zostali przez ciebie, podźwignięci, wezwani i złączeni w towarzyski obóz bojowników o wolność.

Któż dziś policzy te czoła płonące, które zastalił mróz Sybiru? Kto przebrnie objęciem przez ogrom tego cierpienia, które zniósł w kajdanach socjalizm polski? Kto zmierzy długość drogi, którą w śniegach, po grudach i moczarach wygnania wydeptał?

Szarpie dziś jego cześć i jego nieskalany honor polski dziennikarz, który z zadeptywania ogniów idei żyje. Naśladowując siepaczków, łączy szlachetny cień żołnierza z widmem łotra, który po śladach idzie i chwyta łup. Tęsknym echem, żołnierzu, odbijają się kroki twoje w tajniach ludu, jak echo odbija się w lesie. Jak echo w mrokach lasu – zamierają. Lecz ty sam jesteś ludem i krew twoja w lud wsiąka. Na wystygłych kałużach krwi, w dziewiczych tajniach wyrastają cudne



legendy, jakich jeszcze Polska nie miała. Budzą się w duszach sny o pióropuszu sławy...

Bo tylko poezja polska nie opuści cię, nie zdradzi i nie znieważy, żołnierzu! Ona jedna nie zléknie się twych snów i twoich czynów. Gdyby nawet sprawa twoja była przegrana – ona ci wiary dochowa. Ujrzy i spamięta dnie twe i noce, mękę, wysiłek, trud i skon. Złoży ona twą głowę, stłuczoną żołdackimi kolbami, na wezglowiu z najcudowniejszych wierszy, które dla ciebie jednego wyjmie po latach z przepychu prastarej mowy. Nakryje twój nagi trup bez złotego pasa i czerwonego kontusza – gdy go lud łódzki z pospólnego dołu wielekroć wykopie, żeby mu dać sosnową trumnę, to jedno, co lud dać może – płaszczem dostojności utkanym z najcudowniejszych barw sztuki. W twoje ręce skostniałe i dopiero w śmierci bezsilne włoży złoty swój sen, sen tylu pokoleń młodzieży, sen o rycerskiej szpadzie.

R. 1905

[Tematyka *Snu o szpadzie* dotyczy ludzi Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej, utworzonej i kierowanej przez Józefa Piłsudskiego, którzy w czasie rewolucji 1905 roku podjęli walkę zbrojną z rosyjskim zaborcą, pierwszą od czasów powstania styczniowego. Wśród jej czołowych bojowców byli: Stefan Okrzeja (1886–1905), pseudonim „Witold”, „Ernest” (robotnik, jeden z pierwszych członków OB PPS. Uczestniczył w zamachu bombowym na kancelarię XII rewiru policyjnego na warszawskiej Pradze. Schwytyany podczas tej akcji, został skazany na śmierć przez władze rosyjskie i stracony w Cytadeli warszawskiej); Józef A. Mirecki (1879–1908), pseudonim „Montwiłł” (jeden z najaktywniejszych działaczy OB PPS, m.in. dokonał udanych akcji ekspropriacyjnych w Opatowie, Pruszkowie i pod Rogowem. Po rozłamie w PPS, działał w Wydziale Bojowym PPS-Frakcji Rewolucyjnej. Aresztowany w listopadzie 1907 r., został skazany na śmierć przez władze rosyjskie i stracony w Cytadeli warszawskiej. W jednym z ostatnich listów z więzienia napisał: „Idea Niepodległości była zawsze przewodnią myślą mego życia i myśli tej nie zatraciłem nigdy”); Henryk Baron (1887–1907), pseudonim „Smukły” (robotnik, uczestnik wielu akcji przeciw policji carskiej, m.in. tzw. krwawej środy. Aresztowany w styczniu 1907 r., został skazany na śmierć przez władze rosyjskie i stracony w Cytadeli warszawskiej). Wielu bojowców służyło później w Legionach Polskich, m.in. Edward Gibalski (1886–1915), pseudonim „Franek”, jeden z uczestników słynnej akcji w Bezdanach, który jako oficer 1 Pułku Ułanów poległ pod Stobychową].



18. „Ta generacja uczy się, ćwiczy na polu broni i z zaciśniętymi zębami czeka”.

[Stefan Żeromski, *Nullo* [w:] idem, *Sen o szpadzie. Pomyłki*, Warszawa, Czytelnik, 1957].

Niegdyś we Włoszech, za czasów lombardzkiej tyranii, robotnik Sciesa skazany na karę śmierci w roku 1851 za przytwierdzenie na rogu ulicy odezwy rewolucyjnej i prowadzony na szafot – kiedy mu ofiarowywano wolność w zamian za wydanie nazwiska współnika, który mu wręczył druk wolności, odpowiedział w narzeczu ludowym Lombardii: „*Tirem inanz!*” – to znaczy: „Chodźmy!”. I zginął na szubienicy.

Lud polski fabryczny i rolny zawsze, ilekroć jego ręce przytwierdzają manifest Sciesy, podlega temuż, co on, kuszeniu ze strony moskiewskiego tyrana i tę samą daje odpowiedź: przepelnia ciałami swymi więzienia, idzie na wielką drogę Sybiru, zawisa na szubienicy. Wszelkie rodzaje przemocy, jakich dostarczyć może państwo militarne, kapitalistyczne i biurokratyczne, zużyte są przez pruską potencję do wydarcia narodowi polskiemu ziemi i praw w dzielnicy poznańskiej i do zdławienia jego kultury.

Państwo moskiewskie, nieudolny uczeń niemiecki, ciężarem swoim sto lat leży na narodzie polskim jak niezmierne pokłady gliny, które by przywaliły młode drzewko brzozowe. Ta martwa glina ssie soki z drzewa polskiego, przygniata gałęzie i zgina jego pień aż do ziemi.

Młody jest naród polski, nowy i nie znany światu. Nie uczestniczy w głośniejszym paradzie ludów i nie wydaje wieści o swym życiu w domu niewoli. Przebywa w półmroku, lecz swe rany, pracowicie dzień i noc odbudowuje domostwo zburzone przez napastników. W nieszczęściu swym nie zapomniał odwiecznej sławy, a wysnuł z niego wszystko, co się stać mogło nauką na życie nowe! Teraz milczy, pracuje i czeka na swój poranek!

Dzisiejsze jego pokolenie nie może się porozumieć z pokoleniem współczesnym żadnego z narodów – nawet za pomocą uniwersalnego języka sztuki. Tam są syci, a ono jest głodne. Tam pracują nad sztuką – kształtem, pięknym wytworem, przemyślnym wyrobem, subtelnym ornamentem. W Polsce od stu lat wszystko, aż do niezależnego tworzywa sztuki – jest dla ojczyzny. Pomiędzy drzwiami domu niewoli i między wejściem do wspaniałego pałacu, gdzie pracują, uczują i spoczywają panowie świata, młode polskie pokolenie straż trzyma i czuwa.

Ekonomiści angielscy stwierdzili, że najdoskonalsze kooperatywy



i stowarzyszenia rolne na świecie znajdują się wśród włościan polskich w Poznańskim – właśnie tam, gdzie nadobna rasa berlińska chce wytepić „narodowości niższego rzędu”. W lasach Brazylii chłopci polscy są najtęższymi, najcierpliwymi, najodporniejszymi i niezłomnymi kolonizatorami. Plemię polskie jest jednym z najbardziej rozrodczych w Europie. Jest także jednym z najbardziej uzdolnionych, gdyż w tymże Berlinie najtrudniejsze fabryczne roboty spełniają Polacy. We wszystkich dziedzinach techniki, wiedzy, sztuki Polska wydatnie pracuje.

Ten naród dwudziestodwumilionowy za to, że chce być sobą, jest prześladowany, jak nie był żaden na świecie – żyje w jarzmie niewoli gorszym, niż było austriackie w Lombardii – gorszym społecznie, niż było jarzmo Franciszka IV w Modenie i Ferdynanda II w Neapolu. Poprzez rozum tego narodu przeszły wszystkie zamysły, wszystkie przebiegłe sposoby ratunku, jakie tylko mógł wydobyć ze siebie geniusz Kamila Cavoura – ale nie dosięgły szczęśliwej mety spełnienia. Przez jego ręce przewinęły się wszystkie nici ponocnych spisków i sprzysiężeń, jakie tylko motał i zaplątywał tajny duch Włoch – Mazzini nieśmiertelny – lecz żadna z nich nie doprowadziła do drzwi wyzwolenia. Na polu walk roku 1831 i 1863 bił się on z męstwem, wytrwaniem i pogardą śmierci Garibaldiego, ale nie miał tej boskiej chwili Wyswobodziciela, kiedy – jak mówi Carducci – z „wysokości Gibilrossy oglądał oczyma Palermo...”.

Dziś, gdy wszystkie zamierzenia, wszystkie zabiegi, wszystkie – z sercem wyróconym na nice – podjęte usiłowania przezornych ojców zostały bez skutku – gdy z dwu stron, w Poznańskim i w Chełmszczyźnie, spod stóp narodu ziemia się usuwa – gdy na żadne układy, na żadne warunki, na żadne ustępstwa wróg się nie godzi i nie chce złamać ani jednego ogniwa łańcucha – młoda polska generacja zatęskniła do świstu moskiewskiej kuli i do ran pruskiego bagneta. Ta generacja uczy się, ćwiczy na polu broni i z zaciśniętymi zębami czeka.



19. „Nie rozpacz, nie poświęcenie mną kieruje, a chęć zwyciężenia i przygotowania zwycięstwa”

[Józef Piłsudski, *List do Feliksa Perla*, 1908 r. [w:] *idem, Pisma zbiorowe*, t. 2, Warszawa, KAW, 1990 (reprint wydania z 1937–1938)]

Do Felka

lub tego, co mój nekrolog pisać będzie.

Mój Drogi! Niegdyś obiecywałeś mi, że napiszesz śliczny nekrolog, gdy diabli mnie wezmą. Teraz, gdy idę na wyprawę, z której może nie wrócę, posyłam Ci swoją kartkę, jako nekrologiście, z małą prośbą. Nie idzie mi, naturalnie, o to, bym Ci miał dyktować ocenę mojej pracy i życia – nie! – masz pod tym względem zupełną swobodę, proszę tylko o to, byś nie robił ze mnie „dobrego oficera lub mazgaja i sentymentalistę...”, tj. człowieka poświęcenia, rozpinającego się na krzyżu dla ludzkości, czy czego tam. Byłem do pewnego stopnia takim, lecz było to za czasów młodości górnej i chmurnej. Teraz nie, to minęło i minęło bezpowrotnie – te mazgajstwa i krzyżowanie się dokuczyło mi, gdym na to u naszych inteligentów patrzył – takie to słabe i beznadziejne! Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża – słyszysz! – ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nieniewolniczą. Niech inni się bawią w hodowanie kwiatów czy socjalizmu, czy polskości, czy czego innego w wychodkowej (nawet nie klozetowej) atmosferze – ja nie mogę! To nie sentymentalizm, nie mazgajstwo, nie maszynka ewolucji społecznej, czy tam co, to zwyczajne człowieczeństwo. Chcę zwyciężyć, a bez walki i to walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydlęciem, okładanym kijem czy nahajką. Rozumiesz chyba mnie. Nie rozpacz, nie poświęcenie mną kieruje, a chęć zwyciężenia i przygotowania zwycięstwa.

Ostatnią moją ideą, której nie rozwinąłem jeszcze nigdzie, jest konieczność w naszych warunkach wytworzenia w każdej partii, a tym bardziej naszej, funkcji siły fizycznej, funkcji, że użyję tak nieznośnego dla uszu „humanitarystów” określenia (histeryczne panny, nie znoszące drapania po szkle, ale znoszące pranie ich po pysku) funkcji przemocy brutalnej. Tę ideę chciałem przeprowadzić w swojej działalności ostatnich lat i przyrzekłem sobie, że albo swoje zrobię, albo zginę. Zrobiłem już dosyć dużo w tym kierunku, ale za mało, by móc wypocząć na laurach i zająć się serio przygotowaniem bezpośrednim do walki, i teraz stawiam siebie na kartę.



I jeszcze parę słów o tym. Wiesz, że jedynym wahaniem moim jest, że oto ja zginę przy ekspropriacji i ten fakt chcę wyjaśnić. Pierwsze – to sentymentalizm. Tylem ludzi na to posyłał, tylem przez to posłał na szubienicę, że w razie, jeśli zginę, to będzie naturalną dla nich, dla tych cichych bohaterów, satysfakcją moralną, że i ich wódz nie gardził ich robotą, nie posyłał ich jedynie jako narzędzia na brudną robotę, zostawiając sobie czystą. To raz. Drugie – to surowa konieczność. Moneta! niech ją diabli wezmą, jak nią gardzę, ale wolę ją brać tak, jak zdobycz w walce, niż żebrać o nią u zdziecinniałego z tchórzostwa społeczeństwa polskiego, bo przecie jej nie mam, a mieć muszę dla celów zakreślonych. Chcę właśnie sobą, którego nazywano i szlachetnym socjalistą, i człowiekiem, o którym nawet wrogowie paskudztwa głośno nie powiedzą, człowiekiem zresztą, który ma trochę zasługi w kulturze ogólnonarodowej, podkreślić tę gorzką bardzo prawdę, że w społeczeństwie, które walczyć o siebie nie umie, które cofa się przed każdym batem, spadającym na twarz, ludzie ginąć muszą nawet w tym, co nie jest szczytnym, pięknym i wielkim. No, to tyle. A teraz buzi, chłopcze, Tobie i wszystkim Wam, starzy druhowie, z którymi się przemarzyło tyle, przeżyło jeszcze więcej i kochało się dobrze.

Twój i ich
Ziuk



20. Założyciel Związku Walki Czynnej.

[Władysław Studnicki, *Ludzie, idee i czyny. Pisma wybrane*, t. 3, oprac. Jacek Gzella, Toruń, Wydawnictwo Adam Marszałek, 2001]

[Kazimierz Sosnkowski] [...] nie przyjął propozycji udziału w zamachu bezdańskim, gdyż myśl jego pracowała już nad projektowaniem innej akcji, powołaniem do życia organizacji bojowego pogotowia, opartej na szerszych podstawach niż przynależność do PPS. Istniały próby takich organizacji, jak Związek Nieprzejednanych, jak Organizacja Młodzieży Odrodzenia, lecz były one niedługo trwałe. Organizacja przemyślana i założona przez gen. Sosnkowskiego, do której wciągnął wkrótce szczątki tamtych organizacji i znaczną liczbę PPS-owej młodzieży, rozwinęła się, i stała się ośrodkiem krystalizacyjnym dla ruchu strzeleckiego, a przez to dostarczyła kadr Legionom: „Celem Związku Walki Czynnej jest prowadzenie poza granicami caratu robót przygotowawczych, oraz wytworzenie organizatorów i kierowników technicznych dla przyszłego powstania zbrojnego”. W tym to czasie, dzięki bojkotowi szkoły rosyjskiej, kilka tysięcy młodzieży polskiej kształciło się w wyższych uczelniach galicyjskich, oraz za granicami Polski. Oni to byli podstawą Związku Walki Czynnej i ruchu strzeleckiego. Kryzys bośniacki wywołał zaostrzenie stosunków rosyjsko-austriackich, znamionował zbliżanie się wojny, co też zachęcało do wstąpienia do tej organizacji. Udział w niej Piłsudskiego i jego kierownictwo miało dla organizacji olbrzymie dodatnie znaczenie, lecz bez współpracy Sosnkowskiego, Piłsudski byłby nie osiągnął nawet połowy osiągniętych rezultatów, w Sosnkowskim bowiem miał nadzwyczaj inteligentnego, świetnego, niezmordowanego współpracownika.

Piłsudski przybył z Bezdán. Pomimo odniesionego sukcesu w depresji, głębokiej rozterce. Rozumiał dobrze, że droga, którą poszły organizacje bojowe, nie może dać upragnionych rezultatów politycznych. Myśl o innej drodze znajdowała się bodajże pod progiem świadomości Piłsudskiego. Wiedział, że ma oparcie tylko we Frakcji Rewolucyjnej PPS, lecz jej nie był pewny dla szerszych zamiarów. W rzeczy samej, zarząd PPS wydał cyrkularz wzywający członków PPS do wystąpienia ze Związku Walki Czynnej. Piłsudski, dla którego powstanie Związku Walki Czynnej było odradzającym jego energię nadspodziewanym objawem, osiągnął cofnięcie zakazu zarządu PPS-owców wstępowania do Związku Walki Czynnej. Wkrótce po tym, uprzedni przeciwnicy tego ruchu Jodko i Sulkiwicz z całą energią go popierali, a tylko koło Feliksa Perla, wytworzyła się grupka,



oponująca przeciw udziałowi PPS w przygotowaniach bojowego pogotowia. Na zjeździe młodzieży niepodległościowej w Leodium na Wielkanoc 1910 r. obecny tam Kazimierz Sosnkowski mówił: „Winniśmy budować takie zrzeszenia, które by nie tylko o Polsce umiały mówić, ale ją tworzyć. Droga do tego prowadzi przez armię polską”. Sosnkowski ruch rozpoczęty we Lwowie rozwijał na prowincji i we wszystkich miastach zagranicznych, gdzie było poważniejsze skupienie młodzieży. Na posiedzeniu Rady ZWC zaznaczał Sosnkowski, że jest to organizacja ścisła, konspiracyjna, do której należeć mogą tylko jednostki wyrobione, a jako taka nie może być polem dla wypróbowania ludzi nowych. Należy zorganizować koła luźne, które by były polem próbnym dla nowo wstępujących i nowym terenem dla agitacji. Rada Naczelna Organizacji przyjęła wniosek Sosnkowskiego, co przyczyniło się do rozwoju ruchu strzeleckiego. [...].



21. „Robota była typowo szkolna, i działania miały na celu wyrobienie metod i podstaw” (praktycznej działalności Związek Walki Czynnej).

[Michał Sokolnicki, *Rok 1914*, Londyn, Wyd. Gryf Publications, 1961]

Pod względem techniczno-bojowym Związek Walki Czynnej nie odróżniał się zasadniczo od organizacji bojowej, a tylko stanowił wyższą formę jej rozwoju. Zasadniczą różnicą był charakter ściśle przygotowawczo-szkolny i wykluczenie do czasu wszelkiej bojowej akcji. Całość roboty nabierała cech obliczonych na daleki dystans. Stąd nie było już tego codziennego rwania, tej dorywczej nieśmiałości, jaka cechowała prace bojówki. Robota była typowo szkolna i działania miały na celu wyrobienie metod i podstaw. Znacznemu rozwinięciu podlegały studia obchodzenia się z bronią: po rewolwerze Browninga i karabinku Mausera przyszło studium nad karabinem, z jego różnymi typami europejskimi, a nie wyłącznie rosyjskim, jak dotychczas, oraz granatem ręcznym; studium materiałów wybuchowych objęło nie tylko bomby – broń rewolucjonistów – ale miny i podkopy. Studia taktyczne przestały się koncentrować w dziedzinie walki rewolucyjnej w miastach i uwzględniały właściwą taktykę nowoczesnego boju. W szkole, pod kierownictwem i z inicjatywy Piłsudskiego, zaczęto się zajmować historią nowoczesnych wojen: przede wszystkim epizodami wojny burskiej i rosyjsko-japońskiej, a w dziedzinie wojen polskich, również za inicjatywą osobistą Piłsudskiego, bojami roku 1863. Wraz z zajęciem się historią ostatnich walk w Polsce, rozpoczęto studia nad topografią militarną kraju, a wraz z tym, ponieważ podręczniki w tej dziedzinie nie istniały lub nie były wystarczające, rozpoczęto naukę czytania map. Praktyka w dziedzinie taktyki boju ograniczała nas do działań małych oddziałów: organizacja ZWC była bowiem rozsypana po szerokim świecie, i nawet w centrach swoich, Lwowie i Krakowie, nie dość liczna dla przeprowadzenia ćwiczeń w oddziałach większych; przy tym, ćwiczenia takie, szczególnie z bronią w ręku, były legalnie niemożliwe. Drobne oddziały, w grupach co najwyżej kilkunastu ludzi, odbywały ćwiczenia w terenie; to przygotowanie, jeszcze dalekie od właściwej praktycznej taktyki, nabierało cech romantycznych. Przyszłe wojsko polskie tworzono w warunkach młodzieńczej konspiracji; każdy żandarm austriacki, spotkany po drodze, mógł rozpędzić oddział, przerwać nielegalne zajęcia, aresztować uczestników. Wszystko to się działo na podstawie jakiejś nieistniejącej umowy, podobnie do wielu innych czynności polskich w Galicji: nie tyle tam decydowały formy konstytucji, ile



przyjęty obyczaj, nawyki istniejące w urzędach i urządzeniach, naturalna gra sił, nie pozwalająca władzom na nadużywanie zakazu czy gwałtu. Wielu z odnośnych urzędników lub nawet policjantów było Polakami i, choćby nie solidaryzując się z ruchem ani sympatyzując z nim, ani nawet rozumiejąc jego konsekwencje, nie miało siły czy chęci mu się przeciwstawić. Od zewnątrz wyglądało to tak, jak gdyby władze wojskowe i polityczno-policyjne austriackie, a w szczególności władze autonomiczne w Galicji, prowadziły grę podwójną albo świadomie zamykały oczy. Tak, niestety, nie było. Istniała tylko naturalna niekonsekwencja i nieumotywowana niczym tolerancja. [...]



22. Zasługa Szymona Askenazego.

[Władysław Studnicki, *Ludzie, idee i czyny. Pisma wybrane*, t. 3, oprac. Jacek Gzella, Toruń, Wydawnictwo Adam Marszałek, 2001]

[...] Prace w zakresie naszych dziejów porozbiorowych przed trzydziestu kilku laty przedstawiały się bardzo ubogo. Bezkrytyczny, gołębio łagodny [Bolesław] Limanowski ukazywał nasze dzieje porozbiorowe jako nieustanną walkę o niepodległość, chociaż przeważał w nich prąd ugody, pragnienie przystosowania się i wyzyskania narzuconych warunków. [Tadeusz] Korzon i [Władysław] Smoleński ujawniali niezrozumienie i niechęć wobec legionów [Jana Henryka Dąbrowskiego]. [...] Wszystkie prace z zakresu dziejów porozbiorowych, do Askenazego, były oparte na przypadkowych pamiętnikach, drukach lub dokumentach znajdujących się w archiwach rodzinnych tego lub owego działacza politycznego. Nie były wyzyskane ani archiwa państw zaborczych, ani wydawnictwa źródeł dziejowych rosyjskich, niemieckich i austriackich. Nie były też należycie wyzyskane prace obcych historyków z zakresu końca XVIII i całego XIX w. Traktowano historię polską bez związku z dziejami Europy, nie uwzględniano wpływów organizmów państwowych mocarstw zaborczych na zabory, wpływu prądów europejskich na kształtowanie się wypadków w Polsce, oddziaływania polityki zewnętrznej państw zaborczych na stosunek tych państw do zaborów i sprawy polskiej w ogóle. Askenazy w ciągu wielu lat wykladał na uniwersytecie lwowskim na temat „Europa a Polska od rozbiorów do wojny krymskiej”.

Z wykładami tymi zaznajomiłem się po raz pierwszy w 1901 r., kiedy zamieszkałem we Lwowie i utrzymywałem kontakt z młodzieżą akademicką. Pamiętam dobrze przepelnione audytorium Askenazego. Wykład był ścisły, wnikliwy, charakterystyki postaci historycznych zwięzłe i obrazowe. Styl świetny, każde zdanie jakby rzeźbione. Mówił Askenazy wolno, przerywając częstokroć w pół zdania, jakby poszukując najbardziej odpowiedniego wyrazu. Treść wykładu była tak pociągająca, że wady dykcji, zatrzymywanie się w środku zdań nie zawadzały, a nawet potęgowały uwagę. Intensywny proces myślowy prelegenta udzielał się audytorium.

Wszyscy niemal obecni profesorowie historii czasów najnowszych wywodzą się od Askenazego. Prof[esor] Waclaw Tokarz nie był w ścisłym znaczeniu uczniem Askenazego, nie był bowiem jego słuchaczem, lecz prace Askenazego i bliskie zetknięcie się z nim wywarły dominujący wpływ na całą jego płodną i pierwszorzędnej



wartości działalność naukową. Prof[esor] Władysław Konopczyński pod wpływem Askenazego napisał cenną, opartą na kilkoletnich poszukiwaniach archiwalnych pracę „Polska w dobie wojny siedmioletniej”. Była to rzecz opracowana przy pomocy metod wprowadzonych do naszej nauki dziejów najnowszych przez Askenazego. Autor, obok strony wewnętrznej ówczesnego bytowania Polski uwzględnia cały splot polityki międzynarodowej, która w znacznej mierze decydowała o przyszłych losach Polski. Prof[esor] Adam Skałkowski studiował prawo na uniwersytecie lwowskim, wykłady Askenazego pociągnęły go i uczyniły historykiem. Pierwsza i bodaj najwybitniejsza praca prof. Skałkowskiego „Jan Henryk Dąbrowski” została napisana pod wpływem i kierunkiem Askenazego. Świetny pisarz historyczny, gen. Marian Kukiel, jeden z najwybitniejszych naszych legionistów z okresu wojny światowej, należał do uczniów Askenazego i był przez niego pobudzony do prac z zakresu legionów Dąbrowskiego i epoki napoleońskiej. [...]

Nie będę wyliczał wszystkich prac, które zawdzięczają swoje powstanie albo cenne pierwiastki Askenazemu. Osobiście czuję się Jego dłużnikiem. Moje dzieło „Sprawa polska”, będące podstawą ideologii przedwojennego ruchu niepodległościowego wiążącego nadzieje wyzwolenicze ze zbliżającą się wojną, oparte jest w znacznej mierze na materiale historycznym, z którym zapoznałem się przez prace Askenazego i jego szkoły. Zestawiając traktat petersburski z 1797 r., w którym unikano wyrazu „Polska” i „Polak”, z traktatem wiedeńskim, ustanawiającym Królestwo Polskie i mówiącym o reprezentacjach polskiego narodu w innych dzielnicach, Askenazy wykazywał, że wysiłki i próby odbudowy Państwa Polskiego w tych latach kilkunastu nie były bezpłodne, przy czym podnosił znaczenie legionów i Księstwa Warszawskiego. Księstwo Warszawskie i Królestwo Polskie – oto ważne ogniwa w naszym rozwoju w dobie rozbiorowej, dające nam odnowiony rezerwuar sił, umożliwiających przetrwanie w ciężkich dobach ucisku. W pracach z okresu Księstwa Warszawskiego i w pracach dających genezę Królestwa Kongresowego, Askenazy wykazywał, że podstawowym organem, rodzącym się przed innymi organami państwowymi, organem decydującym o powstaniu państwa, było wytworzenie polskiej siły zbrojnej. [...]

Przed wojną, nie chcąc utracić możliwości pobytu w zaborze rosyjskim, Askenazy drukował swe prace w Warszawie pod cenzurą rosyjską, stąd pisząc o stosunkach polsko-rosyjskich, musiał zachować zewnętrzną rezerwę. Jego niechęć do Rosji w Polsce zaznaczyła się w broszurze „Uniwersytet Warszawski”, wykazującej rusyfikacyjne tendencje i ubóstwa naukowe tej uczelni. W monografii Królestwa Kongresowego, zamieszczonej w zbiorze prac pt. „Dwa stulecia”, Askenazy



ukazuje wielki rozpęd gospodarczy i państwowy Królestwa Kongresowego. W „Łukasińskim” przedstawia demoralizujący wpływ związku z Rosją i pochodzące stąd poniewieranie godności ludzkiej. Nie pomija też charakterystycznego objawu, że projektowana konstytucja rosyjska miała iść w parze ze zniesieniem prawnopaństwowej odrębności Królestwa. Rewolucja rosyjska 1905 r., właściwie kryzys państwowy Rosji z 1904–1907 r., wywołał w Askenazym wielkie nadzieje na zdobycie prawnopaństwowej odrębności Królestwa, na powrót do stosunków Królestwa Kongresowego. Dał temu wyraz w broszurze politycznej „Uwagi nad listem Polaka do ministra rosyjskiego”. Lecz wkrótce reakcja polityczna w Rosji pogrzebała te nieuzasadnione nadzieje, oparte nie na przesłankach historycznych i gospodarczych, lecz na pragnieniu usunięcia najbardziej dokuczliwych bolączek. Doświadczenia polityczne tego okresu wywołały sceptyczny stosunek Askenazego do odezwy Wielkiego Księcia, do całej rosyjskiej orientacji. Askenazy stanął w okresie wojny światowej przy sztandarze niepodległości Polski, lecz wbrew przesłankom zawartym w jego pracach historycznych, był zwolennikiem neutralności póki sytuacja polityczna się nie wyjaśni i nie nastąpi zwycięstwo jednej lub drugiej z walczących potęg.

Podczas wojny światowej myśl moja zwracała się często do czasów napoleońskich, jako nasuwających analogię z przeżywanymi chwilami. Odczuwałem wówczas wdzięczność dla Askenazego za wzbudzenie zainteresowania tą epoką; [...] [lecz] stawiałem wówczas zarzut Askenazemu, że dla pogłaskania miłości własnej narodu nie powiedział całej prawdy. Lecz zaraz uświadamiałem sobie, że był jednak szerszy od innych naszych historyków, którzy tendencyjnie zatajali to, co on ujawnił. W broszurze „Książę Józef Poniatowski”, wydanej w Krakowie w 1913 r. podczas obchodu setnej rocznicy śmierci ks. Józefa, Askenazy cytuje słowa Napoleona, wypowiedziane na ratuszu w Warszawie zaraz po wstąpieniu do stolicy cesarza Francuzów: „Gdzie są wasi Czartoryscy, Radziwiłłowie, Sapiehowie, Potoccy? Wszystko to jest zaprzędane Rosji...”. Była to ostroga dana przez wielkiego wychowawcę ówczesnemu społeczeństwu polskiemu. Poskutkowała. Przedstawiciele historycznych rodów znaleźli się wkrótce w obozie walki z Rosją o restytucję Polski. Podanie tej mowy nie wymagało żmudnych poszukiwań archiwalnych, gdyż była ona drukowana we wszystkich ówczesnych gazetach, ale małodusznie zamilczana przez wszystkich historyków naszych prócz Askenazego. [...]



23. „[...] ważny jest właśnie CZYN, a nie są nic warte trwożliwe zaniechania i pasywne oczekiwania na zmiłowanie Historii”

[Jerzy Łojek, *Askenazego Przymierze polsko-pruskie* [w:] *idem, Wokół sporów i polemik. Publicystyka historyczna*, Lublin, Wydawnictwo Lubelskie, 1991]

[...] Z ogromną ekspresją, a zarazem z wielką ścisłością faktograficzną przedstawił Askenazy pruskie wykręty w roku 1792, gdy Ignacy Potocki domagał się – na mocy wyraźnych stypulacji traktatowych – udzielenia Polsce jeżeli nie pomocy zbrojnej przeciwko interwencji dworu petersburskiego, to przynajmniej pomocy dyplomatycznej w postaci mediacji w Petersburgu. Końcowe fragmenty dzieła Askenazego brzmią po dziś dzień ze szczególną mocą. Warto je czytać bynajmniej nie dla prymitywnego podniecania tradycyjnych uprzedzeń wobec polityki emancypacyjnej Sejmu Wielkiego, wywodzących się z ducha Waleriana Kalinki. Warto je studiować dla unaocznienia, że wszelkie współdziałanie międzynarodowe uzależnione jest od realnej wspólnoty interesów dwóch państw, że trwa tak długo, póki istnieje ta wspólnota, i że dla jej umocnienia trzeba podjąć czasami wyjątkowe starania i godzić się – w imię wyższych racji – na spore ofiary. Askenazy rozbił koncepcję pobożnych życzeń i mit najwyższego sensu dziejowego pokory i niedziałania społeczeństwa polskiego. Wskazał narodowi inną, nową drogę, przywołując wspomnienie lat 1788–1792: że tylko własnym wysiłkiem, własnym czynem, odwagą podejmowania działań można dojść do upragnionego celu. Że ważny jest właśnie CZYN, a nie są nic warte trwożliwe zaniechania i pasywne oczekiwania na zmiłowanie Historii.

Ze szczególną mocą zabrzmiały w nauce historycznej słowa Askenazego dotyczące całej koncepcji polityki Rzeczypospolitej w latach 1787–1791: „Przesilenie wschodnie [lat 1787–1791 – J.Ł.] stawiało Rzeczpospolitą, stawiało Sejm i naród wobec nieodzownego obowiązku decyzji i czynu. Trzeba było nie przepuścić tej jedynej pomyślnej konstelacji. Trzeba było wydobyć się nareszcie z bezwładzy, z nieruchomej biernej agonii, z nicości. Trzeba było albo z dworami cesarskimi pójść na Turcję, a widzieliśmy, jaka to była droga i widoki” – uprzednio Askenazy poddał całą tę koncepcję druzgocącej krytyce zarówno z politycznego, jak i z moralnego punktu widzenia – „albo też trzeba było pójść na dwory cesarskie, a wtedy pójść można było jedynie z Prusami. Dylemat był prosty. Żadna dzisiejsza [1900 – J.Ł.] hiperkrytyka dziejopisarska, żadne dziejopisarskie *l'esprit de l'escalier*, żadne niewczesne, spóźnione rekryminacje nie są zdolne zaciemnić tego



najprostszego dylematu, stawianego przez najprostszy ludzki rozsądek. Prawda: można było ten dylemat całkiem ominąć. Można było nic nie robić. Tylko że w takim wypadku karygodna bezczynność, niezaradne opuszczenie rąk, wygodna i trwożliwa apatia najniezawodniej byłyby się doczekały nierównie cięższych, a nieskończenie słuszniejszych rekryminacji i zasłużonego potępienia” (s. 43, wyd. Warszawa 1918).

Była w tym wszystkim ważka myśl, która owocowała następnie w programie polityki aktywistycznej czasu pierwszej wojny światowej, w czasie legionowym, w postawie tej części społeczeństwa polskiego, która umiała podjąć działanie dla realizacji największego celu: **niepodległości**. Askenazy z całą świadomością – mamy na to dowody choćby w jego rozmowach z Jerzym Stempowskim, z których sprawozdanie autor ten przed laty opublikował – tuszował pewne aspekty całego złożonego zagadnienia sytuacji Polski w dobie upadku Rzeczypospolitej, jak i sprawy polskiej przed Powstaniem Listopadowym. Nie chciał się wdawać w analizę własnych, polskich błędów, polskich zaniechań, polskich naiwności. Jakże charakterystyczne jest motto dzieła *Przymierze polsko-pruskie* zaczerpnięte z publikacji *O ustanowieniu i upadku Konstytucji polskiej 3-go maja*:

„A lubo, co do skutku, na jedno wypada, czyli zdrada pochodzi z wczesnego podstępu, czyli ze zmienności, jest wszelako różnica między tymi, którzy uwodzić się dają obrotom złej wiary, a tymi, którzy zawód cierpią z niestałości bądź osób, bądź rzeczy w świecie. Pierwszych o własną nieroztropność, drugich za los przeciwny lub za cudze chyba przestępstwa winować można”.

Tak więc Askenazy całą odpowiedzialność za klęskę programu politycznego, którego **fragmentem** był alians z dworem pruskim, złożył na niespodziewaną i w niczym przez Polaków nie zawinioną zmianę sytuacji międzynarodowej, załamanie się koniunktury, która przez trzy lata sprzyjała dziełu reformy i emancypacji międzynarodowej Rzeczypospolitej. Dzisiaj nie podzielamy już tego poglądu. Wydaje się bowiem, że polskie możliwości podtrzymywania tej koniunktury były w latach 1790–1791 znacznie większe, niż dawniej sądzono, i że polskie błędy (nie wnikając już, z jakiego politycznego uwarunkowania wynikające) wielce się przyczyniły do załamania się „konstelacji”, która dawała Rzeczypospolitej szansę prawdziwego odrodzenia. Dzieło Askenazego wywarło ogromny wpływ na polskie myślenie polityczne w okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową. [...]



24. „Największym nieszczęściem narodu, górującym nad wszystkim innym, była niewola”.

[Michał Sokolnicki, *Rok 1914*, Londyn, Wyd. Gryf Publications, 1961]

[...] Polacy, jak powszechnie wiadomo, odgrywali znaczną rolę polityczną w Austrii, i zaciężyli niejednokrotnie na rozstrzygnięciach politycznych monarchii habsburskiej. Czy więc, w przewidywaniu wojny, wypowiedali się w naradach czynników miarodajnych państwa? Czy mówili z instancjami rządowymi, a przede wszystkim z ministrem spraw zagranicznych o sprawie polskiej, jako najważniejszym elemencie politycznym przewidywanej wojny austro-rosyjskiej? Czy ich życzenia oddziaływały w jakimkolwiek stopniu na rząd i kierownictwo polityki zagranicznej? W jakim kierunku szły te życzenia? – Oto pytania, na które w naszym powstańczym obozie nie znajdowaliśmy odpowiedzi. Mieliśmy jednak wrażenie, że opinia Koła Polskiego, ministrów polskich Korony habsburskiej i tych czynników, jakie mogły mieć głos w Wiedniu, była mniej więcej następująca: wojna toczyć się będzie na ziemiach polskich i spowoduje w szerokich rozmiarach zniszczenie kraju, połączone ze stratami gospodarczymi; Polacy, będący jako masa lojalnymi poddanymi państw zaborczych, wejdą w skład ich armii i w armiach tych staną naprzeciw siebie jako wrogowie. Wskutek czego przelaną zostanie obficie, w dużej części przez Polaków, krew polska; wojna w takich warunkach będzie nieszczęściem dla narodu polskiego, podważy jego ekonomiczny dobrobyt i, co za tym idzie, pogorszy wszystkie szanse odrodzenia społecznego.

Odnosiłem wrażenie, że na podstawie takiego rozumowania miarodajni w Galicji Polacy w niczym nie przyczyniali się do pobudzenia Austro-Węgier do wojny, tak jak byli powinni ze stanowiska interesów narodu jako całości: przeciwnie, odradzali oni politykę stanowczą, zapewniając równocześnie, że jako lojalni obywatele państwa, spełnią w każdym razie swój obowiązek, to znaczy, że Polacy, gdy Austria rozkaże, wiernie staną w jej szeregach i walczyć będą za interesy monarchii. To zapewnienie o lojalności polskiej w stosunku do Habsburgów i Wiednia miało jednak swoją stronę wstydliwą. Łączyło się ono nie tylko ze skonstatowaniem faktu, że Polacy po drugiej stronie kordonu, w zaborze rosyjskim, są również z musu poddanymi państwa zaborczego, ale uznawało z góry słuszność zastosowania i tam, to znaczy w stosunku do Rosji, tego samego obowiązku lojalizmu politycznego, jaki się stosowało względem Austrii. Każda z dzielnic według tego miarodajnego mniemania musiała, więc miała, spełnić swój obowiązek względem zaborcy;



w jednym z zaborów w obliczu nadchodzącej wojny prowadzili Polacy politykę galicyjską i wiernopodańczą habsburską; w drugim, w widoku tejże przyszłej wojny, tworzyli neoslawizm i wyznawali wiernopoddaństwo rosyjskie. Tak pojęta polityka dwustronnie lojalistyczna prowadziła do wytworzenia koncepcji, że Polska, jako naród, będzie się wprawdzie biła w wypadku wojny w dwóch przeciwstawnych obozach, ale jednocześnie pozostanie pomiędzy nimi neutralną, i że opinia polska wobec takiej wojny zachowa jako własne i jedyne stanowisko: bierność.

Piłsudski wyznawał w tej sytuacji pogląd diametralnie przeciwny. Największym nieszczęściem narodu, górującym nad wszystkim innym, była niewola, brak samodzielności i brak własnego państwa. Najgroźniejszym niebezpieczeństwem dla narodu było dalsze trwanie stanu niewoli, mogące się przyczynić do osłabienia nadal poczucia samodzielności i poczucia honoru w społeczeństwie. W tych warunkach wojna, wraz z ofiarami od niej nieodłącznymi, była czynnikiem może jedynym – gdy zawiódł socjalizm międzynarodowy – zdolnym przełamać zastój, Polskę zbudzić. Brzmiały jeszcze słowa Stanisława Wyspiańskiego: *Może by nieszczęście nareszcie dobyło nam z piersi krzyku, krzyku, który by był nasz, z tego pokolenia*. Naturalnie, wojna mogła mieć ten swój odrodczy wpływ tylko wtedy, jeśli naród polski weźmie w niej udział jako świadomy siebie i samodzielny pierwiastek. Neutralność jest fikcją i niemożliwością, jest, co więcej, okłamywaniem siebie tam, gdzie w obu czy w trzech armiach będą się bić żołnierze Polacy. Bierność będzie nie tylko fałszem i samookłamywaniem, nie tylko wyborem tchórzostwa, ale wydanym na siebie samego wyrokiem niemocy.

W pojęciu więc Piłsudskiego i jego współtowarzyszy wybijało się na pierwszy plan pragnienie wojny jako takiej, uważanie wojny między Rosją a Niemcami i Austrią za jedyne możliwe w tym czasie postawienie sprawy polskiej. W tej upragnionej wojnie należało zająć swoje własne stanowisko, czyli być stroną. Przy tym Piłsudski miał do pewnego czasu nadzieję, że Polska i Polacy zdołają być stroną całkowicie samodzielną. Wojna na ziemiach polskich, wypowiedziana sobie wzajem przez zaborców, prowadzona przez armie, złożone w części z Polaków, da jedyną sposobność do tego powstania, jakie Piłsudski zamierzył już dawniej, w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, i jakie teraz stawało się nie tylko możliwym, ale jedynym, właściwym i koniecznym. Ogłoszenie powstania nazajutrz po wybuchu wojny europejskiej, wprowadzi powszechny zamęt wśród walczących wojsk, wywoła częściową dezercję z armii zaborczych i da materiał ludzki do kadr, tworzonych zawczasu przez wojskowe związki i organizacje przygotowawcze. Polska stanie się wówczas, z całą swą nową i odrodzoną siłą, stawką odrębną w grze między



mocarstwami i będzie mogła, jako czynnik samodzielny, pójść z tymi spośród nich, którzy jej dadzą możliwość egzystencji.

Nie o gwarancje tedy żadne na przyszłość rokował Piłsudski od 1909 ze sztabem austriackim, nie sojusz wojskowy przygotowywał on między polskimi organizacjami wojskowymi a armią austro-węgierską. Wiedział zbyt dobrze o niewspółmiernościach, znał aż nadto pychę i bezmyślną butę każdego z zaborców, nie wyłączając Austrii, wobec Polaków. Orientował się, że za sojusz czy za gwarancję zbyt drogo musiałyby w tej chwili Polska z góry płacić. Ale tym mniej myślał Piłsudski o wejściu powstania polskiego w skład armii austro-węgierskiej, o zredukowaniu go do charakteru jakiegoś oddziału pomocniczego dla Austrii. Cel jego pertraktacji i taktyka w stosunku do Austriaków, polegały wyłącznie na uzyskaniu potrzebnych dla własnego ruchu polskiego dogodnych warunków technicznych: od sztabu austriackiego wymagał w razie wojny dopuszczenia przemarszu samodzielnych oddziałów polskich, oraz dostarczenia broni, zaś w czasie pokoju – zezwolenia na organizację, na ćwiczenia z bronią, na oddzielne instytucje i szkoły wojskowe [...].



25. „Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, by ta niepodległość kosztowała dwa grosze wydatków i dwie krople krwi”

[Władysław Studnicki, *Z przeżyć i walk. Pisma wybrane*, t. 1, oprac. Jacek Gzella, Toruń, Wydawnictwo Adam Marszałek, 2002]

W końcu sierpnia 1912 r. odbyła się konferencja w Zakopanem, która powołała do życia Polski Skarb Wojskowy. [...] [Mowę wstępną wygłosił Władysław Studnicki]. Pomimo odbywającego się procesu przystosowania do niewoli, polski naród nie czuje się zadowolony ze swego upośledzenia politycznego i braku własnego państwa, lecz po powstaniu 1863 r. zapanowało poczucie, że jesteśmy za słabi na samodzielne powstanie, że warunki, w które nas wtłoczono mogą ulec zmianie tylko przez wojnę zewnętrzną. Stąd powstaje nadzieja na zmianę tych warunków, na samodzielność państwową, gdy horyzont polityczny się chmurzy, gdy zarysowuje się znaczne prawdopodobieństwo bliskiej wojny; powiew wiary w wojnę. Było to w okresie od 1889 do 1894 r., w okresie naprężonych stosunków między Rosją, a trójprzymierzem. Wówczas odrodziły się w Polsce prądy niepodległościowe: powstała z jednej strony Liga Polska, przeobrażona potem w mniej irredentystyczną Ligę Narodową, która od lat kilku uległa dekadencji i stała się ugodową; wówczas też powstało PPS, wysuwająca niepodległość Polski, jako zasadniczy postulat programowy. Dziś znowu naprężenie stosunków politycznych, imperializm rosyjski, skierowany ku zaborowi Galicji Wschodniej i Konstantynopola, agitacja za wojną Rosyjskiego Towarzystwa „Prikarpackoj Rusi” w Petersburgu, nasyłanie szpiegów na Galicję Wschodnią, wszystko to mówi o zbliżającej się wojnie. Kryzys bośniacki nie zakończył się wojną, lecz nie zakończył się pokojem. Wojna wisi w powietrzu, musimy być gotowi. Otóż od paru lat powstały organizacje militarne, organizacje naszego pogotowia rozwijające się pomyślnie; one dostarczą nam korpusu oficerskiego dla przyszłego naszego wystąpienia zbrojnego przeciwko Rosji podczas wojny, która się zbliża, one będą kadrami przyszłej armii polskiej, armia zaś jest organem państwowotwórczym, jest pierwszym organem powstającego państwa.

Na posiedzeniu Skarbu bardzo silną mowę wypowiedział Józef Piłsudski: „Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, by ta niepodległość kosztowała dwa grosze wydatków i dwie krople krwi, lecz niepodległość jest dobrem nie tylko cennym, ale i bardzo kosztownym”. Mówił o ciężkim położeniu narodu, który o mieczu zapomniał, opowiadał jak biernie i karnie zachowali się mieszkańcy



Mukdenu, gdy opuszczały ich wojska rosyjskie i następnie, gdy przychodziły wojska japońskie. „Taki jest los narodu, który zapomniał o mieczu. Polska powinna pamiętać o mieczu!”.

[...]

Skarb Wojskowy miał bardzo nikłe fundusze. Poznańskie nic nie dawało, w Królestwie nie mieliśmy zorganizowanej filii. Wiedzieliśmy, jaką odpowiedzialność pociągałoby znalezienie kwitariuszy Skarbu Wojskowego, więc woleliśmy tam nie wysyłać. Organizacje polityczne Królestwa, należące do Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, miały wpłacać do Skarbu w miarę możliwości, lecz zbyt wiele miały wydatków w stosunku do swych dochodów, aby dawać wydatną pomoc Skarbowi. Królewiaci łożyli na Skarb tylko podczas pobytu w Galicji. Widok ćwiczących się Strzelców w okolicach Krakowa rozrzewniał ich do łez, jako objaw tworzącej się, wymarzonej siły zbrojnej Polski. Najwięcej pieniędzy na Skarb Wojskowy dostarczała kolonia polska w Stanach Zjednoczonych. [...]

Budżet Strzelca, według sprawozdań Skarbu Wojskowego, wynosił zaledwie 600 kilkadziesiąt tysięcy koron, Drużyn Strzeleckich przekraczał zaledwie 200 tys. Głównymi wydatkami tak Strzelca, jak i Drużyn Strzeleckich były wydatki na ekwipunek. Strzelec wydał, według sprawozdania z 1913 roku, 554 789 koron, Drużyny Strzeleckie 162 587, na administrację wydano w Strzelcu 61 583 w Drużynach Strzeleckich 73 600, na broń i amunicję Strzelec wydał 20 tys., Drużyny 25 tys. Do ćwiczeń organizacje militarne otrzymywały broń od wojskowości, jeden karabin na 20 ćwiczących się i korzystały ze strzelnic wojskowych. Przy szczupłych funduszach Skarbu niepodobna było gromadzić broni. Wydatki na administrację były w znacznej mierze wydatkami organizacyjnymi. Wysyłano emisariuszy do robót przygotowawczych w zaborze rosyjskim. Skarb Wojskowy, zaraz po swym powstaniu, wydał odezwę wyjaśniającą jego istnienie i cele. Wywołało to napaści ze strony prasy warszawskiej. „Gazeta Warszawska” gorszyła się i wyrażała zdziwienie, jak może namiestnik Bobrzyński, przedstawiciel historycznej szkoły krakowskiej, dopuścić do utworzenia Skarbu Wojskowego.



26. „Akcja słowiańska to akcja rezygnacji, nie zaś zdobyczy”.

[Władysław Studnicki, *Z przeżyć i walk. Pisma wybrane*, t. 1, oprac. Jacek Gzella, Toruń, Wydawnictwo Adam Marszałek, 2002]

[...] Przed wyjściem nr. 4-go [wydawanego przez Studnickiego pisma „Votum Separatum”], poświęconego zwalczaniu panslawizmu Władysław Żukowski zaprosił na obiad mnie i Tadeusza Grużewskiego, stałego współpracownika mych dwutygodników. Zastaliśmy kilku posłów, członków Koła Polskiego i dwóch braci Mickiewiczów, przedstawiciele młodzieży postępowej. Z posłów byli Harusewicz, Władysław Grabski i paru innych. Nie było Dmowskiego. Przy obiedzie opowiadano sobie niepolityczne anegdoty, odpowiednio w towarzystwie męskim. – p. Żukowska była na letnisku. Po obiedzie podano czarną kawę w pokoju bawialnym i Władysław Żukowski zainaugurował dyskusję polityczną.

– Panowie – rzekł – zwracając się do mnie i do T. Grużewskiego – znam Wasze stanowisko w sprawie słowiańskiej i akcji współczesnej. Nie będę spierał się, czy wy, czy ci, co wzięli udział w akcji tak zw. neosłowiańskiej mają rację. To wykaże tylko historia. Akcja ta jest akcją naszej polityki zewnętrznej, jest obecnie w toku. Ustalił się zwyczaj, że gdy akcja dyplomatyczna się już rozpoczęła opozycja, niechętna jej, milknie na pewien czas, dopóki akcja nie dobiegnie końca. Wówczas przychodzi możliwość słusznego jej ocenienia i czas na zwalczanie tych, co ją nieodpowiednio zapoczątkowali. Otóż mamy do was prośbę: zaniechajcie na czas pewien swej krytyki, czekajcie na zakończenie akcji.

– Kiedyż ma być zakończona akcja słowiańska – odpowiedziałem. – Były dni słowiańskie w Petersburgu, będą w Warszawie, potem wycieczka do Pragi i uchwały słowiańskie, potem wystawy słowiańskie, banki i inne afery na tle słowiańskim, a więc długotrwała edukacja słowiańska, aż do przeobrażenia narodu polskiego w materiał etnograficzny, słowiański, na rzecz Rosji. Zakończenie akcji nastąpi po dokonanych samobójstwie narodowym. Uważając akcję słowiańską za szkodliwą, mam w przygotowaniu cały nr skierowany przeciwko tej akcji; podejmujemy walkę bezwzględna. Nie widzimy żadnej korzyści narodowej w zaniechaniu walki z akcją groźną dla samowiedzy narodowej.

– Znajdujemy się w zaborze rosyjskim w bardzo ciężkich warunkach, nie możemy uzyskać nawet samorządu miejskiego i ziemskiego. Nie tylko sprawy polskiej, ale bieżących spraw gospodarczych i kulturalnych nie możemy ruszyć z martwego punktu. Otóż siłą motorową szeregu tych spraw jest akcja słowiańska – mówił Władysław Żukowski.



– Kupić, nie kupić – potargować można – dodał poseł Harusewicz. – Czy możemy uzyskać koncesje dzięki akcji słowiańskiej, czy nie – to przyszłość okaże. Nie ryzykujemy, właściwie nie mamy co ryzykować. Za kilka mów, rezolucji i oświadczeń uzyskamy, bardzo być może, koncesje narodowe.

– Czego chcecie? – zawołał Gruzewski. – Obrócić sztandary narodowe na użytek gospodarski! Zrobi się z nich ścierki, a potem mają wrócić one znowu do godności sztandarów! Dewastujecie skarb świadomości narodowej, samą ideę narodową czynicie zbrukaną i ubogą, czy będzie ona żywotna, gdy przyjdą wypadki wymagające poświęcenia i ofiary? To, co – pozornie – nie kosztuje nic, może kosztować całą przyszłość narodową. Wystawiacie na wiatry słowiańskie, niweczące polskość, nasze ziemie historyczne: Litwę i Ruś.

– Wł. Studnicki: poseł Harusewicz lekko waży polskie deklaracje i zobowiązania, może jest to wpływ środowiska rosyjskiego. Rosja bardzo lekko waży swe zobowiązania nawet oficjalnej Rosji, cóż dopiero nieoficjalnej. Zobowiązania dane przez słabszą stronę łatwiej są egzekwowane. Moskale pragną, abyśmy w Galicji Wschodniej popierali rosyjskość, abyśmy uznali nasze ziemie historyczne za rosyjskie. Nasz akces do neoslawizmu, czy panslawizmu jest akcesem do samolikwidacji. Mamyż w Wilnie zakładać klub słowiański, polsko-rosyjski dla wzajemnego zbliżenia, gdy od rusyfikacji odseparowaniem tylko broniliśmy się? Mamy propagować teatr rosyjski w Wilnie i Mińsku!

– Poseł Wł. Grabski: Nasze ziemie historyczne są już tylko historią i niewiele nas winny obchodzić. Wolę jedną parafię w Poznańskim, niż cały powiat nowogrodzki.

– Wł. Studnicki: Kto co woli, to rzecz gustu. Jedni pragnęli kontynuować dzieje narodu, wchłaniać w dalszym ciągu pierwiastki, które go zasilały, cenią prowincje według już wykazywanej przez nie płodności duchowej i wartości potencjalnej, drudzy przez braterstwo słowiańskie gotowi są zrezygnować na rzecz Rosji z najcenniejszych pod względem płodności duchowej terytoriów. Nie wiem, jak oblicza wartość parafii poznańskiej p. Grabski i jak szacuje wartość naszego wschodu. Ale kto ma dać w zamian za jeden powiat wschodu jedną parafię w Poznańskim? Akcja słowiańska to akcja rezygnacji, nie zaś zdobyczy. Nie zamierzam spierać się z panami i dyskutować. Mamy już gotowy nr, w którym zwalczamy akcję i bezwzględnie wszystkich tych, którzy ze strony polskiej wezmą w niej udział. Czyj łeb wyłoni się z bagna słowiańskiego, uderzymy weń z całą siłą, z całą bezwzględnością.

– Nie mamy co dyskutować – powiedzieli pp. Harusewicz i Grabski i wraz z innymi członkami Koła opuścili zebranie. [...]



27. „Żadna faza naszego ruchu militarne go nie była tak trudną jak owa początkowa”.

[Władysław Studnicki, *Z przeżyć i walk. Pisma wybrane*, t. 1, oprac. Jacek Gzella, Toruń, Wydawnictwo Adam Marszałek, 2002]

[...] Byłem tylko w obozie irredenty polskiej, obozie, który, winien był przed wojną światową pomieścić cały naród. [...] Szukałem wówczas tylko jednego człowieka, któremu gotów byłem w wielu wypadkach podporządkować się, gdyż uważałem, że jego działalność jest bardziej nieodzowna dla naszej akcji niepodległościowej, niż moja. Człowiekiem tym był Józef Piłsudski. Mieszkał wówczas na emigracji w Krakowie, gdzie uprzednio prowadzoną przez siebie szkołę dla bojowców już przeobraził w szkołę militarną. Kapitałem jego moralnym był ten autorytet, jaki uzyskał w PPS. [...]

Doświadczenie mówiło mi, że od rzucenia i nawet spopularyzowania idei polskiego bojowego pogotowia do realizacji tegoż pogotowia – leży olbrzymia przestrzeń przepełniona wszelkimi trudnościami. Kto tę przestrzeń opanuje i trudności przewycięży, ten będzie twórcą polskiego militaryzmu. Aby to uczynić, trzeba uroku osobistego, trzeba mieć zorganizowaną i opierającą się na oddanej sobie organizacji popularność. W 1909 r. rozumiałem, że poza Piłsudskim nie mamy nikogo, kto mógłby tej rzeczy dokonać. Wiedziałem, że braki wykształcenia militarne go Piłsudski, od wojny japońskiej, usiłuje zapełnić wytężoną pracą samouctwa. W 1909 r. opracował powstanie 1863 r. pod względem militarnym.

Powiedziano mi, że był chory na nerwicę serca. Żona jego zakomunikowała mi, że nie wychodzi z domu, mało z kim się widuje, ale chce bym przyszedł z nim pomówić. Opowiadał Piłsudski, że choć jeszcze przed kilkoma miesiącami szydzono z jego pracy militarnej, to obecnie, gdy nastąpił konflikt rosyjsko-austriacki, brzemienny wojną, ci sami ludzie zapytują o rezultaty: ilu macie ludzi zdolnych prowadzić kompanię, kto mógłby prowadzić pułk? Już nasz ruch militarny nie wydaje się im zabawą ołowianymi żołnierzami nieodpowiednią dla ludzi dorosłych.

Żadna faza naszego ruchu militarne go nie była tak trudną, jak owa początkowa. Ludzie nie umieją myśleć genetycznie, brać objawy instytucji w zarodku, rozumieć znaczenie embrionu. – Jakież to może mieć znaczenie dla sprawy polskiej, że kilkudziesięciu młodych ludzi zapoznało się z nauką wojskową i rzemiosłem wojennym! Armie mają nie setki, ale setki tysięcy oficerów – oto argumenty, którymi wojowano podczas mej propagandy militarnej w „Tece” i znacznie potem, w przededniu wojny światowej.



Propaganda i dyskusja nie daje jeszcze rezultatów, trzeba, wskutek szeregu okoliczności, mieć możliwość, rozpocząć dokonywanie faktu. Tę możliwość, dzięki swemu autorytetowi politycznemu w partii, oraz przez zdobywanie niezbędnych pierwiastków wiedzy wojskowej, posiadał Piłsudski i w 1909 r. sam tylko Piłsudski, jakkolwiek w tej dziedzinie pracowali i inni. Taki np. Sikorski, jako zdolny oficer rezerwy austriackiej, mógł nawet w swoim czasie udzielać Piłsudskiemu nauki wyszkolenia; ale żaden z adeptów początków polskiego militarystyki nie mógłby przewyższyć tarcia otoczenia, przesądów, pochodzących z nieznajomości rzeczy. Piłsudski nie dyskutował, ale robił i swym adherentom rozkazywał.

Gdy na początku 1909 r. widział Piłsudskiego chorym i zdawało mi się, że na włosku wisi jego życie, odczuwałem, że na włosku wisi los naszego pogotowia bojowego. Oddałbym wówczas, gdyby to było można, wszystkie lata, jakie jeszcze miałem żyć, na korzyść przedłużenia jego życia. Nie było to wynikiem jakiegoś uroku Piłsudskiego wywieranego na mnie. W 1916 roku, w okresie Rady Stanu byłem z nim w antagonizmie, a gdy sprawą przysięgi uszczuplił nasze legiony, żałowałem, że go nie zastrzeliłem przedtem, że nie oddałem mego życia, aby ów człowiek nie żył!

Przeżywałem więc dwa biegunowo sprzeczne momenty w stosunku do Piłsudskiego. Każdy z nich oddziaływał na pewien okres. Pierwszy miał wpływ na mój stosunek do Piłsudskiego w przededniu wielkiej wojny, drugi trwał tak długo, dopóki nie przekonałem się, że Piłsudski już nie rozbija, ale cementuje naszą armię i pielęgnuje w niej pierwiastek polski, którego wyczuć nie mogła ogromna większość generałów z armii zaborczych.

Kto realizował moją wolę w polityce, choć nie dlatego, że ja tak chcę, ale że sam tegoż pragnął, w innym nawet celu, ten stawał się przedmiotem mego umiłowania. Kto realizacji tej woli przeciwdziała – stawał się moim wrogiem, gorszym od tych, co mi osobiście krzywdy wyrządzać chcieli. [...]



28. „Więzy rwij”!

[Tadeusz Katelbach, *Spowiedź pokolenia, przejrzał, poprawił i posłowiem opatrzył Sławomir Cenckiewicz, Gdańsk, Towarzystwo Przyjaciół Grodna i Wilna „Osobita”, 2001]*

Byłem wtedy w czwartej klasie gimnazjalnej i miałem zaledwie trzynasty rok. Pewnego dnia przed feriami wielkanocnymi, w czasie wielkiej pauzy, jeden z moich kolegów zapoznał mnie ze starszym szóstoklasistą. Nazywał się Tadeusz Boykowski. [...] Oględnie, lecz wyraźnie zaczął mi mówić o konieczności zrzeszania się młodzieży polskiej w tajnych organizacjach, które poprzysięgły sobie walkę o niepodległość Polski i postęp społeczny. Na zakończenie wręczył mi do przeczytania dwa pisma szkolne: „Ruń” i tajne pismo „Jutra”. Pod tytułem „Jutra” figurował napis: Organ Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej.

Byłem pod wrażeniem tej rozmowy. Zachwyciło mnie przede wszystkim, że zwrócono na mnie uwagę i że widać nadają się do tego, aby być dopuszczonym do koła nielicznych wtajemniczonych. W chłopięcej wyobraźni powstał zaraz obraz tajnych spotkań i sprzysiężeń – żywej kontynuacji tradycji powstańczych, którymi nasycone było ostatnie stulecie naszych dziejów i mury rodzinnej Warszawy. Język „Jutra” był mocny, bezkompromisowy, w całym tego słowa znaczeniu rewolucyjny. Socjalizm pisma miał charakter szlachetnego idealizmu, apelującego bardziej do uczuć, niż do rozumu młodych czytelników.

Na drugi dzień oświadczyłem memu koledze, że godzę się na przystąpienie do Związku i czekam na zawiadomienie o pierwszym zebraniu. W najbardziej nieoczekiwanej chwili, gdy znajdowałem się w kościele Św[iętego] Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, słuchając pilnie kazania wygłaszanego przez jednego z katechetów z okazji przedwielkanocnych rekolekcji, przysunął się do mnie Janek Czarnocki i zawiadomił szeptem, że nazajutrz po południu udamy się wprost z kościoła na zebranie organizacyjne.

Był słoneczny, piękny dzień wiosenny, gdyśmy wraz z nim z kościoła Sióstr Wizytek przez Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat biegli pędem, aby nie spóźnić się na zebranie. Odbywało się ono w narożniku u zbiegu Nowego Światu i Alei Jerozolimskich, w domu w którym mieściła się wówczas „Kawiarnia Udziałowa”, a później „Café Klub”. Przed samą bramą Czarnocki, jako już doświadczony w materiałach konspiracyjnych, zwolnił kroku, rozejrzał się na wsze strony, po czym szybko weszliśmy do bramy i stanęliśmy na pierwszym piętrze przed jakimiś drzwiami. Janek zapukał, drzwi się otworzyły i w zupełnie ciemnym przedpokoju



zobaczyłem sylwetkę jednego z uczniów klas wyższych naszego gimnazjum, młodzieńca o semickim wyglądem. Nigdy przed tym nie przeszło mi przez myśl, że właśnie on może należeć do tajnej organizacji. Z lekka utykał, odznaczał się zawsze nienagannie skrojonym mundurem szkolnym i starannie utrzymaną, błyszczącą fryzurą. Przywitaliśmy się w milczeniu, potem wsunęliśmy się do obszernego pokoju. Story były zapuszczone. W rogu, na stole paliła się lampa naftowa, otoczona ciemnopąsowym abażurem. W całym pokoju unosił się dym papierosów. Na razie nie mogłem w ciemnościach rozróżnić żadnej twarzy. Z trudem przysiadłem się na jakimś podsunętym mi krześle. Kontrast słonecznego dnia wiosennego i półmroku pokoju, oświetlonego zaciemnioną abażurem lampą, podziałał na wyobraźnię. Byłem bardzo przejęty tym widokiem i dopiero po dobrych kilku minutach zacząłem przysłuchiwać się słowom mówcy, również uczniowi naszego gimnazjum nazwiskiem Kamieński. Powoływał się wciąż na Wilhelma Feldmana i rozwijał temat, streszczający się w dwóch słowach: „Więzy rwij”.

[...] Wracalem Alejami Jerozolimskimi, Bracką, Szpitalną na Hortensję. Byłem pod wrażeniem zebrania. Nad wszystkim jednak górowało uczucie dumy, że jestem oto członkiem organizacji, która na pewno jest częścią jakiegoś potężnego, tajnego mechanizmu walki podziemnej z moskiewskim najeźdźcą. Im bliżej byłem domu, inne pytanie zaczęło zaprzętać głowę. Przyznać się rodzicom czy nie przyznać? Zdecydowałem jednak, że „czystość sprawy” rozgrzeszy mnie nawet z kłamstwa. Na szczęście było to niepotrzebne. Nikt mnie o nic nie pytał. Przypuszczano, że wracam z rekolekcji. Nigdy zresztą po tym nie doszło do formalnego aktu przyznania się. Po paru miesiącach rodzice doskonale wiedzieli, że „do czegoś należę” i milcząco akceptowali moją działalność konspiracyjną.

Nazajutrz odbyła się spowiedź, a następnego dnia ustalonym trybem komunია. Lecz o skupieniu religijnym nie było tym razem mowy. Modlitwą stawały się słowa: „Więzy rwij, więzy rwij”.



29. „Myśmy chcieli niepodległości narodu”

[Tadeusz Katelbach, *Spowiedź pokolenia, przejrzał, poprawił i posłowiem opatrzył Sławomir Cenckiewicz, Gdańsk, Towarzystwo Przyjaciół Grodna i Wilna „Osobita”, 2001]*

Wejście do tajnej organizacji oznaczało zupełny przełom. Nie od razu wprawdzie pochłonęła mnie praca konspiracyjna. Byłem wciąż jeszcze pilnym uczniem i prymat obowiązków ucznia dominował nad wszystkim. Byłem wierzącym i nie ulegałem nonszalanckiemu tonowi z jakim część kolegów organizacyjnych traktowała kościoł i w ogóle sprawy religijne. Najbliższym światem była wciąż jeszcze rodzina i grono mych rówieśników z ulicy Hortensji. Żaden z nich na razie do konspiracji nie należał. [...]

Upłynęło sporo czasu, zanim mój stosunek do rodziny i szkoły uległ poważniej zmianie. Powoli jednak konspiracja zaczęła zwyciężać niepodzielnie. Zaczęło się od czytania. Już po roku miałem w repertuarze szereg przeczytanych broszur o Marksie, znałem *Manifest komunistyczny*, wyznawałem się w „Programie Erfurckim”, połknąłem w ogóle niezliczoną ilość broszur i prac socjalistów polskich, a nawet rosyjskich. Przeczytałem chyba całego Limanowskiego. Literatura socjalistyczna interesowała mnie swoiście. Socjalizm wzbudzał we mnie przede wszystkim sympatię. W oczach młodego chłopca był najbardziej bezkompromisowym wyrazem walki o prawa robotnicze. Walka klas, choć samego brzmienia tych słów nigdy nie lubiłem, oznaczała dla mnie bohaterskie zmaganie moralnie i materialnie upośledzonego człowieka o lepsze warunki bytu z tymi, których pozycja materialna i socjalna opierała się na wyzysku upośledzonych. W tych zmaganiach byłem po stronie upośledzonych. Niechętny zaś stosunek do teorii walki klas zrodziło proste pytanie, czy przygotowując naród do walki o niepodległość, można równocześnie pozwolić sobie na propagowanie idei walki klasowej. Albo jedno – myślałem – albo drugie. Wybierałem bez wahania walkę o niepodległość.

Czytając *Różę*, *Ludzi bezdomnych* lub *Słowo o bandosie* Żeromskiego, zdawało mi się, że jestem socjalistą jego stylu. Żeromskiego pochłaniała wyłącznie sprawa polskiego robotnika. To mi w Żeromskim odpowiadało. Lubiłem *Czerwony Sztandar* lub *Na barykady, ludu roboczy*, gdyż były to pieśni śpiewane przez polskich robotników, których widziałem idących w pochodach, manifestujących przeciwko rosyjskiemu zaborecy. Los robotników innych krajów był mi najzupełniej obojętny. Nie umiałem zwłaszcza zdobyć się na sympatię dla robotnika niemieckiego lub rosyjskiego. Dlatego hasło: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”, było dla



mnie frazesem pozbawionym zupełnie żywej i realnej treści. Nie umiałem wreszcie wykrzesać w sobie biblijnego kultu, który żywili różni moi koledzy dla Marksa i jego teorii.

[...] Ledwo oswoiłem się z socjalizmem, gdy musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie, na czym polega różnica ideowa między naszym Związkiem i inną organizacją, działającą sprawnie w szkołach polskich, występującą pod nazwą Młodzieży Narodowej. Uważaliśmy ją za ekspozyturę szkolną Narodowej Demokracji, kierowanej przez tajną Ligę Narodową. Młodzież Narodowa uważała nas znowu za ekspozyturę PPS, choć żeśmy się na to bardzo oburzali. Gdy w 1911 roku Narodowa Demokracja zniosła bojkot szkół rosyjskich w Królestwie Polskim, usiłowaliśmy na razie obciążyć tym faktem Młodzież Narodową. Narodowcy jednak bronili się dzielnie, zastrzegając się przeciwko identyfikowaniu stanowiska ND z ich stanowiskiem. Jak się wkrótce okazało, byli istotnie bezkompromisowi w sprawie utrzymania stanowiska bojkotu szkół rosyjskich. Piętnowali bezlitośnie łamistrąjków, to znaczy tą część młodzieży polskiej, która zaczęła uczęszczać do rosyjskich gimnazjów rządowych. Mimo wspólności frontu w tej sprawie, polemizowaliśmy nadal z „narodowcami”, zarzucając im dalej jakąś tajemną zależność organizacyjną od Dmowskiego. Wieści o rozejściu się Młodzieży Narodowej z Narodową Demokracją przez długi jeszcze czas przyjmowaliśmy z niedowierzaniem.

Nazwisko Romana Dmowskiego było w naszej organizacji uważane za symbol prorosyjskiej ugody. Czytałem z zainteresowaniem jego książki – *Myśli nowoczesnego Polaka*, *Upadek myśli konserwatywnej w Polsce* lub *Rosja, Niemcy i kwestia Polska*. Uczyłem się z nich wiele, podobnie jak z książek Zygmunta Balickiego lub Jana Popławskiego. Lecz wszystko odpychało nas od ówczesnych wskazań politycznych Narodowej Demokracji i jej wybitnego przywódcy. Myśmy zaprawiali się do nieustępliwej walki z Moskwą o niepodległość; on uczył godzenia się z rzeczywistością, zalecając pielęgnowanie niepodległości wewnętrznej. Program polityczny Dmowskiego ograniczał się do postulatu autonomii i hasła zjednoczenia wszystkich ziem polskich pod berłem cesarza rosyjskiego. Myśmy chcieli niepodległości narodu. Panslawizm był dla nas wymysłem imperializmu rosyjskiego, on godził się z tą ideą w imię wspólnej walki z głównym niebezpieczeństwem – germańskim. Myśmy marzyli o odrodzeniu dawnej Rzeczypospolitej, zamieszkaney nie tylko przez Polaków, lecz Litwinów, Białorusinów czy Rusinów, on myślał o Polsce w granicach etnograficznych, a więc bez dużej części naszych kresów wschodnich. W sprawie żydowskiej, Dmowski



był bezwzględny, zarówno politycznie jak gospodarczo. Wpływem żydowskim przypisywał największe nieszczęścia w życiu międzynarodowym i w życiu polskim. Dla nas, ożywionych szlachetnym humanitaryzmem, Żydzi dzielili się na kilka kategorii: Polaków wyznania mojżeszowego, obcą społeczność polskiemu, ciemną masę ortodoksyjną i na z grubsza biorąc tzw. „esdeków”, którym to słowem określaliśmy żydowskich wyznawców znienawidzonej przez młodzież Róży Luksemburg, wybitnej komunistki owych czasów i zapamiętałej przeciwniczki niepodległości Polski. Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL) podobnie jak lewica PPS-u, składały się głównie z Żydów.

[...] Bez wyjątku niemal rozczytywaliśmy się w dziejach powstań polskich. *Lukasińskiego* – Szymona Aszkenazego wertowaliśmy na wszystkie strony. Połykaliśmy *Echa leśne*, *Wierną rzekę*, *Urodę życia* i *Popioły* Żeromskiego. Żeromski najbardziej podniecał wyobraźnię młodzieńczą. Porywała nas ta literatura. Prusa oczywiście lubiliśmy. Czytaliśmy wszystkie książki autora *Faraona* i *Lalki*, lecz nic więcej. Sienkiewicz kończył się na *Trylogii*. O *Rodzinie Połanieckich* wyrażaliśmy się z pogardą, uważając, że ideały głoszone przez Sienkiewicza w tej książce, zmierzają do sparaliżowania w narodzie woli walki o niepodległość. Szacunkiem otaczaliśmy Aleksandra Świętochowskiego, lecz jego suchy racjonalizm był nam zawsze obcy. Zrywaliśmy wszelką więź psychiczną z popowstaniowym pozytywizmem. I dlatego czuliśmy idiosynkrazję organiczną do Romana Dmowskiego. Cała bowiem jego działalność polityczna tych czasów, więcej niż twórczość publicystyczna, była dla nas najklasyczniejszym ucieleśnieniem pozytywizmu, który kazał społeczeństwu godzić się z rzeczywistością politycznej niewoli narodu. Toteż byliśmy w stosunku do Dmowskiego nieprzejednani i młodzieńczo bezwzględni. Pamiętam, że dwukrotnie byłem na jego odczytach w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, aby podrzucać pod krzesła epruwetki napełnione cuchnącym płynem. Uprzykrzaliśmy w podobny sposób życie łamistrajkom. Zwłaszcza w karnawale leciały szyby podczas balów organizowanych przez studentów-Polaków rosyjskiego uniwersytetu lub politechniki. Innym razem wśród gości balowych zjawiali się specjaliści wysłannicy, którzy zgniłymi jajami zatruli atmosferę tańczącym parom. [...]



30. „Z trudu naszego i znoju Polska powstanie, by żyć”

[Wszystkie poniżej cytowane utwory za: „*Rozkwitły pąki białych róż...*”. *Wiersze i pieśni z lat 1908–1918 o Polsce, o wojnie i o żołnierzach*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Andrzej Romanowski, Warszawa, Czytelnik, 1990. Antologia ta została poświęcona dziadom autora opracowania – żołnierzom I Brygady Legionów Polskich – Jakubowi Bytnarowi (1892–1966), nauczycielowi i Stanisławowi Bytnarowi (1897–1945), nauczycielowi, więźniowi niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, który zmarł w transporcie do obozu w Dachau, ojcu Jana Bytnara „Rudego” (1921–1943), harcerza Szarych Szeregów, jednego z bohaterów *Kamieni na szaniec* Aleksandra Kamińskiego. Aresztowany przez gestapo, katowany w czasie śledztwa przy alei Szucha, został odbity przez kolegów z Szarych Szeregów w słynnej akcji pod Arsenalem, przeprowadzonej 26 marca 1943 roku. Zmarł cztery dni później wskutek maltretowania w czasie śledztwa].

(Anonim)

Hymn strzelecki

Naprzód, drużyno strzelecka,
Sztandar do góry swój wzniesь,
Żadna nas siła zdradziecka
Zniszczyć nie zdoła ni zgnieść.

Czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju,
Czy w tajgach Sybiru nam zgnieć,
Z trudu naszego i znoju
Polska powstanie, by żyć.

Nic nie powstrzyma rycerzy
Ofiarnych na mękę i trud,
Każdy pod sztandar swój bieży
Do walki o wolność i lud.

Czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju (itd.)

Hufiec nasz ruszy zwycięski
Do walki o wolność i byt,
Wrogowi odpłacić za klęski,
Polsce swobodny dać świt.
Czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju (itd.)



Jerzy Żuławski

Do moich synów

Synkowie moi, poszedłem w bój,
jako wasz dziadek, a ojciec mój –
jak ojca ojciec i ojca dziad,
co z Legionami przemierzył świat,
szukając drogi przez krew i blizny
do naszej wolnej Ojczyzny!

Synkowie moi, da nam to Bóg,
że spadną wreszcie kajdany z nóg,
i nim wy męskich dojdziecie sił,
jawą się stanie, co pradziad śnił,
szczęściem zakwitnie, krwią wieków żyzny,
łan naszej wolnej Ojczyzny!

Synkowie moi, lecz gdyby Pan
nie dał wzejść zorzy z krwi naszych ran,
to jeszcze w waszej piersi jest krew
na nowy świętej Wolności siew:
i wy pójdziecie, pomni puścizny,
na bój dla naszej Ojczyzny!

Józef Mączka

Wstań, Polsko Moja!

Wstań, Polsko moja!
Uderz w czyn!
Idź znów przebojem w bój szalony.
Już płonie lont podziemnych min –
Krwawą godzinę biły dzwony –
Zerwane pęta – Uderz w czyn!



Wstań, Polsko moja!
Strząśnij proch!
Żalosne marzeń ucisz łkania!
Za Tobą zimny smutków loch –
Przed Tobą świty zmartwychwstania!...
Z anielskich skrzydeł strząśnij proch!

Wstań, Polsko moja!
W ogniach zórz
Nowe się szlaki krwawią Tobie!
O, lżej Ci będzie w gromach burz,
Niżeli w zwiędłych wspomnień grobie –

Wstań, Polsko moja, w blaskach zórz!



31. Organizacje strzeleckie w zaborze austriackim.

[Jerzy Kirszak, *Relacja gen. dyw. Tadeusza Piskora „Ludwika” z prac Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego w latach 1910–1914*, „Niepodległość” 2005, t. 55]

Organizacja strzelecka posiadała właściwie dwie formy, jedną jawną z zarządem i komisją rewizyjną na czele, która ze [Hipolitem] Śliwińskim na czele starała się uchylić wszelkie przygotowane ciosy ze strony administracji galicyjskiej. Drugą natomiast formę tajną stanowiła Komenda Główna oraz organizacja ZWC, która nadal istniała i do której przyjmowani byli ludzie wyjątkowo zaufani. Wreszcie specjalne zadanie spełniały Rady Główne ZWC. [...]

Wprost Komendzie Głównej podlegał wyższy kurs oficerski, którego komendantem był obywatel [Kazimierz] Sosnkowski, zaś jego stałym zastępcą obywatel [Albin] Satyr-Fleszar. Na kurs wyższy byli przyjmowani absolwenci niższej szkoły oficerskiej. Na kursie tym były wykładane przedmioty wchodzące w zakres działania większych jednostek, przy czym każdy niemal z uczestników otrzymywał jakąś pracę seminaryjną do wykonania. Prace te w wielu wypadkach oceniał sam Komendant Główny. On też przygotowywał szereg założeń do ćwiczeń aplikacyjnych. Tematem, który przez Komendanta Głównego był szczególnie studiowany była ostatnia wojna rosyjsko-japońska, której działaniami zajmowało się również i wielu uczestników kursu wyższego. [...] We Lwowie była zorganizowana szkoła podoficerska. [...] Tak kurs rekrucki jak szkoła podoficerska dzieliły się na plutony, których w zależności od ilości uczestników było od dwóch do czterech. Organizacja tych plutonów nie była ani stałą ani też jednolitą, gdyż uzależnioną była od ilości uczestników, jak i czasu ich przybywania czy ubywania. Np. początkowo ilość plutonów była znacznie mniejsza, w środku zaś trwania kursu znacznie większą gdyż przybywali nowi uczestnicy, w końcu zaś ilość plutonów się zmniejszała dość znacznie, gdyż większa część uczestników po zdaniu egzaminów (zwłaszcza ci z wcześniej rozpoczętych kursów) ubywała do szkoły oficerskiej. Wreszcie decydował o takiej czy innej organizacji plutonów również podział na frekwentantów pilnych i niepilnych, czyli takich, którzy uczestniczyli regularnie na zajęcia i takich, którzy je dość często opuszczali. W r[oku] 1913 do Szkoły Podoficerskiej przydzielono cały pluton robotniczy.

Przy wyszkoleniu, które normalnie winno trwać na kursie rekruckim – pół roku, w szkole podoficerskiej – również pół roku – zajęcia we wszystkich plutonach nie rozpoczynały się jednocześnie, gdyż zależne to było od czasu przybywania



kandydatów. Zajęcia na kursie rozpoczynały się zwykle od odczytywania rozkazów i nowych zarządzeń, pochwał i udzielania nagan dla opuszczających swoje zajęcia, po czym rozpoczynały się wykłady, czy też zajęcia praktyczne. Stosunkowo największy nacisk kładziono na budowę podwaliny subordynacji wojskowej, którą ujmowano jako jedną z głównych podwalin wychowania żołnierskiego. [...]

W roku 1912 w myśl rozkazu szefa Sosnkowskiego zostałem wyznaczony do pomocy w pracach sztabu nad zagadnieniami mobilizacyjnymi do obywatela [Mariana] Kukiela. Oprócz mnie pamiętam przydział również [Juliana] Stachewicza i [Tadeusza] Żulińskiego. [...] Wtedy to przygotowane zostały rozkazy i instrukcje mobilizacyjne, które umieszczone były w specjalnych kopertach z czerwonym nadrukiem „M”. Mobilizacja strzelecka była pomyślaną w ten sposób, iż miała się dzielić na dwa powołania, czy też rzuty. Pierwsze powołanie miało składać się z czynnych członków i ewentualnie sympatyków, to jest takich ludzi, którzy nie należąc do organizacji, byli jednak jej zwolennikami i z których też rekrutowali się zazwyczaj nowi uczestnicy. Mobilizacja tego powołania miała się zakończyć najdalej w ciągu czterech godzin. Drugie powołanie miało już znacznie więcej czasu do przeprowadzenia swojej mobilizacji i obejmować miało nie tylko członków organizacji, którzy nie stawili się z przyczyn usprawiedliwionych na mobilizację pierwszego powołania, lecz i ochotników których werbunkiem mieli się zajmować wszyscy.

W celu więc umożliwienia mobilizacji pierwszego powołania w tak krótkim czasie, były poczynione już pewne przygotowania w czasie pokojowym. Np. wszyscy uczestnicy musieli stale podawać każdą zmianę adresu, w domu musieli mieć przygotowane wszystkie przybory potrzebne do należytego wyekwipowania się polowego, naturalnie w ramach możliwości każdego i wreszcie do ich obowiązku należało stawianie się bezwzględnie na wezwanie do zbiórki mobilizacyjnej tak przygotowani, by mogli już bez żadnych ociągań i przeszkód natychmiast wyjechać na miejsce koncentracji. W oddziałach byli znów wyznaczeni stali gońcy, np. u mnie na kursie podoficerskim było takich gońców czterech, którzy mieli w razie alarmu mobilizacyjnego natychmiast zawiadomić uczestników.

Skrupulatnie też był odnotowywany wyjazd każdego uczestnika na dłuższy czas, przy czym w takim wypadku uczestnik przechodził w stan urlopowanych. Było też przeprowadzonych kilka zbiórek alarmowych, na których specjalnie sprawdzano realność wydanych zarządzeń mobilizacyjnych. [...]

Początkowo wojskowość austriacka na terenie Lwowa szła nam na rękę, później jednak warunki pożycia pogorszyły się znacznie. Rozpoczęły się szykany. Zabroniono



nam początkowo chodzić z bronią, którą wolno było nosić jawnie dopiero poza rogatkami miasta, następnie chciano nam w czasie marszu większych oddziałów dodawać asystę w postaci policjantów austr[iackich], wreszcie odmówiono nam prawa korzystania ze strzelnic i placów ćwiczeń, próbowano odebrać karabiny, np. w czasie ostatnich wyborów. W końcu, aby prowadzić jakie takie wyszkolenie strzeleckie, proponowaliśmy urządzić gdzieś na terenie jakiegoś majątku strzelnicę, gdzie moglibyśmy kontynuować w dalszym ciągu strzelania szkolne. Inaczej było w Krakowie, gdzie stosunki te były jaskrawym przeciwstawieniem tego co było we Lwowie i w Galicji Wschodniej.



32. Związek Jastrzębi.

[Tadeusz Münnich, *Pierwsze kroki*, „Komunikat Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie” 2000, nr 111/112/113]

Wiosną roku 1911 doszła do mnie, jako ucznia 7 kl[asy] gimnazjum w Dębicy, wiadomość o stworzeniu tajnej organizacji wojskowej pod nazwą Związek Jastrzębi. Od ucznia gimnazjum w Mielcu, Tadeusza Bigo, otrzymałem statut org[anizacji] oraz pierwsze instrukcje organizacyjne i fragmenty podręcznika taktyki ogólnej – gen. Grentera – w polskim tłumaczeniu. Wspólnie z kolegami, Kazimierzem Jurczyńskim, Leopoldem Schönem, Wojciechem Pelczarskim, Stanisławem Szelowskim, Władysławem Rogiem, Tomaszem Saganem i Władysławem Morbitzerem, postanowiliśmy utworzyć oddział tej organizacji wśród uczniów gimn[zjum] w Dębicy.

Statut Związku Jastrzębiego wymagał ślubowania żołnierskiego, tajności oraz związanych z nią pseudonimów dla członków – wprowadzał dyscyplinę i hierarchię wojskową oraz organizację. Za cel stawiał walkę zbrojną o niepodległość i przygotowanie do niej. Nie zdołaliśmy zgłębić wówczas, ani nigdy potem, źródeł tej organizacji. Ale atmosfera, jaka wówczas zaczęła się rozszerzać, sprzyjała przyjęciu się tej myśli wśród młodych, szczególnie jak my przeciętnie szesnasto-, siedemnastolatków. Do świadomości wielu z nas dochodziły odgłosy walk oddziałów bojowych PPS 1905–[190]7 roku. Jako dla syna warszawianki, a więc mając tam całą rodzinę Matki, życie i wypadki w tzw. Kongresówce były dla mnie tym bliższe. Od dzieciństwa myślami i tradycją rodzinną (Dziadek – Sybirak z 1863 r.) byłem związany mocno z Królestwem, dzięki wielkiemu umiłowaniu przez Matkę tradycji i Kraju od dziecka stale nam pieśnią i słowem przekazywanym. Nie wiedzieliśmy jeszcze o powstaniu w 1908 r. Związku Walki Czynnej i kolejno Strzelca we Lwowie i Krakowie.

Do młodych uczniów prowincjonalnego gimnazjum, wiadomości te nie dotarły jeszcze. Toteż od razu i żywo poczęliśmy organizować nasz oddział Związku Jastrzębiego. Zostałem przez kolegów powołany na jego dowódcę. Spośród zaufanych kolegów z kl[as] VI i VII powstał rychło pierwszy dość liczny oddziałek, około 40 członków. Niżej klasy VI nie rozpoczynaliśmy werbunku z uwagi na wiek, wyżej do klasy VIII nie udało się sięgnąć – by dotrzeć do co starszych kolegów, już pochłoniętych myślami o maturze i uniwersyteckim życiu.

Od razu rozpoczęły się zajęcia i ćwiczenia. [...] Z natury rzeczy te pierwsze kroki



naszej pracy były słabe jeszcze i nieporadne. Kontakt organizacyjny z góry był bardzo słaby, środki i pomoce naukowe czy ćwiczebne, choćby w formie wydawnictw czy instrukcji – prawie żadne. Ale ochota do pracy, której poświęcaliśmy niemal wszystkie wolne od nauki godziny, raczej się potęgowała. Były więc ćwiczenia formalne, wszystko bardzo „tajne”, wykłady na stacjach kolegów (Sagan, Róg), u mnie.

W tych warunkach doszła mnie z prasy codziennej wzmianka o istnieniu w Krakowie stowarzyszenia Związek Strzelecki – odbywanych przezeń ćwiczeniach wojskowych. Notatka brzmiała poważnie – i raczej przychylnie – choć nie wspominała o władzach, ale podawała wiadomości świadczące o pewnym już rozgałęzieniu organizacji i wojskowym poziomie. Było to, o ile pamiętam, opisanie jednego z ćwiczeń strzeleckich w Krakowie.

Wiadomość ta zelektryzowała nas i po porozumieniu z kolegami postanowiłem nawiązać łączność z Krakowem, a przede wszystkim uzyskać o organizacji wiadomości z pierwszej ręki. Postanowiłem więc – sam nie mogąc jechać – wysłać delegację naszego oddziału do Związku Strzeleckiego Kraków dla informacji. Pojechali, zdaje się, koledzy Szelowski, Schön i Pelczarski. Po zameldowaniu się ich w komendzie Strzelca w Krakowie i u Komendanta „Mieczysława” [Józefa Piłsudskiego] – raport ich był tego rodzaju, że postanowiliśmy z całą resztą organizacji przystąpić do Strzelca. Nie mogąc jako uczniowie należeć jawnie do żadnej organizacji, ustalono, że oddział nasz będzie oddziałem Związku Walki Czynnej – tajnego poprzednika i właściwie podstawy Strzelca. Związek ten działał równoległe ze Strzelcem, tam gdzie jawne oddziały Strzelca nie mogły być organizowane.

Wiosną przeto 1912 roku, przyjechał zapowiadany delegat komendy okręgu Kraków, oficer Strzelca, ob. „Cavour” (pseudonim) [Jan Bolesław Urbanowicz]. Zebrany nasz oddział w tzw. Borku, lasku pod Dębicą (gdzie była strzelnica wojskowa austriacka) w szyku czekał na niego. Po złożeniu mu raportu i jego przemówieniu odebrał od nas ślubowanie i odtąd staliśmy się częścią organizacji Związku Strzeleckiego jako oddział ZWC Dębica. Z tą też chwilą rozpoczęła się systematyczna praca organizacyjna i wojskowo-szkoleniowa. Nadeszły, zakupione z naszych składek, regulaminy musztry i walki, broszury o broni itp., druki raportów oraz stany służby – jak też numery „Strzelca”, czasopisma wojskowego Związku.

Komenda oddziału pozostała przy mnie, zastępcą został ob. Kruk (Kazimierz Jurczyński), d[owód]cą 1 plutonu – Wojciech Pelczarski, d[owód]cą 2 plutonu – Leopold Schön. Utworzyliśmy szkołę podoficerską według programu Związku.



Tak rozpoczęła się regularna praca wojskowa – jeśli można przyjąć określenie „regularna” wobec uczniów zajętych nauką, a ponadto „żołnierzy” opłacających składki, kupujących bony Skarbu Narodowego i regulaminy oraz druki wojskowe z własnych uczniowskich funduszków – a nawet i mundury, na razie w postaci czapek strzeleckich, noszonych jedynie tajnie na ćwiczeniach nocnych.

[Spośród wymieniony członków Związku Jastrzębiego Leopold Schön „Płoszowski” (1894–1914), student Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, poległ jako chorąży 2. Pułku Piechoty Legionów 28 października 1914 r. pod Babczami, w czasie bitwy pod Sołotwiną w Karpatach. Władysław Morbitzer „Kosa” (1893–1915) był żołnierzem 1. Pułku Piechoty I Brygady Legionów. Poległ 20 lub 21 października 1915 r. w bitwie pod Kukłami w kampanii wołyńskiej].



33. Szkoła strzelców w Stróży

[Tadeusz Münnich, *Letnia szkoła Związku Strzeleckiego w Stróży*, „Strzelec”, 17 marca 1935, nr 11]

[...] Szkoła została zorganizowana w kompanię szkolną o czterech plutonach, każdy w sile około 24-ch ludzi. Trzy plutony znalazły pomieszczenie w dworku, jeden z nich musiał się ulokować w przyległej stodole. Dwór został przerobiony na koszary. Umebłowanie składało się z tapczanów, służących za łóżka, a nad każdym tapczanem znajdowały się trzy kołki. Na pierwszym wisiał manlicher, na środkowym tornister, na ostatnim z prawej strony saperska łopatka, zaś na gwoździu u góry umieszczało się menażkę.

Komendę nad całą szkołą objął obywatel. Komendant Główny, Mieczysław [Józef Piłsudski], ze swoim szefem sztabu obywatel. Józefem (gen. K[azimierz] Sosnkowski). Komendant wraz z szefem sztabu zamieszkał we wsi, w położonej w pobliżu szkoły zwykłej chatce wiejskiej. Na dowódcę kompanii został wyznaczony Komendant Okręgu Krakowskiego Związku, obywatel. Ryszard – (obecny generał brygady i dowódca korpusu, Mieczysław Trojanowski). Dowódcami plutonów szkolnych i oficerami kompanii zostali: I. Jerzy (Jerzy Ołdakowski), II. Stanisław (Stanisław Kittay), III. Karasiewicz (Michał Karaszewicz-Tokarzewski), IV. Kordian Lwowski (Monasterski Tadeusz).

[...]

Wykłady Komendanta Głównego były zawsze kulminacyjnym momentem zajęć. Komendant z całą otwartością przedstawiał nam wszystkie trudności, jakie napotkamy na samym wstępie, tj. podczas mobilizacji sił zbrojnych, na terenie, będącym pod panowaniem wroga, wskazywał na znikomość środków technicznych improwizowanej armii wobec olbrzymiego aparatu, jaki na swe usługi posiada państwo: koleje, telegrafy, magazyny z żywnością i bronią, środki prawnego przymusu, stałe kadry wojskowe, ogromną organizację gotową do wchłonięcia powołanych pod broń wyćwiczonych sił. Słowem, powstanie ma do czynienia z tysiącem niewiadomych i luźnymi atomami, które w żaden system się nie układają i które często tylko za pomocą bardzo misternych, opartych na zmyleniu czujności wroga, sposobów połączyć się dają. Tezy swe Piłsudski ilustrował przykładami z roku [18]31 i [18]63 i stale powtarzał nam, że na początku ruchu możemy liczyć na szczupłą tylko awangardę, która musi zaryzykować i pociągnąć za sobą siły główne.

Dzień szkoły był bardzo pracowity. Od pobudki o godz. 6 rano i gimnastyki,



rozpocynały się zajęcia przedpołudniowe, trwające do godz. 12. Po przerwie obiadowej od 12–14 dalsze zajęcia do godz. 19, po czym, po godzinnej przerwie na kolację, przybywały jeszcze niemal codziennie do godz. 21, tak zwane seminaria, tj. studium regulaminów i instrukcji oraz repetycje. Ćwiczenia praktyczne i w terenie przypadały zależnie od warunków atmosferycznych na okres zajęć przed lub popołudniowych. Wreszcie o godz. 21 capstrzyk i gaszenie światła oraz spoczynek.

Ale snąć mało było tych zajęć, czy też ochota i głód wiadomości zbyt wielki, gdyż wszystkie plutony prosiły przy raportach o pozwolenie utrzymania świateł i po capstrzyku, by mieć możliwość uzupełnienia swoich wiadomości poza godzinami obowiązkowych zajęć.

Ostatecznie ustalili się skutek tego następujący porządek dnia:

6.00 trąbka na wstawanie – pobudka, 6.45 – 7.00 gimnastyka. 7.00 – 8.00 śniadanie, 8.00 – 12.00 zajęcia względnie wykłady, 12.00 – 14.00 przerwa obiadowa, 14.00 – 18.00 zajęcia, musztra, 18.15 apel wieczorny, 19.00 – 20.00 kolacja, 20.00 – 22.00 czas wolny, wzgl. seminaria, 22.30 spoczynek.

Główny nacisk w wyszkoleniu położony był na ćwiczenia praktyczne z walki i służby polowej oraz instruowanie i wydawanie komend. Poza tym musztra, budowa umocnień polowych, zakładanie min i fugasów oraz ćwiczenia nocne i alarmy. We wszystkich zajęciach i ćwiczeniach wymagana była niezwykła ścisłość i precyzja. Wpływała ona nie tylko może z niezwykłej skrupulatności i rygorystyki dowódców, ale z wyjątkowej gorliwości elewów. Tylko młody zapał, niezwykła chęć zdobycia sprawności i wiedzy wojskowej, głęboka tęsknota i cześć dla broni i munduru polskiego, wreszcie górna atmosfera ideowa, mogła wytworzyć taki nastrój. Wszyscy elewi szkoły byli, niezależnie od ich funkcji i stopnia w Związku, na prawach szeregowych. Każdy kolejno przechodził na zmianę wszystkie szczeble służby od szeregowych do komendanta plutonu. Funkcje te zmieniało się codziennie. Tak więc od sprzątania i porządków, od pomocnika kucharza, mycia kotłów i obierania kartofli, do d[owód]cy plutonu czy sekcji, względnie podoficera służbowego lub inspekcyjnego szkoły, każdy po kolei przechodził te funkcje.

Od godziny 21-ej do 6-ej zaciągano na noc wartę w składzie 8-miu ludzi; wystawiała ona 2 posterunki, zmieniane co 2 godziny. Nastrój w szkole panował podniosły. I chociaż był to czas pokoju, zamieszkała w tym dworku stróżańskim i szła na ćwiczenia, atmosfera obozu i walki, tchnienie biwaków styczniowych powstańców i akcji bojowców z pod Rogowa i Bezdán. [...] Sam tryb życia nosił istotnie charakter obozowy. Sporządzanie posiłków odbywało się w sposób polowy we wspólnych kotłach, przez kolejno odkomenderowanych elewów; jedynie nadzór



nad kuchnią i jej kierownictwo spoczywało przez cały czas w ręku ob. Króla (śp. ppor. [Stanisław] Król Kaszubski), o tyle niefachowym, że był on słuchaczem medycyny i niezwykle zapalonym żołnierzem. Toteż pełnił tę funkcję z prawdziwym poświęceniem, wrywając się w każdej wolnej chwili do żołnierskich zajęć. Posiłek wydawany był 3 razy dziennie, czarna kawa, względnie herbata i chleb z marmeladą na śniadanie, obiad mięsny, typu polowego, wreszcie kolacja, składająca się z reguły z herbaty, uzupełnianej od czasu do czasu wędliną, względnie kaszą.

[...]

Panujący na szkole rygor i wyjątkowa karność nie były jednak rezultatem kar czy też obaw przed nimi. Płynęły one z niezwykłego przejęcia się sprawą i z ambicji jak najlepszego wypełniania obowiązku. Toteż choć nie ze strachu, drżał jednak nieraz jak liść osiki niejeden, pełen teoretycznej wiedzy elew, gdy przed frontem plutonu czy kompanii nie mógł wydobyć odpowiednio donośnego głosu komendy. A gdy w czasie ćwiczeń w umocnieniach wykonała kompania pozycję obronną ze schronami, zasiekami i minami polowymi – to praca ta, mimo krótkiego czasu wykonana została tak precyzyjnie, że zamiast spodziewanej pochwały i zachwytu, wywołała nawet pogodną krytykę Komendanta, że takich salonów nie będzie nigdy, ani możliwości, ani potrzeby, na wojnie budować.

[...]



34. „[...] wszystko co najwyższe, że nie tylko życie, ale honor zaangażowany, jest w tym, co czynimy”.

[Michał Sokolnicki, *Rok 1914*, Londyn, Wyd. Gryf Publications, 1961]

[...] Przedmiotem wykształcenia w szkole podoficerskiej były przede wszystkim teoretyczne kursy, zawierające początkowe wiadomości o wojsku i służbie wojskowej. Wchodziła w ten zakres nauka o broni – więc obeznanie z pistoletem automatycznym, ale przede wszystkim będącym już od kwietnia 1913 roku w naszych rękach karabinem. Wojskowość austriacka przydzielała jeszcze wprawdzie organizacjom strzeleckim przeważnie karabiny dawniejsze systemu Werndla, jednostrzałowe, a więc właściwie nieprzydatne w boju nowoczesnym, ale w tym czasie rezultatem usilnych starań stało się otrzymanie w niewielkiej ilości nowoczesnej broni austriackiego wojska, karabinów systemu manlichera; broń tę otrzymaliśmy tytułem wypożyczenia dla ćwiczeń i znajdowała się ona pod ochroną Strzelca i na odpowiedzialności jego komendy. Poza tym nauka obejmowała organizację wojska i regulamin musztry; były one wykładane teoretycznie na podstawie dotychczasowych studiów i doświadczeń zanim nie ukazały się zimą 1913 pierwsze nowe polskie regulaminy. Trzecim działem nauki w szkole podoficerskiej była topografia, zawierająca w pierwszym rzędzie naukę odczytywania map. Za podstawę wzięte były mapy sztabowe austriackie i rosyjskie; do osiągnięcia stopnia podoficerskiego wymagana była gruntowna i dokładna znajomość wszystkich znaków i możliwość opisania terenu na podstawie mapy. Wreszcie uczono w szkole podoficerskiej początkowych zasad taktyki bojów piechoty: a więc reguł strzału i obrony, boju pozycyjnego i ataku.

Uderzyła mię od razu w prowadzeniu nauki szkoły podoficerskiej rzeczowość i gruntowność. W wykładach nie było miejsca na żadne frazesy, panowała pewna skromność i suchość. Na miejsce dawnej, znanej mi z czasów studenckich związków rozlewności ideowej, pociągu do opierania myśli na postulatach, uderzały tutaj zwięzłość i realizm, przystosowane do zadań wyłącznie praktycznych. Ideowość rozumiała się niejako sama przez się, przez sam fakt naszego przyjscia i dobrowolnego udziału – i poza tym nagim faktem o celach, o przesywającej nas wszystkich tęsknocie do wojny i o pragnieniu zdobycia orężem Polski, nie było ani między nami, ani tym mniej z komendą, żadnej mowy. Owszem, zapanowała jakaś pod tym względem wstydlivość, niechęć uzewnętrzniania się i modą strzelecką się stało zakonspirowanie uczucia, a gdy się ono mimo wszystko ujawniło, zwekslowanie go natychmiast na tory lekceważącego śmiechu i rubasznego żartu.



[...] Musztra odbywała się z reguły wcześniej rano na Błoniach; panowała jeszcze ostrożność, i zasada nie zwracania zbytnej uwagi, nie pozwalania na przemarsze miastem. Pierwsze te ćwiczenia musztry szły nieskładnie i ani w marszu szeregami, ani w formowaniu czwórek, ani w ruchach z bronią nie byliśmy zgrani, nie stanowiliśmy jeszcze zwartego zespołu. Uczestnicy krakowskiej szkoły podoficerskiej byli to na ogół, tak jak ja, inteligenci, przeważnie zresztą młodzi chłopcy. Było wśród nas niezmiernie wiele dobrych chęci, mało jeszcze umiejętności i przede wszystkim mało przystosowania. Ćwiczenia odbywały się wprawdzie codziennie, ale z trudnościami i przeszkodami: młodzież ćwicząca miała zajęcia naukowe lub zawodowe, często posady; wojsko było sprawą poboczną i chociaż wkładało się w nie największy i najszczerzy wysiłek, to jednak nie można było wymagać zbyt wiele, a organizmy ludzkie były już podmęczone pracą codzienną, na morale zaś często wpływały niedostatki życiowe. Komendant od owych to czasów zaczął mówić o „imponderabiliach” naszej wojskowości; o tych ciągłych zawadach, nonsensach wewnętrznego życia polskiego, składających się na to, iż rzecz najważniejszą pozostawia się na boku, wydziela się jej jakieś drugorzędne miejsce, oszczędza się na niej, traktuje się ją jako jakiś datek na wpół potrzebny, czy sprawę przedsiębraną od święta. Od tych także czasów Komendant zaczął mówić, że Polska na wojsko daje „trzy grosze i trzy krople krwi”. Tym bardziej jednak zaciekle i twardo postawiona została kwestia wojskowego rygoru. W godzinach, przeznaczonych na szkolenie i na ćwiczenie wchodziło się bezwzględnie w rozporządzenie dowództwa, ustawała wszelka samodzielność, wykluczony był osobisty kaprys czy jakie bądź własne chęci. Właśnie dlatego, że rygor przyjęty został dobrowolnie, wymaganie dyscypliny było w stopniu absolutnym. Miało się wrażenie wyzucia z wszelkiej, dotychczas tak rozpanoszonej indywidualności, oddania moralnego bez zastrzeżeń i bez reszty. Nic nie groziło przecież ludziom w tych szeregach: niespełnienie obowiązku, przestępstwo względem karności, nawet nieposłuchanie lub obrażanie dowódcy nie groziło żadną inną konsekwencją jak zaledwie karą moralną. Najgroźniejsze przestępstwa mogły się skończyć jedynie najwyższą karą: wyrzuceniem z szeregów, wykluczeniem z organizacji. Nie było żadnego fizycznego przymusu. Nie istniał właściwie element strachu. Co więcej, organizacja na oczach wszystkich jej uczestników była jeszcze rażąco słaba, miała siły mizerne, była poniewierana przez obcych, wyszydzana lub ignorowana przez swoich. I pomimo to, i właśnie może z powodu tego wszystkiego, wytworzył się jakiś kult nakazu, jakieś ślepe przywiązanie do posłuchu, jakiś nie wyrozumowany a bezwzględny i wprost niezmierny autorytet dowództwa. Pamiętam, że już



wówczas z uśmiechem życzył innym armiom europejskim takiej dyscypliny, jaka panowała w naszej, najsłabszej i najmniejszej z armii świata. Wydawało się każdemu z nas, że wszystko co najwyższe, że nie tylko życie, ale honor zaangażowany, jest w tym, co czynimy. Wyjście z szeregów, przestępstwo służbowe, naruszenie dyscypliny, a cóż dopiero wykluczenie z organizacji uważały każdy z nas za nieszczęście, za dyshonor, za rzecz dyskwalifikującą go jako obywatela i jako człowieka. Byłoby to złamanie jakiejś najświętszej przysięgi, której nikt z nas nie składał, ale która istniała jako fakt sam przez się zrozumiaily, jako fakt, dokonany w sercu i umyśle każdego z nas. [...]



35. Polska komenda i polski mundur

[Michał Sokolnicki, *Rok 1914*, Londyn, Wyd. Gryf Publications, 1961]

[...] Do nowej morale żołnierskiej przyczyniły się niebawem, także na wespół tylko uświadomionym wpływem, dwa doniosłe fakty. Pierwszym była polska komenda. Wzięta ona została na razie jeszcze w sposób dorywczy i dla potrzeb natychmiastowych, w miarę konieczności dobrana z dawnych podręczników wojskowych polskich i z ostatnich regulaminów powstańczych. Wziął je Komendant ze swoich studiów nad powstaniem 1863 i wpoił w swoich bezpośrednich wykonawców, [Juliana] Stachiewicza w Krakowie, [Mariana] Kukiela we Lwowie, metodę ich użytkowania dla służby strzeleckiej. Odżyło tedy dawne dźwięczne słowo polskiej komendy. Bić zaczęło z powrotem jedno ze źródeł najczystszych mowy polskiej, bo przechowane w nim były starodawne obyczaje, przerobione w tyglu o mocnej i trwałej próbie w ostatnich regularnych wojskach polskich z czasów Księstwa, Królestwa i Emigracji. Wojskowy język polski posiadał zwartość i twardość, pełną charakteru i niosącą w sobie nieprzedawnioną, niepodległą treść duszy rycerstwa. Wpływ usłyszenia po raz pierwszy polskiego słowa komendy był jednym z najsilniejszych uderzeń, jakie nas wyprowadziły z mroku podziemi na światło dnia. Odbijała się w niej męskość i brzmiała w jej wyrazach śmiałość. Nawiazywał się tym dumnym słowem szeregu, dowództwa, szacunku, pochodu, jakiś nowy zupełnie węzeł między ludźmi. Polskość przestała gdzieś koczować po kątach zawstydzona i chwiejna; stawała wręcz między nami i tworzyć zaczęła odtąd nasze własne prawo.

Drugim faktem o doniosłym moralnym wpływie stał się mundur. W pierwszych dniach kwietnia ustanowiony został typ munduru strzeleckiego, odmienny zupełnie od typu umundurowań państw zaborczych, przypominający barwą i częściowo krojem mundur polowy francuski, prostszy jednak jeszcze, dostosowany do skromnego typu naszego wojska i skromnych jego środków. Cechę odrębną nadawała naszemu mundurowi przede wszystkim czapka, wzięta z tradycji raczej życia cywilnego czy myśliwskiego, polska „maciejówka”. Mundur nasz był strzelecki, nie ulegało jednak wątpliwości dla żadnego z nas, że chodziło tutaj o stworzenie nowego typu munduru wojska polskiego. I dziwnym jest wpływ tych oznak zewnętrznych, dający nie tylko ujednostajnienie, porządek wyglądu, ułatwiający musztrę i marsz, ale wzmacniający nade wszystko samopoczucie i moralną zwartość oddziału. Dopiero z chwilą włożenia munduru każdy z nas stawał się naprawdę żołnierzem.



Dawało to każdemu poczucie, że staje się członkiem wielkiej zbiorowości, mającej działać i walczyć. Dawało to zewnętrzny dowód, że zniwelowane zostały różnice indywidualne wobec łączącego celu. Mundur tworzył pewną równowagę techniczną i fizyczną w pracy oddziału, ale zarazem budził w wielu z pomiędzy nas nieznane nam dotąd atawizmy. Niewiadomymi drogami zaczęły tedy do nas przychodzić wspomnienia i tradycje, związane z wojskiem polskim. Wzmogło się zarazem poczucie honoru, mundur dawał przeświadczenie, iż trzeba bronić jego godności, jednocześnie więc wzmacniał nas moralnie i wzmagał w nas samych poczucie własnej odpowiedzialności. [...]



36. „Sztandar wojskowy winien być świętością najwyższą”

[Józef Piłsudski, *Rozkaz ogólny do organizacji ludowych 22 XII 1913* [w:] *idem, Pisma zbiorowe*, t. 3, Warszawa, KAW, 1990 (reprint wydania z 1937–1938)].

Nr 74.

1. W czasach ostatnich do Komendy Głównej wpłynął cały szereg podań, wystosowanych przez ludowe organizacje strzeleckie i zawierających prośbę o pozwolenie na własny sztandar dla poszczególnych miejscowych oddziałów Związku. Biorąc pod uwagę, iż nadesłane petycje dotyczą kwestii o charakterze ogólnym, mogącej obchodzić całość organizacji Związków Strzeleckich, widzę się zniwolonym do ogłoszenia niniejszego okólnika, którego celem jest definitywne przesądzenie poruszanej sprawy.

2. Sztandar wojskowy winien być świętością najwyższą, punktem zbornym dla walecznych, symbolem skupienia i wyężenia sił, męstwa i poświęcenia, bodźcem i podnieceniem do największego wysiłku dla żołnierza w boju, gdy mu ramię zemdleje, oczy mgła znużenia przesłoni i duch osłabły się ugnie.

3. Sztandar nasz jest sztandarem wojny i nie może być pospolitowanym w codziennym, bieżącym życiu, obnoszonym w czasie marszów i ćwiczeń szkolnych, włączonym po obchodach i uroczystościach. Powieje on i załopocze nad naszymi głowami dopiero w otwartym polu, gdzie szeregi Związkowe wymaszerują na bój śmiertelny o Wolną Ojczyznę.

[...]

4. W obecnym na wskroś pokojowym i przygotowawczym życiu naszym niech nas krzepią nie emblematy i godła, lecz ustawiczna i nieznużona praca, podnosząca każdą organizację na coraz to wyższe szczeble wykształcenia i wyćwiczenia wojskowego. Sztandarem na dziś niech będzie dla nas hasło wytrwałości, niezrażania się trudnościami, upor, upor, i jeszcze raz upor, w osiąganiu zamierzonych celów. Jedynie wtedy spotkamy się pod sztandarem wojennym z żołnierzami, umiejącymi utrzymać w dłoni jego drzewce.

[...]

7. W myśl wywodów powyższych zabraniam stanowczo oddziałom miejscowym zarówno, jak i organizacjom obwodowym lub okręgowym sprawiania sobie sztandarów.

Lwów, dnia 22 XII 1913 [r.]
Główny:

K o m e n d a n t

Szef Sztabu Głównego:



37. „[...] istnienie narodu przeszło dwudziestomilionowego, pozbawionego prawa decyzji o swych losach, jest absurdem, absolutnie jedynym w historii nowożytnej”.

[Józef Piłsudski, *O polskim ruchu strzeleckim [w:] idem, Pisma zbiorowe, t. 3*, Warszawa, KAW, 1990 (reprint wydania z 1937–1938)]

[...] Rok 1863 znamionuje zwrot w naszej historii, głęboką zmianę w stanie umysłów polskiego narodu. Do tego momentu pokolenie za pokoleniem od czasów rozbioru kraju przekazywało sobie wiernie tradycję ruchu zbrojnego celem odzyskania utraconej niepodległości. Powstanie r[oku] 1863, utopione w strumieniach krwi, otwiera nowy okres – okres panowania ostrożności i rozsądku. Odtąd nie będzie wolno iść za podszeptami uczucia, mogącymi doprowadzić do ponownego powstania, które by przecież zakończyło się nową klęską. To przekształcenie się jest tak głębokie, że ten sam Wielopolski, który dla walczących z r[oku] 1863 był człowiekiem niecnym, napiętnowanym pogardą, uchodzi w oczach wielkiego odłamu społeczeństwa polskiego za wcielenie myśli narodowej. Ci nawet, którzy przelali krew dla ojczyzny, dochodzą prawie do tego, że udział swój w powstaniu usprawiedliwiają jako pomyłkę. Wspomnienie naszej bojowej przeszłości zaciera się coraz bardziej, powoli rozplywa się w nicłość.

W tym smutnym okresie idea niepodległościowa tli jednakże pod popiołami. Nie może ona zginąć z tego prostego względu, że istnienie narodu przeszło dwudziestomilionowego, pozbawionego prawa decyzji o swych losach, jest absurdem, absolutnie jedynym w historii nowożytnej. To też dwa najważniejsze w okresie popowstaniowym stronnictwa polityczne – partia narodowa i socjalistyczna – wpisują obie do swych programów odzyskanie niepodległości narodowej. Było to jednak tylko życzenie, koncepcja wyłącznie teoretyczna, która nie opiera się na żadnym planie realizacji mniej czy więcej konkretnym i odsuwa w zupełności ideę walki zbrojnej.

I oto właśnie to pokolenie, które nie marzy już o możliwości zmiany dotychczasowego stanu rzeczy własnym wysiłkiem, stanie w obliczu wypadków r[oku] 1904. A jednak rozumie ono konieczność działania i stawia przed nieprzyjacielem, osłabionym i zdezorientowanym, tysiące ludzi, gotowych podtrzymać walkę, lecz niemających energii, determinacji i wiary, decydujących o zwycięstwie. Zamiast tego, by narzucić swą wolę, walczący ograniczają się do żądania ustępstw. Niezdolni przyjąć postawy mocnej i zdecydowanej, nie umieją



wykorzystać trudności, z jakimi w tym krytycznym momencie walczyło państwo carów. To też mimo wielkich ofiar, złożonych na ołtarzu sprawy narodowej, ten ruch rewolucyjny przeciwko ciemności daje rezultaty równie skromne, jak i nieokreślone, których znikomość wypełnia dusze uczuciem zawodu i upokorzenia. W atmosferze rozważań, spowodowanych tą ostatnią porażką, zaczyna kiełkować w umysłach idea wojskowego przygotowania społeczeństwa polskiego.

Inicjatywę tego ruchu dała Polska Partia Socjalistyczna, która w r[oku] 1908 tworzy pierwszą organizację strzelecką. W tym samym czasie narodowi demokraci ze swej strony powołują do życia organizację analogiczną. I tu, i tam przychodzi się powoli do przekonania, że jedynie przygotowanie wojskowe, systematycznie prowadzone, pozwoli nam w godzinie walki stawić czoło temu czy innemu państwu zaborczemu. Jednakże w opinii publicznej idea ta nie znajduje jeszcze oddźwięku – stronnicy ruchu napotykają w początku na opozycję, często niezwykle żywą, w łonie swych własnych partii. Toteż organizacje wojskowe pozostają tajnymi i rozwijają się bardzo powoli. W momencie wybuchu kryzysu bałkańskiego liczą nie więcej jak 600–700 członków.

Lecz kryzys ten wywarł wreszcie wpływ zbawienny. Naród polski widzi w całej rozciągłości swą bezsilność wobec perspektywy wojny, która miała być stoczoną na jego ziemi i która wydać go miała na łup Austrii i Rosji. Tragedia jego przeznaczeń, skazująca go na pokaźne zwiększenie szeregów wojskowych trzech zaborców, może także postawić jego synów naprzeciw siebie we wrogich szeregach. Okropność tej wizji w sposób o wiele drastyczniejszy niż wszelkie argumenty logiczne rozstrzyga o rozwoju organizacji wojskowych. Liczba ich szybko wzrasta, a znaczenie uwydatnia się coraz bardziej. Jeśli z początku opierały się one przeważnie na młodzieży inteligentkiej, to obecnie znajdują zwolenników we wszystkich odłamach społeczeństwa, zwłaszcza wśród ludności robotniczej i wiejskiej. Zyskując dla swej sprawy te elementy, stanowiące 7/8 członków, zdobyły podstawy mocne i pewne i stają się siłą, z którą odtąd trzeba się będzie liczyć.

Byłoby rzeczą prawie zbyt dużą dodawać, że rozwinęły się one szczególnie w Galicji, gdzie mogą działać swobodnie, korzystać z pewnych uprawnień, wspólnych dla wszystkich stowarzyszeń strzeleckich państwa austriackiego, i nadanych przez państwo celem ułatwienia przygotowania wojskowego poszczególnych prowincji. Nie wynika z tego jednak wcale, że muszą one służyć interesom Austrii, i wypada przypomnieć tym, którzy podnoszą ten zarzut, że pierwsze organizacje wojskowe utworzone zostały na długo przed tym, nim zarysowała się możliwość konfliktu austriacko-rosyjskiego. Ruch wojskowy ma na celu stworzyć w naszym



społeczeństwie funkcję siły. Lecz wypadki same zadecydują o użyciu tej siły, jak również o sposobie wprowadzenia jej w grę.

Drugi zarzut przeciwko temu ruchowi wychodzi z obozu tych, którzy boją się, by obudzenie zdolności wojskowych narodu nie wywołało wybuchu, zgubnego w swych następstwach. Trudno znaleźć pogląd mniej uzasadniony od tych obaw, a wykazywanie ich bezpodstawności jest rzeczą zbyteczną.

Przeciwnie, rozwój przygotowań wojskowych dał już efekty pozytywne, nieulegające wątpliwości: stanowi dla naszego kraju pewną wartość na rynku politycznym Europy, z którego kwestię polską po upadku powstania 1863 r. bezlitośnie wykreślono. Weszło w zwyczaj nie brać nas w rachubę w kalkulacjach i kombinacjach międzynarodowych. Ruch wojskowy wprowadza ponownie kwestię polską na szachownicę europejską. Znaczenie jego wydaje się nam tym większym, że począwszy od r[oku] 1904 jesteśmy świadkami szeregu przewrotów i konfliktów, w których rola decydująca przypada sile zbrojnej. Jedynie miecz waży dziś coś na szali losu narodów. Naród, który chciałby przymknąć oczy na tę oczywistość, przekreśliłby bezpowrotnie swą przyszłość. Nie wolno nam być takim właśnie narodem. Inicjatorowie ruchu wojskowego wskazali krajowi drogę, którą należy kroczyć. Lecz ostateczny rezultat zależy całkowicie od intensywności zbiorowego wysiłku, od czynnego i uporczywego współdziałania całego narodu.



38. „[...] jeśli myślicie państwo, że dusza współczesnego Polaka jest podobna do bomby pełnej dynamitu i wybuchającej za lada dotknięciem, jeśli tak myślicie, to mylicie się srodze”.

[Bolesław Wieniawa-Długoszowski, *Wymarsz i inne wspomnienia*, oprac. Roman Loth, wyd. 2 zmienione, Łomianki, LTW, b.d.w.]

Dla mnie, „Galicjanina”, od 1905 roku mieszkającego zagranicą, J[ózef] Piłsudski był niepojętą, niezrozumiałą a nęcącą legendą. Zobaczyłem go w końcu w sali *La Société de Géographie* na odczycie. Jego postać pochyłona, odziana w czarny, niemodny tużurek odbiła się niezatartym obrazem na jakichś najczulszych kliszach w mym sercu, w duszy, w mózgu. Z jego oczu jasnych, lecz zacienionych chmurą krzaczastych brwi, z gestów jego wyrazistych, w których nierzadko prawa dłoń ściśnięta w pięść spadała z groźnym hukiem na stół, z jego głosu niskiego, wychodzącego jakby z podziemia, zarówno jak z treści jego słów, wiązanych w zdanie proste a olśniewająco logiczne i przekonywujące szła na salę dziwna, zniewalająca a budująca moc.

Odczyt miał na celu propagandę idei wojskowości wśród Polaków. Przedstawiwszy obraz sytuacji politycznej w Europie, pokazywał Komendant możliwość zagmatwań i burz, w których Polacy winni umieć czynem upomnieć się o swe prawa. Licznymi argumentami dowodził prawdziwości swego twierdzenia i zwalczał argumenty swych przeciwników. Najostrzej – pamiętam – obszedł się z tymi, co mu zarzucali, że przygotowanie ruchu zbrojnego może wywołać go w niewłaściwym momencie. – Nikczemny, podły nonsens! Faryzeuszostwo zamaskowanej bierności i zrezygnowanego tchórzostwa! – grzmiał podniesionym głosem i opuszczoną pięścią. – Dobra, sprawna i karna organizacja jest najlepszym bezpiecznikiem od niewczesnego wybuchu. Poddanie się zaś temu argumentowi z konieczności musi nas w końcu kiedyś postawić w sytuacji, że nadejdzie moment sposobny, zbiegną się szczęśliwie dla nas okoliczności, my zaś, nieprzygotowani, nie będziemy w możności wykorzystania ich. Lecz o to, o to właśnie tym panom idzie. Za ich wywodami kryje się chęć skazania Polski i Polaków na wieczną bierność, na wieczną zależność od decyzji obcych. Zresztą – ciągnął dalej, a głos jego zabrzmiał wyrzutem i goryczą – jeśli myślicie państwo, że dusza współczesnego Polaka jest podobna do bomby pełnej dynamitu i wybuchającej za lada dotknięciem, jeśli tak myślicie, to mylicie się srodze. – Legenda o bohaterskiej duszy Polaka staje się, niestety, tylko legendą. Można tę duszę potrać, popychać i kopać, najciężsi



wrogowie mogą spać na niej bezkarnie lub igrać nią bezpiecznie. Ona nie wybuchnie. Może gdzieś w najgłębszym jej wnętrzu drzemią prochy zapalne, lecz pokrywają je tak grube złogi wilgotnej, galaretowatej pleśni, do tego stopnia obrosły ją miękkie mchy i śmieci, że nie wybuchnie, bądźcie spokojni – nie wybuchnie.



39. W przeddzień wymarszu.

[Michał Tadeusz Brzęk-Osiński, *Ze wspomnień legionisty i piłsudczyka 1905–1939*, spisał Witold Dąbkowski, red. naukowa Piotr A. Tusiński, Warszawa, Oficyna Wydawnicza Rytm, Radomskie Towarzystwo Naukowe, 2003]

[...] W ciągu dnia Oleandry rozbrzmiewały krzykami komend, grzmotem rozkazów, składanych meldunków, tupotem ćwiczących na dziedzińcu, ale po zajęciach było bardzo wesoło i ciekawie. Rozkładaliśmy się pod drzewami parku i buńczuczne piosenki, soczyste kawały, niezwykle opowieści szły jak z rękawa. [...] Ale niedługo było tych moich pierwszych teoretyczno-praktycznych „studiów” wojskowych. Wielkimi krokami szła już ku nam burza wojenna, z którą wiązały się wszystkie nadzieje.

1 sierpnia 1914 r. na zbiórce wywołał mnie z szeregów [Stanisław] Zosik-Tessaro:

– „Brzęk” – oznajmił krótko – masz się, obywatelu, zameldować niezwłocznie w Komendzie Głównej.

Wyruszyłem wielce zaintrygowany. Co to za sprawa, w której akurat mnie wzywają? Aż tu na Plantach spotykam Staśka Skotnickiego.

– Wiesz Tadek – szepnął tajemniczo, dowiedziawszy się, gdzie zostałem wezwany – to może i ty pójdziesz z „Beliną”?

Kiedy zaś zapytałem, o czym mówi, gdyż mnie skierował Zosik-Tessaro bez objaśnienia celu, wyjawiał mi w wielkim sekrecie, że nocą – pod wodzą „Beliny” – wyruszy do Królestwa pierwszy patrol, mający krzyżować zarządzenia rosyjskiej komisji mobilizacyjnej w Jędrzejowie i on idzie szykować się do tej niebezpiecznej wyprawy. [...] Pożegnawszy go, śpieszyłem prawie na skrzydłach w błogiej nadziei, że oto mnie wyznaczono do tego zaszczytnego „zajrzenia w paszczę tygrysa”. Lecz zaraz po przybyciu do Komendy mieszczącej się w Parku Krakowskim i zameldowaniu się szefowi Sosnkowskiemu, spadłem z obłoków.

– Widzę, że Tessaro przysłał nam Senegalczyka – powiedział przyjaźnie – to dobrze, będziesz nam potrzebny do prac mobilizacyjnych.

Nie trzeba wyjaśniać, jak okropnie zmiękła mi rura. Miał karabinu i udziału w wypadzie do Królestwa – stołek i pióro. Lecz rozkaz, więc zacisnąłem zęby i do papierowej pracy.

Wokół zaś ruch panował ogromny. Wpadali i znikali tak cywile, jak i Strzelcy w mundurach. Jedni otrzymywali od szefa Sosnkowskiego jakieś zadania. Inni



zjawiali się, aby przekazać mu raporty, sprawozdania, wykazy itp. Od czasu do czasu ktoś z ważniejszą sprawą prosił o zameldowanie go Komendantowi, który pracował w sąsiednim pokoju za zamkniętymi drzwiami.

Wkrótce przywykłem do sytuacji i przestawszy zwracać uwagę na ów ruch, to zagłębiałem się w papierach, to skrobałem piórem na przemian. Wtem ktoś trąca mnie w ramię. Oglądam się – Stasiek Skotnicki! Cała siódemka z „Beliną” na czele, w płaszczach cywilnych włożonych widać na mundury i jakichś cyklistówkach. Przybyli, aby przed wymarszem na pierwszą wyprawę zameldować się Komendantowi. Uczyniło mi się strasznie przykro, że ja nie z nimi. A gdybym jeszcze wiedział, że to załóżek przyszłego pułku ułanów chyba bym ze skóry wyskoczył. Lecz cóż, wziąłem się tym zacieklej do roboty, licząc, że jak wszystko wykończę, to mi już jutro dadzą spokój. I tak się zapamiętałem w tej pracy, że ani się spostrzegłem, jak pokój zaczął się wyludniać i wreszcie zostałem sam.

Aż tu w pewnej chwili otwierają się drzwi do gabinetu Komendanta i On sam wchodzi. Zatopiony w rozważaniach, nie zwrócił na mnie uwagi i swym zwyczajem zaczął chodzić tam i z powrotem wzdłuż pokoju, myśląc głośno:

– Kości rzucone..., lecz czy nie będą to jeszcze jedne kości rozrzucone na darmo po Polsce, jak za dawnych powstań? – słowa wyraźnie usłyszane dobrze sobie wbiłem w pamięć, aby nie przerwać Komendantowi toku myśli. Lecz już mnie spostrzegł, zatrzymał się i spytał:

– Co ty tu jeszcze robisz, chłopcze?

Zerwałem się i wyciągnięty jak struna zameldowałem:

– Obywatelu Komendancie! Brzęk-Osiński z kursu strzeleckiego w Oleandrach melduje, że został oddelegowany do prac mobilizacyjnych, siedzę jeszcze, byle wszystko skończyć, byle nie wracać do pióra!

– No dobrze – powiedział dobrotliwie, kładąc mi rękę na ramieniu – niedługo pójdziecie walczyć. A tymczasem idź już odpocząć, jest dość późno.

Ze szczeniackim zapałem i oddaniem zacząłem zapewniać Komendanta, że to On powinien się oszczędzać, On odpocząć i złożyłem papiery dopiero na wyraźny rozkaz. Wracałem do Oleandrów w innym już nastroju. Już nie miałem pretensji za oddelegowanie do pióra. Byłem dumny. Przecież dzięki temu osobiście poznałem Komendanta!



40. „Skrypta rzucam w ką”

[Jan Pudełek, *W drużynie komendanta. Ze wspomnień żołnierza I Brygady i oficera Adiutantury Generalnej Naczelnika Państwa (1914–1921)*, oprac. naukowe Marek Cisek, Łomianki, LTW, 2009]

Jestem w pełni obkuczony do pierwszego egzaminu, który mam zdawać po wakacjach na Wydziale Prawa uniwersytetu we Lwowie. Pracuję dzień i noc – po czternaście i szesnaście godzin na dobę. Materiał cały w końcu czerwca 1914 roku mam przerobiony, wakacje pozostawiam na powtórzenie całości.

Jak grom z jasnego nieba spadają wiadomości o sarajewskim morderstwie, ultimatum austriackim przesłanym Serbii, mobilizacji armii austriackiej i wypowiedzeniu przez Austrię wojny Serbii. Oczywiście skrypta rzucam w ką, a powracam wraz z kolegami do intensywnych w Związku Strzeleckim ćwiczeń, które przerwałem na czas przygotowania się do egzaminu. A później przygotowania do wyruszenia na wojnę i oczekiwanie na kartę mobilizacyjną z Okręgu Rzeszowskiego Związku Strzeleckiego.

Nadszedł nareszcie upragniony dzień. 20 sierpnia 1914 roku przybył z Rudnika nad Sanem oddział Związku Strzeleckiego. W skład tego oddziału wchodził między innymi: Bolek Gancarz, Julek Gazda, Ferdek Kondysar, późniejsi sitwesy, M. Sekulski, L. Wojtas i inni. Wraz z nimi wyruszyła w dniu następnym z Sokołowa, małej miejsciny o niespełna 4000 mieszkańców, położonej na północ od Rzeszowa, grupa 14 strzelców. A oto ich nazwiska: Darocha Jakub, komendant oddziału, ppor. I Brygady, poległ w 1915 roku pod Żernikami; Ciepeliowski Władysław, ppłk WP [zamordowany w 1940 r. w Charkowie przez NKWD]; Dec Jan, wizytator MWRiOP; Dostych Jan, inwalida spod Krzywopłotów, burmistrz Sokołowa i poseł na sejm; Hodała Karol, ppłk dypl. WP [zamordowany w 1940 r. w Charkowie przez NKWD]; Kałużyński Franciszek, szewc, na emigracji w USA; Pasierb Marcin, mjr WP; Pasierb Stanisław, kpt. WP; Pasierb Władysław, kpt. WP; Piękoś Ludwik, sierż. I Brygady, poległ w 1916 roku; Piękoś Stanisław, mjr WP w st[anie] sp[oczynku]; Pudełek Jan; Rzeszutek Władysław, kpr. I Brygady, poległ w 1916 roku nad Stochodem, i Walicki Leon, zastępca starosty. Niezależnie od naszej grupy, zwił z domu i wstąpił na własną rękę do 1 pp (III baon) małoletni Franciszek Sakowski.

Nad całością oddziału objął komendę Darocha i zarządził odmarsz do Rzeszowa, gdzie mieliśmy połączyć się z miejscowym oddziałem i wspólnie z nim odjechać do Krakowa. Grupy rzeszowskiej nie zastaliśmy. Nie czekając na nas, odjechała



na miejsce zbiórki. Z trudem zdobyliśmy miejsca w pociągu mieszanym i po 12 godzinach podróży dobrnęliśmy do Krakowa.

[...] 10 września niespodziewanie porywa nas na nogi rozkaz i kieruje na dworzec kolejowy. Zaopatrzeni tam w karabiny Mannlichera M.90 i załadowani o północy do wagonów, rankiem dnia następnego zatrzymaliśmy się w Szczucinie. Świeżo wyfasowane karabiny kazano nam złożyć do wagonów, a samym wracać do Krakowa. Niedoszli bohaterowie z kwaśnymi minami powracali do swych kwater w parku Jordana.

Po przeglądzie oddziału naszego przez Komendanta Piłsudskiego, niedługo już popasaliśmy w Krakowie. 24 września wyjechały wieczorem z Krakowa dwie kompanie, z których powstał późniejszy baon VI: 1 kompania (tzw. rzeszowska) pod komendą ob. [Mariana] Bolesławicza i 2 (tzw. wiedeńska) pod komendą [Juliusza] Weissglas[s]a, obydwie w sile po 250 ludzi. Komendę transportu objął ob. [Marian] Kukiel. Następnego dnia wyładowaliśmy się na stacji Olesno. Stąd pierwszym marszem oddziały podążyły do Gręboszowa, miejsca postoju sztabu pułku Piłsudskiego. Przybyłe kompanie utworzyły baon, z kolei VI, a komendę nad nim objął batalionowy Herwin-Piątek. Komendę kompanii 2 wiedeńskiej objął ob. Ludwik-Piskor, a dotychczasowy jej komendant Weissglas[s] przeniesiony został do prowiantury pułkowej.

Marzenia nasze spełnione! Jesteśmy częścią składową oddziałów, pozostających pod komendą Piłsudskiego.



41. „Wzywam ogół patriotycznej ludności do czynnego uczestnictwa w narodowej sprawie”

[Michał Sokolnicki, *Rok 1914*, Londyn, Wyd. Gryf Publications, 1961]

Odezwa do mieszkańców Kielc

25 sierpnia 1914 [r.]

Z ramienia Komendy Wojsk Polskich, z dniem dzisiejszym objąłem kierownictwo polityczne miasta Kielc.

Wzywam ogół patriotycznej ludności do czynnego uczestnictwa w narodowej sprawie.

Od nas, Polaków, zależy, na ostrzu naszego oręża, na sile naszej polityki zawisła przyszłość narodu. Twórzmy fakty dokonane, które na wojnie są jedynym prawem.

Każda dzielnica dawnej Rzeczypospolitej winna pokazać, że jeszcze gra w naszych żyłach krew rycerzy, że nie wymarła w sercach chęć swobody, a myślą jedyną w czasie wojny jest ocalenie wspólnej wszystkim sprawy.

Wzywam całą miejską ludność do zapisywania się w szeregi polskich żołnierzy!

Wzywam wszystkich ludzi dobrej woli do uczestnictwa w narodowych rządach!

Wzywam całą ludność do czynnej pomocy ojczystemu wojsku!

Postanowienia obowiązujące

1. Nakazuje się niniejszym znieść wszelkie pozostałe szyldy i napisy w języku rosyjskim w ciągu 24 godzin. Właściciele domów i zakładów przemysłowych, nie stosujący się do niniejszego zarządzenia, zostaną pociągnięci do surowej odpowiedzialności.

2. Na wszystkich gmachach i urzędach publicznych oraz na domach mieszczących oddziały lub urzędy wojskowe polskie mają być zawieszane chorągwie o polskich barwach narodowych.

3. Władzą wykonawczą względem przestępców politycznych w mieście i w wojsku jest żandarmeria polowa wojsk polskich. Jej należy oddawać zdrajców i szpiegów.

4. Osobom prywatnym nie wolno niczego drukować bez upoważnienia Komisarza Wojskowego. Wydawanie pism periodycznych wymaga specjalnego zezwolenia.

5. Wzywa się ludność do spełniania wszelkich zarządzeń wojskowych władz austriackich.

Michał Sokolnicki

Komisarz Wojsk Polskich w Kielcach



Komunikat Polskiej Organizacji Narodowej (PON)

Komunikat ten był zamieszczony w „Dzienniku Urzędowym” PON nr 1 w Kielcach, 8 września 1914 r.

Część Królestwa Polskiego już uwolniona została spod rosyjskiego jarzma. To, co było marzeniem całych pokoleń, za co lały się potoki krwi polskiej – wolność i niezależność narodu – zaczyna przybierać cechy rzeczywistości i, zanim pod naporem armii austriackiej, niemieckiej, oraz naszych polskich legionów, reszta kraju oczyszczona zostanie z barbarzyńskiego najazdu, w tej wyzwolonej części Polski rozpocząć się ma nowe życie, na porządku, sprawiedliwości i wolności oparte. Naród, długo odsunięty od roli dziejowej, dziś na nowo do niej powołany, wykaże, że jej podoła. Wojsko nasze zaświadczy, że umie wolność zdobywać, społeczeństwo, że ją budować potrafi.

Obok organizacji wojskowej i niezależnie od niej, lecz w ścisłym z nią zjednoczeniu zamiarów, powstała na gruncie Królestwa Polskiego organizacja cywilna jako oparcie dla naszej akcji zbrojnej, a zarazem zawiązek samoistnego ustroju polskiego narodu, konieczny nawet w tym wypadku, gdyby zdarzenia, na które wpływu mieć nie możemy, nie dopuściły do całkowitego zniszczenia naszych celów. Będzie ona przygotowywać zasoby materialne, nieodzowne dla powodzenia oręża polskiego, będzie też zaspakajając potrzeby ludności, łaknącej porządku oraz wolnego rozwoju narodowego, o ile na to pozwolą wymagania wojenne.

Organizacja ta obejmuje wszystkie klasy i grupy społeczne w ziemiach wolnych od zaboru rosyjskiego, jest zatem oparta na tych samych zasadach, co Naczelny Komitet Narodowy w Galicji; jest odeń niezależna, zgodnie z oświadczeniem tegoż N.K.N., który stwierdził, że sam stanowić w sprawach Królestwa Polskiego nie może. Polska Organizacja Narodowa wyciąga dłoń bratnią do wszystkich skupień polskich, które stawiają sobie za zadanie walkę z Rosją i wejdzie z nimi w ścisłe porozumienie.

Za Komisję Organizacyjną Polskiej Organizacji Narodowej
Michał Sokolnicki

Kielce, 5-go września 1914 r.

[Autorem drugiego tekstu był prawdopodobnie Leon Wasilewski].



42. „Silni wiarą i nadzieją...”

[Wszystkie poniżej cytowane utwory za: *W blasku legendy. Kronika poetycka życia Józefa Piłsudskiego*, oprac. Krzysztof Jeżewski, Paryż, Editions Spotkania, 1988]

Stanisław Długosz

Trzeba pieczętować krwią

Ano, trzeba pieczętować krwią,
co się kiedyś wyszeptano skrycie –
trzeba młode dziś położyć życie,
trzeba młodą pieczętować krwią!...

Powiadacie, że jeszcze za wczesnie,
aby rzucać w noc jesienną Wić,
że się musi gdzieś w podziemiach tlić,
aż na Wiosnę piorunami wskrześnie?!...

Nie wybuchnie nigdy płomień – Czyn,
jeśli wiecznie czujne Pogotowie
na gwałt nowy buntem nie odpowie,
i nie wyjdzie na świat z tajnych min.

[...]

Wychodzimy w beznadziejny szlak
i nie złocą się przed nami świty.
inni pójda w ślad przez nas wryty
i na trupach zatkną Wolny Znak.

Ano, trzeba pieczętować krwią,
trzeba młode dziś położyć życie...
Kraków, 14 XII 1911.



Stanisław Długosz
Straceńcy

Powiadają, żeśmy są straceńcy.
A nieprawda. Bo my, jak królowie,
przyodziani we krwi złotogłowie,
jak książęta, bez mitry książęcej!

A nieprawda, żeśmy są straceni,
że z nas może pyłu nie zostanie: nasze ciała
– kopiec-Zmartwychwstanie,
dzień słoneczny śród szarej jesieni.

Myśmy przednie Wielkiej Armii straże
i Nowiny radosnej zwiastuny,
chorążowie płomienistej łuny,
co wam Jutro w blasku Dnia pokaże!

[...]

Kraków, 22.XII.1911.

My Pierwsza Brygada...
(wg wersji Tadeusza Biernackiego)

Legiony to – żebracza nuta.
Legiony to – ofiarny stos.
Legiony to – żołnierska buta.
Legiony to – straceńców los!

My Pierwsza Brygada, Strzelecka gromada,
Na stos rzuciliśmy – swój życia los Na stos, na stos...

O, ile mąk, ile cierpienia,
O, ile krwi, wylanych łez.
Pomimo to – nie ma zwątpienia
Dodawał sił – wędrówki kres!



My Pierwsza Brygada itd.

Krzyczeli, żeśmy stumanieni,
Nie wierząc nam, że chcieć – to móc!
Leliśmy krew osamotnieni
A z nami był nasz drogi Wódz!

My Pierwsza Brygada itd.

[...]

Nie chcemy już od was uznania,
Ni waszych mów, ni waszych łez!
Już skończył się czas kołatania
Do waszych serc – do waszych kies!

My Pierwsza Brygada itd.

[...]

Pamięta wszak Warszawa chwilę,
Gdy szarych garść Legionów szła.
Rzucili nam – germanofile.
Do naszych serc spłynęła łza.

My Pierwsza Brygada itd.

[Autorami tej szczególnej i najbardziej znanej pieśni legionowej, byli niezależnie od siebie Tadeusz Biernacki i Andrzej Tadeusz Hałaciński. Biernacki, urodzony w 1899 r. w Warszawie, uczeń gimnazjum, latem 1915 r. wstąpił do I Brygady Legionów Polskich. Słowa najsłynniejszej pieśni legionowej tworzył w pociągu, który wioził go do miejsca internowania w Szczypiornie latem 1917 r. Kolejne zwrotki napisał w grudniu 1918 r. w Dąbrowie Górniczej. Andrzej Hałaciński, urodzony w 1891 r. w Krakowie, absolwent Akademii Handlowej, był również żołnierzem I Brygady. Za męstwo okazane w bitwie z wojskami rosyjskimi pod Kostiuchnówką w 1916 r. został odznaczony w niepodległej Polsce Krzyżem Srebrnym Orderu



Virtuti Militari. Zginął w 1940 r. w Katyniu, zamordowany przez NKWD.

Pierwsze strofy pieśni układał w północnych Włoszech, dokąd jako poddany austriacki trafił po odmowie złożenia przysięgi i rozwiązaniu Legionów. Kolejne powstały w drugiej połowie maja 1918 r. w więzieniu niemieckim w Warszawie. Pierwsze dwie, powstałe najwcześniej zwrotki i refren pieśni, były niemal identyczne w wersji Biernackiego i Hałacińskiego. Stąd też sprawa autorstwa *Pierwszej Brygady* stała się przedmiotem sporu, który rozstrzygnęła dopiero w 1939 r. specjalnie powołana w tej sprawie komisja. Zgodnie z orzeczeniem komisji *Pierwsza Brygada* była „utworem wspólnym” Biernackiego i Hałacińskiego. Wyjaśniano to niezależnym od siebie nawiązaniem autorów do tekstu anonimowej pieśni, zaczynającej się od słów *Legiony to żebracza nuta*, śpiewanej od 1915 r. na nutę rosyjskiego marsza. Większy rozgłos zyskała ostatecznie wersja pieśni autorstwa Biernackiego i tę podajemy].

Józef Mączka

Legiony

Starych ojców naszych szlakiem
Przez krew idziem ku wolności,
Z dawną pieśnią, z dawnym znakiem,
My – żołnierze sercem prości,
Silni wiarą i nadzieją,
Że tam kędyś świty dnieją.

Zawołały ku nam z dala
Starych hasel złote dzwony,
Zaszumiała kłósów fala,
Wiatr z dalekiej powiał strony.
I na złotym grał nam rogu
Pieśń o sławie i o wrogu.

Zamarzyły się nam czyny
Spod Grochowa, Ostrołęki,
Krwawych ojców – krwawe syny,
zapagnęlim świeżej męki.



W przełomowej dziejów chwili,
Którą w snach my wymodlili.

Starych ojców naszych szlakiem
Przez krew idziem w jutra wschody,
Z dawną pieśnią, z dawnym znakiem,
Na śmiertelne idziem gody,
By z krwi naszej życie wzięła
Ta – co jeszcze nie zginęła.

Edward Słoński

6 sierpnia

Nie uczono was sztuki wojennej
w petersburskich korpusach kadetów,
lecz, uciekłszy zza kraty więziennej,
wyście poszli na ostrza bagnetów,
bez nakazów z Berlina czy Wiednia,
wy – milionów walczących straż przednia!

Szliście naprzód bez broni i zbroi,
wróg przed wami stał, wróg szedł za wami
i, jak wrogów, witali was swoi
zamkniętymi na sto ryglów drzwiami,
nasłuchując uważnie dokoła,
czy ich czasem sam car nie zawoła.

Ale z wami szła Polska, szła z wami
Ta prawdziwa, Ta która nie zginie,
kwitnącymi szumiąca lipami,
śpiewająca pieśń o Rozmarynie,
Polska, która kubańskich kozaków
nie zdobiła barwami swych znaków.
Ona z wami szła i była z wami,
gdyście w Kielcach składali przysięgę



Jan Lechoń

Polonez artyleryjski [fragment]

[...]

To artyleria nasza licha

Dziś puka od świtania...

To major Brzoza kartaczami w moskiewskie pułki wali.

Czy przeciw nam wy, czy też z nami?

Gadamy do was kartaczami;

Nie dusi dym i krew nie plami.

I jeno ogień pali.

Za nami będą mówić ciszą

I łzami i modlitwą...

Armatom ognia!! Niechaj dyszą!

Hej! ognia! ognia! Słyszają, słyszają

Że w bitwie idziem bitwą.

Konnicy koniem, zbrojną ręką

Po swoje iść piechocie.

Jaką grał Bem pod Ostrołęką,

Taką nam zagrać dziś piosenką

I w pułk moskiewski rozwinięty

Chrzest słać, piekielny chrzest i święty

Kapłanom przy robocie.

Dudni nam ziemia, dudni, dudni,

Radujcie się, majorze!

Tak się Polska nam roz cudni,

Gdy skwarny przyjdzie czas południ

Na nasze krwawe zboże.

Słyszycie! Z cicha, z cicha, z cicha,

Warkotem, bez ustania...

Na miły Bóg! Czy ziemia wzdycha?

Pułk się za pułkiem w śmierć przepycha.



To artyleria nasza licha
Dziś puka od świtania.
Ani się pyta, kto dziś z nami
Bateria wścieklej stali.

To major Brzoza kartaczami w moskiewskie pułki wali!

Stanisław Witkiewicz
Z ostatnich słów

Patrzę na czapkę Ziuka i myślę o nich wszystkich...

Strzelcy wprowadzają do historii na powrót siłę, którą ludzie przywykli uważać za dawno zniszczoną...

Żyjemy, jesteście i zajmujemy na powrót miejsce w historii, pod własnym imieniem – to jest życie – to najważniejsze...

Legenda – to skarb i siła, siła często potężniejsza niż historia, niż rzeczywistość. Strzeżmy jej i pielęgnujmy ją i nie dajmy osiadać na niej rdzy marnego filisterskiego sceptycyzmu...

Ta garść ludzi z Ziukiem na czele, to grudka radium, której promieniowanie jest niewyczerpane, której siła jest olbrzymia i więcej warta od wszystkich artykułów pisanych przez stare miotły okrętowe...

Postać Piłsudskiego jest czystą emanacją dzisiejszych czasów. Zjawiała się na tle życia gotowa ze swymi celami i środkami czynu, ze swoją własną ideą i poezją. To jest właśnie człowiek, który był konieczny, dlatego to, co On czyni, staje się w sposób cudowny! Ach Ziuk!...

Ludzie nędzni, upadli, z wygniętym sumieniem polskim byli – nowym i szczęśliwym jest to odrodzenie, mało Ich – ale są. A zdawało się, że Ich nie będzie nigdy. Więc cieszcie się Nimi!...

Wiara, że nie tylko legenda Legionów z tej burzy, ale że Ich czyn wyrąbie też „przeziór” w murze niewoli, wiara w to **wzrasta**...

[...] Legiony są istotą polskiego życia i jakkolwiek będzie skutek ich czynu dalszy, ostateczny, samo życie takie jak ich, jest najdoskonalszym życiem polskim. Jest tą „górną” chwilą, o której marzył Mickiewicz...

Czyn Piłsudskiego jest potężną dźwignią, która wyważyła z bezdni niewoli i upodlenia Polskę. Cześć Jemu i Jego żołnierzom...



Piłsudskiego nikt nie mianował. W chwili jego wystąpienia na widownię polskiego życia nie było żadnej, wyższej od Niego władzy w Polsce. Nikt nie mógł Go upoważnić do spełnienia Jego czynu, ulegalizować Jego władzy, potwierdzić Jego pełnomocnictwa i nakazać posłuchu Jego rozkazom... Piłsudskiego „kariera” rozpoczęła się od spiskowania przeciw przemocy i despotyzmowi rosyjskiemu, przeciw przemocy i niesprawiedliwości społecznej...

Życie Piłsudskiego było ciągłym ocieraniem się o szubienicę, ciągłym nadstawianiem szyi pod pętlę stryczka.

Niesłychana odwaga, zimna krew, czujny i bystry umysł i genialna przebiegłość spiskowca ocaliła Go – na szczęście! Ktoś dedykował Piłsudskiemu książkę i napisał: – Pierwszemu żołnierzowi Nowej Polski.

I On rzeczywiście jest tym pierwszym żołnierzem...

Armia polska walczy i Piłsudski jest na jej czele. Tacy ludzie jak Piłsudski działają na ludzkie dusze jak soczewka na rozproszone promienie słoneczne, skupiając je w jedno ognisko i wywołując wybuch ognia. Podobnie Piłsudski skupił, zogniskował wybuch czynu – Strzelców! Na ich czele znalazł się On z prostej konieczności jako ich twórca. Stał się wodzem przez swoją własną moc. Jego władza jest wynikiem tego, że On jest wcieleniem ducha wiodącego do walki tych nowych polskich żołnierzy.

Rzeczywistość i legenda wyznaczyły mu w historii polskiej miejsce, z którego nie może Go usunąć władza, żadne normy hierarchii wojskowej.

On jest i będzie na zawsze rzeczywistym wodzem Polskich Legionów.



43. „[...] na pewno sława”

[Kazimierz Sosnkowski, *Wspomnienie na 20. rocznicę wymarszu strzelców (sierpień 1914)* [w:] *idem, Wybór pism*, oprac. Jerzy Kirszak, Wrocław, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, 2009]

[...] Kadrówka pierwsza przekroczyła granicę, w ślad za nią ruszyły w krótkich odstępach czasu następne oddziały awangardy strzeleckiej, kierując się poprzez Skałę, Miechów na Kielce.

Komendant i ja jechaliśmy konno na czele skromnej, szarej kolumny; za nami szła Kadrówka, uzbrojona w mannlichery, dalej maszerowały dwie kompanie, dźwigając ciężkie, przestarzałe, bezużyteczne werndle.

Przed nami leżał kraj żyzny i malowniczy, wyłożony łąkami falujących, dojrzałych zbóż. Słońce świeciło jasno w całej krasie dnia letniego, tylko gdzieś daleko, na północnym wschodzie gromadziły się ciężkie chmury, zwiastujące burzę. Ich tajemnicza zasłona zaścielała skłon nieba w kierunku naszego marszu. Strzelcy szli bez pieśni, w dziwnie poważnym nastroju. Komendant milczał, pogrążony w zadumie.

W pewnej chwili odniosłem wrażenie, że myśli żołnierzy biegną w stronę dalekich horyzontów, kryjących nieznane, i że wszystkim na ustach drży jedno i to samo pytanie.

– Komendancie – odezwałem się – Komendancie, powiedzcie, co nas czeka, co nam gotuje przyszłość?

Komendant ocknął się z zamyślenia, spojrzął na mnie, zwrócił wzrok przed siebie...

– Chłopcze – rzekł po dłuższej chwili – czeka nas na pewno sława, być może wielkość w wolnej Ojczyźnie... [...]



44. „Brygada Piłsudskiego stanowi zwartą całość odrębną”.

[Juliusz Kaden-Bandrowski, *Piłsudczycy*, Białystok, KAW, 1990]

Ludzi tych wzięła już na ogromne swe skrzydła Historia i nikt jeszcze nie wie, na wyżynę jakiej zasługi ich poniesie. Teraz stoją w kurzu i w dymie, w trzasku, w zgiełku walki, we wszystkich wspaniałościach i w całej grozie wojny... Mogę powiedzieć, iż spełnili wielkie przeznaczenie, co więcej, że przeznaczenie to odkryli krótkowzrocznym oczom ogółu. Mogę powiedzieć, że towarzyszyło im od zarania poczętego dzieła to wszystko, co towarzyszy trudom bohaterów. Jeślibyśmy żyli w czasie legend, to legenda potężna owionęłaby głowy tych żołnierzy już za ich życia, bowiem istotnie legendarne jest, czego dokonali.

Idą w huraganach walki, szeregiem, który coraz śmierć rozrywa, niepomiernie śmierci, a tak pewni powołania swego, jak ludzie, którzy wieczną jakowąś tajemnicę i prawdę posiadli.

Tą prostą tajemnicą ich i słuszną prawdą jest – że w boju jedynie, w przelewie krwi, w doznaniu śmierci, żywy Naród ma prawo sięgać po sprawiedliwość...

Otóż tę prawdę głęboką i zaczął uczynił Piłsudski podwaliną młodego militarystyki polskiego, wokoło niej z jemu właściwą prostotą i czarem umiając zgromadzić podobnych sobie żołnierzy.

Wojnę prowadził Brygadier i jego oficerowie, i jego żołnierze, nim jeszcze wojna wybuchła... Wojnę z nie dość skorym do czynu społeczeństwem, z obojętnością i ze śmiechem, i z drwinami, wojnę z brakiem środków materialnych na prowadzenie organizacji, wreszcie skrytą, straszliwą wojnę z ustrojem państwa rosyjskiego, na którego przestrzeniach wiązał ustawicznie sieć bojowego pogotowia Polski.

Tę sieć udawało się wrogowi rozerwać... Wówczas ginęły jednostki i trzeba było mieć olbrzymią moc ducha, ogromny hart serca, by pracy nie poniechać w obawie dalszych ofiar.

Siła rozumu, hart serca, cierpliwość planu i rącość w jego wykonaniu, to zasadnicze cechy charakteru Piłsudskiego. Kto Go chce widzieć w momencie, w którym Komendant niczego ukryć nie zdoła, niech patrzy na niego podczas bitwy. Wtedy, gdy cała praca Brygadiera, gdy wysiłki całego jego życia, gdy idea wszystkich jego idei – gdy I Brygada I Legionu – idzie w ogień...

Tylko człowiek nadzwyczajny, wódz urodzony, może z takim humorem, z taką radością i nieopisanie subtelną pychą słać najdroższych sobie ludzi do walki. Najdroższych, bo przecie wszystkich ich zna od dawna, pracował nad nimi, gdy



jeszcze na ławie szkolnej siedzieli, potężną dłońią wtlaczał ich w swe karby, gdy byli na uniwersytecie. Trudno powiedzieć, że Piłsudski wydaje rozkazy... Nie tak się to odbywa, a jakoś się dzieje po prostu, poufnie, z dziwną słodyczą. Ta słodycz wynika z pewności, którą ma Brygadier, że każdy Jego rozkaz bezwzględnie zostanie spełniony.

Bitwa już rozpoczęta... Piłsudski stoi przed kwaterą (śnieżne zbocza gór widnieją dokoła), jedną ręką na płocie wsparty, drugą głaska lekko po ramieniu wyprężonego, jak struna, dowódcę batalionu.

Batalion już gotów, czeka za chałupami, żołnierze, oparci na karabinach, dopalają „ostatniego” papierosa.

Brygadier – jakby o wiele starszy brat najmłodszemu bratu dawał serdeczne rady – mówi swe rozkazy.

Armaty ryczą ustawicznie, palba karabinowa nieustannym klekotem tłucze się po śniegu, to tu, to tam rozlega się przeraźliwy pytel karabinu maszynowego. W tej chwili Piłsudski, w szarym swym futerku, z twarzą myśliciela i drapieźnika, zadumany, romantyczny w spokoju swym i pogodzie – niezapomniane sprawia wrażenie... Jakby tu przyjechał z daleka, dostojny, dystyngowany opiekun, czy zaufany przyjaciel wielkiej sprawy.

Rozmawia z oficerami, z wdzięcznym humorem przyjmuje meldunki, idzie patrzeć jak biją granaty (biją one o 50 kroków od kwatery) i śmieje się, że takie ogromne dziury wrywają w ziemi. Właściwie zupełnie nie znać, że człowiek ten równocześnie prowadzi bitwę. Nie znać dlatego, że czyni to z ogromną łatwością i z fenomenalną intuicją. Dopiero, gdy nieprzyjacielowi przybywają znaczne posiłki, gdy Komendant czuje, że Jego szeregi walczą z przeważającą znacznie siłą – zmienia się.

Poczyna wówczas chodzić przed kwaterą tam i na powrót i coraz dalej w stronę walki, jak gdyby wleczony przemożną żądzą niesienia bezpośredniej pomocy swym oddziałom.

Widziałem Go, jak szedł tak prosto na strzały ku kochanej piechocie swej, wpisany w syczącą parabolę biegu granatów, z fruującymi nad głową obłokami szrapneli, szedł z góry, w słońcu, po śnieżnej drodze, rycerskim zaiste jaśniejący obliczem.

Zsunięte nad oczami oszronione brwi, nieruchome były jak bruzda. Oczy niebieskie, bystre, straciły w tej chwili tę złotą iskrę dobrotliwości i humoru, która zazwyczaj z nich wybłyska. Okrutna twardość i najszanowniejsza troska była z owych tak romantycznie niebieskich źrenic. Pochylony naprzód, z czołem tak



bajecznie sklepionym, iż wyklucza ono wszelką pomyłkę planu, szedł, jakby musiał iść ojciec na pomoc, gdyby tam przed nim dzieci jego walczyły.

Największą jego zaletą, prócz wszystkich cnót obywatela i żołnierza jest zasadnicza cecha wodza: umie wybrać ludzi, zaś wybrawszy, bez trudu i zachodu przepaja swą ideą.

Ten czarujący talent sprawia, że Brygada Piłsudskiego stanowi zwartą całość odrębną [...]



45. Opowieść o Łowczówku.

[Juliusz Kaden-Bandrowski, *Pilsudczycy*, Białystok, KAW, 1990]

[...] Dwudziestego trzeciego grudnia strzelanina na rozwijającym się froncie poczęła jeszcze wzrastać. Dnia tego ostatecznie rozprężyć się miała żmija naszego ognia i przyjąć, wstrzymać jej wypadło masę rosyjskiego naporu. Front wyciągnął się tak dalece, że pchnięto weń wszystkie rezerwy.

Poszli trzymać wąwozy, by się w nie, niby napór ziemi, nie wcisnęły szare kolumny rosyjskie, na lewo komendanci: [Józef Wilczyński] Olszyna, [Albin] Fleszar, [Franciszek] Grudziński; na prawo jeszcze dalej się posunął komendant [Witold Ścibor-]Rylski. Około godziny jedenastej rano brakowało już amunicji. Szeregi nasze strzelały z karabinów rosyjskich, których podczas walki poprzedniej zabrano bardzo wiele.

Walczące strony zbliżały się do siebie, gryząc i szarpiąc coraz zajadlej. Zwłaszcza na lewym skrzydle gwałt akcji nieprzyjacielskiej powiększał się. Dochodziło tu do szesnastu ataków na bagnety.

Ogień artylerii, rzecz prosta, opuścił walczące z tak bliska fronty i szukał rezerw. Straszonymi wyrwami ziemi rzucał po zaroślach, słupem rozdartej gleby pędził po stoku, to znów zacinał się, waląc tuż obok chałupy, w której całą arcytrudną rozprawą kierował podpułkownik Sosnkowski. Kierownictwo mozolne, ciężkie przy wyciągniętym froncie i bez rezerw, gdy nieprzyjaciel, mimo niezmiernej straty pcha się naprzód i zmieniać może swe siły.

Chałupa drży od wystrzałów, otacza ją zewsząd jak strun zrywanych brzęczenie, syk kul karabinowych. Przed dowodzącym kupka pomiętych świstków – to meldunki z linii ognia. Pod ręką blok do pisania rozkazów.

Ordynans, który tylko co wrócił od swego oddziału, drży jeszcze z gorącego podniecenia walką. Utyłłany w glinie, za paznokciami pełno ziemi. Nie paznokcie to są już, lecz pazury. A usta spękane, granatowe. Są już w ogniu dwie doby i jeszcze nic nie jedli.

Nic prawie niepodobna dowieźć. Wozy się w nocy pną pod górę (z daleka w dole jak sznury złote drżą światła Tarnowa), sierżanci prowiantowi pochrypli od krzyku, z koni dech ostatni wypierają, lecz przemożne błoto wsysa całą tę żmudę bezpowrotnie.

Ordynans wraca „na linię” z karteluszkami w garści. Jest on jednym z tych węzłów małych, a ważnych, przez które myśl i zdolność dowódcy dobiega frontu, by tu ogniem wybłysnąć.



Ataki nieprzyjaciela na nasze lewe skrzydło, jego chytre przebiegłości wśród wąwozów, cała jego praca dzisiejsza zostaje udaremniona. Bataliony Satyra, Olszyny, Grudzińskiego stoją twardo, jak ich dowódcy i nie uradzi im wyborowa dywizja piechoty, specjalnie na sforsowanie odcinka, przez nasz Legion zajmowanego, przysłana.

Wrogie linie, już dwie doby leżące naprzeciw siebie, poczynają wśród strzałów rozmawiać ze sobą, dzieli je bowiem przestrzeń trzydziestu do czterdziestu kroków.

„Poddajcie się” – woła nasz. „Sybirskie strielki nie poddajut sia”. Inna rzecz, że w boju na bagnety te sybirskie strielki nie mogły wytrzymać odwagi i siły ducha naszych żołnierzy. Ogromny drab padał na kolana przed małym strzelcem, wołając: „Nie zabijaj panoczku”.

Po całej linii z ust do ust idą wśród ognia „ostatnie wiadomości”. Ten padając krzyknął: „Niech żyje Polska! Legioniści naprzód!”. Tamten się dziwi: „Żebyś wiedział, jak bagnet miękko wchodzi w ciało...”. Inni ubolewają, że Belina został ranny na progu kwatery podpułkownika Sosnkowskiego, gdy szedł ze skargą, iż jego kawaleria w tym boju współpracować nie może. W ogniu i huku dział zapada czarna noc.

Dnia 24 grudnia 1914, słodkiego dnia wili, bój nie zelżał ani na chwilę.

Do kwatery dowódcy coraz przybywali oficerowie „po sytuację”, dzielnie spokojni. Trudno inaczej powiedzieć jak tylko, że czar polskiego uporu i wytrzymałości, że najwyższa cnota wojenna spełniała się tego dnia, zwłaszcza, gdy na centrum pozycji przypuścili Rosjanie szturm, przygotowany piekielnym ogniem artylerii walącej w okopy.

Tam właśnie, mając obok siebie rannych i zabitych w okopach śmierci i bohaterstwa bronili się nasi żołnierze, póki pysznym atakiem na bagnety nie zagarnął Rosjan ze wzgórza komendant [Kazimierz] Kuba-Bojarski, biorąc do niewoli kilkudziesięciu jeńców.

Kuba-Bojarski tegoż dnia, ugodzony śmiertelnie kulami karabinu maszynowego, był typem oficera polskiej piechoty. Przechacny w stosunku do żołnierzy, niestrudzony w marszu, twardy dla wroga, stanowić będzie wzór, z linii tych samych, co to lat temu z górą sto, drogą na Egipt do Polski maszerowali.

Wieczór wigilijny zastał nas w boju na posterunkach. Jakoś między jednym meldunkiem a drugim, skorzystał z chwili porucznik kawalerii [Gustaw Dreszer] Orlicz (było to na kwaterze podpułkownika Sosnkowskiego), oznajmiając, że ma ze sobą opłatek.

Oficerowie zmieszali się, podporucznik [Konstanty] Dzieduszycki piszący



rozkaz pochylił się nagle nad stołem, drgający uśmiech owinał usta wszystkich. Mimo ryku ustawicznych salw, łamanie opłatka słychać było tak cicho i wyraźnie, jakby słyszeć można było samo szczęście, gdyby widowym i namacalnym dzielić się mogli ludzie między sobą z ręki do ręki.

I znów bezsenna noc trzecia. Przychodzi rozkaz dywizji, że cofać się mamy z zajmowanych dotąd stanowisk. Powoli wywlekają się z okopów pojedyncze sekcje i plutony.

W lesie śmierdzi prochem i cikliwą wonią trupów.

Powoli ostyga straszliwa linia. Kilka oddziałów ściągnęło już na drogę. Sanitariusze unoszą rannych, bolejąc nad śmiercią męznego kolegi Koloszka (Buława), który zginął na posterunku.

Ranni I pułku prawie nie jęczą. Żołnierze mówią o pozostałych tam na tej linii, na zawsze... Olbrzymia wiara w życie prześwieca w hartownym umieraniu naszych żołnierzy i w pamięci, jaka o nich zostaje wśród żywych.

Śmierć w szeregu polskim nie jest żadnym dylematem. Jest czymś, bez porównania mniej ważnym od zwycięstwa. Drugi rozkaz dywizji każe znów objąć opuszczone pozycje. Wróciliśmy na nie w nocy, wyrzucając nowych gospodarzy naszej placówki bagnetem.

Wyborowa dywizja rosyjska, specjalnie, jak to jeńcy zeznawali, na przełamanie tego frontu sprowadzona znów, wśród trzasku karabinów leżała całą noc przed cienką linią I Legionu bezsilna.

Nazajutrz, 25 grudnia, w pierwszy dzień Bożego Narodzenia przycichło. Gęsta mgła nie pozwala na walkę artylerii, a ogień karabinowy osłabł. Koło dziesiątej rano przyszedł rozkaz z dywizji, iż będziemy zmienieni przez nowe siły, a przy tej okazji generał „Dowódcy, oficerom i całemu polskiemu Legionowi za jego nadzwyczaj męzny bój, z jakim Legion c. i k. wojska, oraz c.k. Obronę krajową wspomagał, wyraża w imieniu Najwyższej Służby najgłębsze uznanie i podziękowanie”.

Oddziały nasze zeszyły z pozycji, zostawiając przed sobą stosy nieprzyjacielskich trupów (w pułku rosyjskim Benderskim po tych czterech dniach kompanie jego liczą dwudziestu do trzydziestu ludzi), u wroga sławę „atczajających polskich ochotników”, podziw wśród szeregów współwalczącej armii i najcenniejsze tak dawno, żołnierskim trybem, między sercem polskim a ziemią niewiązane ogniwo: z rany niesionego żołnierza, w świcie kul, w łomocie armat, na gruady spływającą krew.

Więź tymi rubinami nizana jest wieczna...



46. „[...] okrzyk »do ataku« poskutkował”

[Józef Wojnarski, *Pamiętnik legionisty*, Toruń, Oficyna Wydawnicza Kucharski, 2007]

[...] Jesteśmy w Limanowej. Kwaterujemy w szkole. Jestem wyznaczony na łącznika. Nasze karabiny stoją oparte o ścianę w korytarzu, a ja myślę ciągle o swoim. Łącznicy – to był rodzaj telefonu. Byliśmy rozciągnięci w kierunku do frontu, gdzie trwał bój. Idąc na tego łącznika wziąłem nie swój karabin, ale któregoś z moich kolegów. Po jakimś czasie moja kompania maszeruje do linii frontowej i likwiduje łączników. W kierunku na północ od miasta kompania idzie tyralierą w prawo od szosy, a mój pluton w lewo.

Przy jednym domku otrzymujemy rozkaz „padnij” i mamy strzelać na wprost. Ja, ze względu na wzrost, byłem zawsze na lewym skrzydle, więc ostatni w tej tyralierze. Pakuję magazynek za magazynkiem i strzelam, chociaż żadnego celu nie widzę. Moskale musieli zauważyć nasze ruchy i zaczęli ostrzeliwać nas z artylerii. Jeden z granatów wybuchł tuż przy naszej linii i zostaliśmy zasypani odłamkami. Czwarty ode mnie leżał plutonowy i on dostał odłamkiem w rękę powyżej łokcia. Odłamek był duży i trzeba było plutonowego położyć na koc i odnieść na tyły.

[...] Wokolicy Limanowej przebywaliśmy kilka dni i pamiętam takie miejscowości jak Tymbark, Pisarzowa, Zakliczyn, Mszana Górna. W tych miejscowościach nie mieliśmy spokoju. Krótkie odpoczynki i znowu front – pierwsze linie. Okopów tu nie było, więc zawsze leżeliśmy na polach lub w przydrożnych rowach i tu nie było mowy o okopaniu się. Taka to była nasza wojaczka.

Na prawdziwym froncie, gdzie wyczuwało się wroga i wiedziało się, że on jest naprzeciw, też już byłem. Nad naszymi głowami gwizdały moskiewskie kule karabinowe, wydające charakterystyczny dźwięk „fiufiufiu”. Było to 5 grudnia 1914 roku. Moi koledzy z plutonu, ci starsi, którzy „wąchali już proch” przeciwnika, wcześniej wiedzieli, co takie „fiufiufiu” oznacza i że taka kula z przeciwnej strony może zranić lub zabić. Mimo woli schylali głowy, ja natomiast z zaciekawieniem wsłuchiwałem się w gwizd kul i głowy nie chowałem. Z każdym dniem stawałem się bardziej doświadczonym żołnierzem. Szedłem też do ataku z karabinem, na którym był umocowany bagnet. Tak się jakoś składało, że Rosjanie byli szybsi, uciekali, a my wpadaliśmy do ich pustych okopów. I znowu byliśmy na pierwszej linii, ale nigdy nie widzieliśmy Moskali. Były rozkazy „bagnet na broń” i trzeba było iść do ataku. To przecież nie były żadne manewry, to była ta prawdziwa wojna.

Spod Limanowej – jak nam mówiono – mamy iść na odpoczynek do Nowego



Sącza. [...] Nasze kwatery znajdowały się w budynku szkolnym. Szkoły najlepiej nadawały się na kwatery dla żołnierzy. Tu otrzymaliśmy pierwszy żołd, a było tego 3 korony i 60 halerzy na dekadę, a więc nazbierało się trochę pieniędzy. Tu mieliśmy odpoczywać dwa tygodnie. Po trzech dniach znowu alarm i mamy iść aż pod Tarnów.

Pod Tarnowem byliśmy w samo Boże Narodzenie. Marsz na przestrzeni 40 kilometrów był dla nas ciężki. Rosjanie urządzili nam Świąta. Bez przerwy atakowali i bombardowali ogniem artyleryjskim. Musieliśmy szesnaście razy odpierać ich ataki. Przez dwa dni świąt nie dowożono nam jedzenia, ale my jednak odpieraliśmy napór przeciwnika. Przed nami był wróg doświadczony w bojach, a my chłopcy 17-, 18-letni. Na nasze szczęście tuż koło okopów były kopce z karpielami [brukwią], więc tymi karpielami zaspokajaliśmy głód.

Drugiego dnia świąt była bardzo gęsta mgła. Leżało nas kilku na skraju wąwozu. Cały czas strzelaliśmy w stronę Moskali. Naraz widzimy, że stoi nad nami kilku Moskali – chłop w chłopa. Jeden z tych wielkoludów woła do nas „sokoliki zdawajtesia”, a my poturlaliśmy się w tym wąwozie i zniknęliśmy im z oczu. Zaczęli za nami strzelać w linii prostej, a więc pociski szły nad nami. Na szczęście po drugiej stronie wąwozu był las. Dotarliśmy do tego lasu, a tam już byli nasi, leguny. Wtedy nasza sytuacja była o tyle lepsza, że jako osłonę mieliśmy drzewa i kryjąc się za drzewami mogliśmy się skutecznie bronić i ostrzeliwać wroga. Który z Rosjan zeszedł do wąwozu, już z niego nie wychodził. Kiedy jeden z naszych oficerów został ranny w policzek, wy dobył swoją szablę i krzyczał „do ataku”. Dwóch naszych żołnierzy wzięło go pod ręce i odprowadziło na tyły. Kiedy byliśmy na Wołyniu, wrócił do nas, ale miał bardzo zniekształconą twarz, a szczególnie usta. Jego okrzyk „do ataku” poskutkowało, bo taktycznie ruszyliśmy do ataku i Rosjanie uciekali przed nami. Jednak daleko nie goniliśmy za nimi, bo nas było za mało, żeby utrzymać linię frontu. Był rozkaz „wycofać się”. [...]

[Oficerem, który wydał ten rozkaz był Władysław Bortnowski, późniejszy generał WP, we wrześniu 1939 roku dowódca Armii „Pomorze”].



47. O męstwie legionistów pod Łowczówkiem.

[Kazimierz Sosnkowski, *Rozkaz do żołnierzy I Brygady Legionów (1 stycznia 1915)* [w:] *idem, Wybór pism*, oprac. Jerzy Kirszak, Wrocław, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, 2009]

Żołnierze!

Bój, który rozpoczęliście dnia 22 grudnia 1914 na wzgórzach Łowczówka i Mesznej Szlacheckiej, był największym z wszystkich, w jakich dotychczas brał udział I Pułk Legionów. Mieliście do czynienia z wyborową dywizją rosyjskiej piechoty, specjalnie dla przełamania tego frontu przysłaną. Mieliście sprawę z nieprzyjacielem ufnym w powodzenie.

Ruszyły do boju nasze szeregi. W pierwszy ogień poszła nasza stara gwardia, oddziały majora Śmigłego, prąc naprzód w niezawodnym ataku. W szczegółach dzielnie i sprawnie poprowadzili ów atak komendanci [Kazimierz Piątek] Herwin i [Stanisław Burhardt] Bukacki, pierwszy – sunąc naprzód wytrwale pod silnym ogniem nieprzyjaciela, drugi – oskrzydłając zręcznie przeciwnika, zdobywając w rozpędzie trzy rzędy okopów moskiewskich, wzmocnionych drutem kolczastym, wreszcie biorąc gęsto niewolnika.

Już wieczorem byliście, żołnierze, panami pozycji, na których kilka godzin temu tryumfował nieprzyjaciel.

Odpowiedzialna skwapliwość dowódców, szlachetna odwaga szeregowców, męstwo jednych i drugich nie pozwoliło nam poprzestać na samym spełnieniu zadania. Patrole I pułku w pościgu dalej poszły, wnikając w teren, zajęty przez nieprzyjaciela. Tu patrol złożony z 8 ludzi pod dowództwem podoficera [Gustawa] Świderskiego wziął do niewoli prawie cały sztab benderskiego pułku rosyjskiej piechoty, a mianowicie podpułkownika, 2 kapitanów, 2 poruczników, 2 podporuczników oraz dalszych licznych jeńców.

Drugi dzień walki 23 grudnia upłynął na rozwijaniu się naszego frontu, wśród coraz gwałtowniejszych starć na poszczególnych jego częściach. Podczas gdy prawe skrzydło z batalionem Rybskiego sunęło ostro naprzód, lewe z oddziałami Olszyny, Grudzińskiego, Piskora odbijało ataki nieprzyjaciela, zadając mu ciężkie straty.

Drugi dzień nieprzerwanej walki postawił nas wobec braku amunicji i żywności. Pierwszą zastąpiono w części karabinami rosyjskimi, zdobytymi na wrogu. Żywność zastąpić nam w tym boju musiała twarda chęć zwycięstwa.

Dzień 24 grudnia w przebiegu tej gwałtownej rozprawy natężeniem nie



ustępował dniom poprzednim. Linie walczących tężyły się naprzeciw siebie o 30–40 kroków odległości. Na próżno szalał ogień artylerii nieprzyjacielskiej, nasz front trwał w ogniu, wszystkie rezerwy wcieliwszy w obrót walki. Front nieprzyjacielski zasilają wypoczęte oddziały coraz nowych grup.

Żołnierze! Uporem swym, hartem i męstwem tego dnia okazanym wystawiliście sobie świadectwo godne tych wszystkich, których sława przyświeca Waszemu orężowi. Dowiedliście, że nie ma wysiłku i nie ma ofiary dość trudnej, byście jej nie podjęli, gdy wróg złamać Was pragnie, a Wy zwyciężać chcecie.

Co znaczy łamać polskie fronty, przekonał się nieprzyjaciel, przypuszczając szturm na centrum naszej pozycji, skąd odparty świetnym kontratakiem komendanta Bojarskiego, cofnął się w nieładzie, dając nam kilkudziesięciu jeńców.

Wieczorny rozkaz cofnął naszą linię z jej stanowisk, by w godzinę potem ponownie ją na nie powołać. Powróciliście, wyrzucając gdzieś nieprzyjaciela bagnetem z zajmowanych przez Was dawniej stanowisk.

Odeszliśmy, odparłszy 16 ataków moskiewskich, zostawiając za sobą 100 poległych; nie mniej jak 4000 rannych i zabitych przeciwnik stracił w boju pod Łowczówkiem. Odeszliśmy, uprowadzając z sobą 600 jeńców, w tej liczbie 18 oficerów.

Żołnierze, w bitwie pod Łowczówkiem daliście dowód męstwa, które szacunkiem przejmuje dla Was szeregi armii, a za które nieprzyjaciel płaci stosami trupów i rannych. Wojenna postawa Wasza wskrzesza dawne tradycje oręża polskiego. W imię tej dawnej, wiecznie żywej sławy bojów i trudów polskich rozkaz niniejszy dorzuca do nieprzebranego skarbcza imion poległych za Polskę bohaterów nazwiska Kuby-Bojarskiego, komendanta I baonu; [Eugeniusza Dreszera] Słomki, zastępcy komendanta I baonu; [Stanisława Łapińskiego] Nilskiego [w rzeczywistości dostał się do niewoli rosyjskiej, z której wkrótce zbiegł], kompanijnego 2. kompanii I baonu; [Eugeniusza Użupisa] Zagórskiego, komendanta II baonu; plutonowego [Stanisława] Króla-Kaszubskiego [w rzeczywistości dostał się do niewoli rosyjskiej i jako poddany rosyjski 7 lutego 1915 roku został powieszony w Pilźnie], [Władysława] Kędzińskiego, oraz wszystkich żołnierzy, których imiona na wieki zapamięta Ojczyzna.



48. Bohaterstwo 2 i 3 pułków legionowych (późniejszej Żelaznej II Brygady Legionów Polskich).

[Józef Mączka, *Mołotków* [w:] „*Rozkwitały pąki białych róż...*”. *Wiersze i pieśni z lat 1908–1918 o Polsce, o wojnie i o żołnierzach*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Andrzej Romanowski, Warszawa, Czytelnik, 1990]

Naprzód w opłotki – Hura!... Na bagnety!...
Gruchnęły salwy u ziemi... „Złóż broń!” –
Hura!!...
Dłoń podaj!... Bracie – podaj dłoń!
Pomóż mi – bowiem tak śpieszno mi dalej,
a z ziemi podnieść nie mogę się wzwyż...
Cóż to? ... na piersiach... sznur kraśnych koralii!...
bracie – na czole kładź ostatni krzyż...
niech Cię prowadzi naprzód Częstochowska!
To nic – ty nie płacz – zmień serce we spiż!...
Jakiś sen dawny w oczach mi się pali –
sen to – czy jawa!?... Olszynka Grochowska!...
Tam, tam przed nami – patrz!... z bronią u oka
stanęli mierząc ... Mgła oczy spowija..
Nie trudź się bracie – to rana głęboka...
Za Polskę!...
Jezus – Józef – i Maryja!...

[Wacław Lipiński, *Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905–1918*, oprac. Marek Gałęzowski, współpraca Jerzy Kirszak, Łomianki, LTW, 2016]

[...] Na pograniczu węgierskim znalazły się pułki 2 i 3 w pierwszych dniach października [1914], przewiezione tam koleją po południowej stronie Karpat. Nie otrzymawszy, podobnie jak i oddziały Piłsudskiego, odpowiedniego wyposażenia technicznego, formowane pośpiesznie, lada jako zaopatrzone i umundurowane – rzucone zostały nieomal wprost z wagonów do walki przeciwko 1 i 2 Dywizji kozackiej, które zajęły ciężki, górzysty obszar komitatu Marmaros-Sziget. Po wyrzuceniu nieprzyjaciela z tego obszaru, co zostało przeprowadzone w ciągu



dwutygodniowych walk i potyczek, w których młodzi oficerowie i żołnierze „karpackich pułków” wykazali bardzo wysoką wartość bojową, legionowe oddziały 2 i 3 pułku otrzymały rozkaz przekroczenia Karpat i oczyszczenia doliny Bystrzycy, już na terenie Galicji. Poprzez słynną „drogę Legionów”, zbudowaną w ciągu trzech dni na Przełęczy Pantyrskiej, wkroczyli do Nadwórnej, wyrzucając z niej Rosjan, aby 29 października stoczyć krwawą i zażartą bitwę pod Mołotkowem.

W krwawej tej bitwie pułki 2 i 3, liczące około 8000 legionistów i rozporządzające 14 działami, stawily opór szesnastotysięcznej dywizji rosyjskiej z 48 działami i 32 karabinami maszynowymi, których oddziały legionowe zupełnie nie posiadały. Przy niezupełnie ukończonej koncentracji oddziałów, przy zmienionym w ostatniej chwili planie operacyjnym w dowództwie rozpoczął się o godz. ósmej rano uporczywy bój z przewagą przeciwnika.

W pierwszej jego fazie oddziały legionowe, prąc gwałtownym ruchem ofensywnym, oddaliły się zbyt od swej właściwej i przewidywanej poprzednio linii obronnej. Rwąca się między oddziałami łączność i powstające skutkiem tego luki wypełniało dowództwo stojącymi do dyspozycji odwodami, których w decydującej chwili zabrakło. Około południa walczące oddziały, pozbawione współdziałania stojącej obok bezczynnie 56 Dywizji austriackiej gen. Attempa, zaczęły odczuwać coraz silniej rosnącą wciąż przewagę wroga, którego gwałtowny ogień karabinów maszynowych dziesiątkował lewoskrzydłową zwłaszcza grupę walczącą w Mołotkowie.

Równocześnie grupie tej zaczęło grozić oskrzydlenie. Ostatnie odwody wchodzą w linię, by podtrzymać wyczerpaną nieudaną walką siły. Już jednak koło czternastej stało się widoczne, że siły oddziałów legionowych, w zupełności wyczerpane, nie zdołają powstrzymać naporu przeciwnika, który pchnął do natarcia nowe i wypoczęte oddziały wyszkolonego i przewyższającego po wielokroć siłą ognia uzbrojonych w werndle legionistów. Niektóre oddziały pod silnym naporem zaczęły się cofać, około godziny piętnastej dociera do pozostających jeszcze na miejscu oddziałów rozkaz do odwrotu.

Rozkaz ten jednak dotarł nie do wszystkich. Te oddziały, które go nie otrzymały, dotrwały do późnej nocy, bagnetem otwierając sobie drogę odwrotu.

Głównej jednak sile cofających się oddziałów zaczęło grozić niebezpieczeństwo oskrzydlenia od lewego skrzydła, zamknięcie drogi odwrotu i ostateczna zagłada; groźne położenie ratuje w ostatniej chwili żywiołowe uderzenie wręcz zebranych naprędce szczątków cofających się baonów lewej i środkowej grupy, co osadziło w miejscu nacierającego przeciwnika, pozwalając wycofać się w porządku reszcie oddziałów.



W bitwie tej, jednej z najcięższych, jakie oddziały karpackie stoczyły, straty dochodziły w niektórych kompaniach powyżej 50% stanów. Mimo jednak tych strat w żołnierzu legionowym wzrosła ufność we własne siły i świadomość, że w najcięższych chwilach one go nigdy nie zawiodą.

Po stoczeniu krwawej bitwy pod Mołotkowem rozpoczął się okres drobniejszych, niemniej bardzo utrudzających działań. W rejonie Zielonej – Rafajłowej przez cały prawie miesiąc listopad toczyli legioniści nieustanne większe i mniejsze potyczki, przeprowadzając pracę bojową w ustawicznym ruchu na obszarze niezwykle trudnym, walcząc poszczególnymi batalionami i kompaniami, co tym bardziej wymagało rzutkości, inicjatywy, samodzielności i zdecydowania, zarówno od oficerów, jak i żołnierzy. [...]

[Na wspomnianej w tekście Przełęczy Pantyrskiej żołnierze 3 Pułku Piechoty postawili krzyż z napisem: „Młodzieży polska, patrz na ten krzyż, Legiony Polskie dźwignęły go wzwyż, przechodząc góry, doliny i wały, dla Ciebie, Polsko, i dla Twej chwały”. Wiersz ten wrył bagnietem Adam Szania na krzyżu wykonanym przez żołnierzy taboru 3 Pułku Piechoty. Zob. *„Rozkwitały pąki białych róż...”*. *Wiersze i pieśni z lat 1908–1918 o Polsce, o wojnie i o żołnierzach*, wybór, wstęp i oprac. Andrzej Romanowski, Warszawa, Czytelnik 1990, t. 1].



49. I Brygada wkracza do Królestwa.

[Wacław Lipiński, *Szlakiem Pierwszej Brygady, Łomianki, LTW, 2014*]

[...]

26 lutego. Kęty – Szczakowa.

Pobudka, choć spodziewaliśmy się jej wcześniej, odbyła się jak zwykle o siódmej. Wymarsz o drugiej. I znowu najrozmaitsze przypuszczenia. Jedni twierdzą, że dopiero z Bielska wyjazd pociągiem, inni, że wprost z Kęt. A dokąd – czy do Dukli, gdzie sroży się ofensywa rosyjska, czy na Bukowinę, czy pod Tarnów lub Warszawę – tego nikt nie wie. Podobno pod Warszawę, do Piotrkowa – tak część z uporem zatwardziałym głosi, zaś inni, że nieodwołalnie pod Tarnów, starym szlakiem na Łowczówek.

Przy komendzie pułku postój i krótka przemowa Narbutta [Aleksander Łuczyński] do nas. Mówił spokojnie, lecz ostro. „W bojach, które nas czekają, zachowujcie się jak polscy żołnierze! Miejcie pogardę śmierci, którą mają nasi wrogowie, Niemcy! Niechaj nikt z was nie myśli o śmierci, gdy idzie w bój. Powinien tylko każdy z was o obowiązku pamiętać, o tym, by cel osiągnąć”.

Zebrał się batalion i pomaszzerowaliśmy na Bielsk. Przed karczmą stanęliśmy, by uzupełnić amunicję, gdy wtem gruchnęła wieść, że jedziemy wprost do Piotrkowa na organizację i że to tylko nasz batalion rusza. Radość niesłychana! O piątej byliśmy w Bielsku. Marsz przez miasto wypadł doskonale. Muzyka rżnęła, wiara szła, aż ziemia się trzęsła.

Dopiero na peronie dworcowym rozeszła się wiadomość, lecz już na serio powtarzana, że jedziemy pod Jędrzejów, na linię. I rzeczywiście wiadomość okazała się prawdziwa. Komendant wpadł na chwilę, przeglądął wyprężone szeregi, zarządził wymarsz i zniknął.

27 lutego. Szczakowa – Jędrzejów – Opatkowice Drewniane nad Nidą.

Rano obudziłem się w Szczakowej. Jeszcze tylko kilka kilometrów do granicy. Zniknęły już śniegi Karpat, równiny szerokie, kochane równiny, do których tak żeśmy się stęsknili, roztaczają się naokół. Pociąg powoli przechodzi przez most granicznej rzeki, tu już kraj „carski” – Królestwo!

Na stacji w Olkuszcu nie ma już napisów moskiewskich, tam, gdzie sześć miesięcy temu był napis tylko rosyjski, obecnie już tylko polski. Coraz to więcej zbliżamy się do Jędrzejowa. Tam zburzona, spalona stacja, tabory ogromne i wielkie, trajkoczące, ciężarowe samochody naokół.



Po obiedzie wymarsz. Batalion w czwórkach rusza do miasta, wiara w pysznym nastroju. Nareszcie będziemy się bić w tym kochanym Królestwie, na szerokich równinach, u siebie. Muzyka rżnie, mieszkańcy witają nas ze zdziwieniem, chwilami z radością.

Do dziewiątej wieczorem trwał marsz. Przepyszna, jasna noc otoczyła nas swymi skrzydłami. Wiara idzie z cicha, gwarząc, zatapiając wzrok w szerokie, kochane dale. Stanęliśmy we wsi Opatkowice Drewniane, na kwaterę dostaliśmy izdebkę małą, ciemną, lecz jakże nam miłą...

Przyszedł rozkaz: „Nie wolno nic rekwirować! Z ludnością obchodzić się jak najgrzeczniej, jak najłagodniej!”.

28 lutego. Opatkowice Drewniane.

Powitał nas prawdziwy polski poranek, poranek pól szerokich, osmętniałych dziwnie w szare dni, a radosny, jasny, gdy złote dobre słońce blask roztoczy na ugory, niwy, pola szerokie.

Przywitał nas jeden z tych cudnych wiosennych poranków, kiedy to słońce srebrzy oszroniało ugory, łamiąc się w tysiącnych iskrach na drobnych kryształach szronu. Powietrze rzeźwe, chłodne, tak czyste, że mógłbyś świat objąć jednym spojrzeniem.

Wychodzą strzelcy jeden po drugim z chałup, zda się – wyciągają ramiona do tych pól szerokich, miedz siwych i cichych drzemiących grusz! Porzuciliśmy wreszcie te góry przeklęte, te góry tak pyszne w swym majestacie śnieżnych grani, błyszczących w słońcu szczytów, a tak niemiłosiernych, męczących, gdy z plecakiem ciężkim i „gwerem” w garści wspinałeś się wyżej i wyżej...

Pod słońcem sinieją w dali zamglone wzgórza pozycji moskiewskich, po szarych ugorach wiją się pręgami żółte okopy. Ciekawa pozycja! Od dziesięciu tygodni Moskale i Austriacy siedzą naprzeciwko siebie na obu stronach Nidy, nie czyniąc sobie żadnej szkody.

W powietrzu cicho. Nie dochodzi ni stłumiony z daleka, ni bliski, ostry, huk dział, nie słycać przejmującego chichotu granatów i gwizdu szrapneli...

Więć zaś prawdziwie polska! Po obu stronach drogi rozsiadły się bielone chaty, zasobne w lata pokoju, karmione urodzajną ziemią pińczowską!

1 marca. Opatkowice Drewniane.

Brygada nasza zajmuje stanowiska od wsi Chojny do Brylczyna, nad Nidą. Szeroko się tu rozsiadły błotniste łąki, tworząc o tej porze zaporę dla ataków niepowszednią. W niektórych miejscach okopy moskiewskie oddalone są od nas o cztery prawie kilometry, a przestrzeń między nimi to błota i łąki, wśród których



leniwie toczy się Nida. Nasz batalion będzie zajmował skrajne, prawe skrzydło w sąsiedztwie z Austriakami.

2 marca. Opatkowice Drewniane.

Cała linia naszych okopów obwiedziona jest tutaj drutem kolczastym, a walk prawdopodobnie większych nie będzie, gdyż Moskale i Austriacy znają obustronne swoje stanowiska, tak że mogą granatami poniszczyć najlepsze okopy i powybić moc ludzi. Unikają tedy strat starannie. Jutro o czwartej po południu wymarsz na pozycję. Mamy przemaszerować 10 kilometrów do wsi Pawłowice lub Brylczyn.

3 marca. Opatkowice Drewniane – Mierzwin – Grudzyny – Tur – Pawłowice.

Wczesna i szybka wiosna zawiodła, mści się natomiast zima i odrabia na gwałt to, czego nie odrobiła w styczniu i lutym. Mieliśmy w Lipnicy i Kętach dni pięknej wiosny, dni budzącej się natury. Cieszyliśmy się, że najzimniejszą porę przetrwaliśmy na odpoczynku, a teraz zima powróciła w całej swej srogości, siepie ostrym śniegiem po twarzy, mrozi wszystko zimnym swym podmuchem.

O 4.40 zbiórka, kompania stanęła w dwurzędzie. Wiara ciepło ubrana, w kominiarkach, szalikach, wesoło gwarzy. Na gwałt dzielą fasunek, rozdają chleb, kawę, kakao, cukier. Droga we wsi ciągną kompanie piechoty, jedna za drugą, z cichą piosnką... Witają się znajomi, wołania, pokrzyki wesołe, gwar... Wreszcie „Kolumną czwórkową w prawo – maszerować” – rozlega się głos Sława i ruszamy na Mierzwin, Grudzyny, Tur do Pawłowic.

Powoli zapada zmrok i obejmuje nas cicha, bezgwiezdna noc, tajemniczo milcząca. Z Dolnego Tura idziemy w kompletnej ciszy i milczeniu. Cicho, bez chrzęstu posuwa się czarny wąż. Jęknie od czasu do czasu nad głowami zabłąkana kula, wokół czernią się okopy, wiją druty kolczaste. Cicho tak, że słyszałyś bicie serc...

Gdzieś w oddali, wysoko z Pińczowa zamigotał reflektor... Zielone, błyskotliwe, mieniające się promienie, jak oczy bazyliuszka, macać ślizgać się poczęły po cichych, porzniętych polach... Zamigotał drugi... Gdzieś tam błysnął nagle snop światła. Zajmujemy wreszcie okopy. Ziemianki i chałupy tuż przed okopami.

Linia jest ubezpieczona w ten sposób, że żołnierze stoją na kwaterach w chałupach i ziemiankach, w nocy rozstawiane są placówki na połowie drogi między rzeką a okopami, przed okopami zaś stoją posterunki alarmowe.

[...]



50. Z legionowych bojów: Konary.

[Jan Pudelek, *W drużynie komendanta. Ze wspomnień żołnierza I Brygady i oficera Adiutantury Generalnej Naczelnika Państwa (1914–1921)*, oprac. naukowe Marek Cisek, Łomianki, LTW, 2009]

Na skutek przełamania frontu rosyjskiego na terenie galicyjskim, w nocy z 10 na 11 maja Moskale opuścili okopy i wycofali się w kierunku północno-wschodnim. Pierwszy marsz, zaledwie 7 km do Imielnicy, fatalnie nas męczy. Zastały się mięśnie i stawy.

Przez Sędziejowice, Kargów, Sielec i Wysoki Średnie dochodzimy 16 maja pod Klimontów. Nasz pułk, jako rezerwa, zajmuje pozycje pod Konarami. Następnego już jednak dnia baon nasz odmaszerowuje spod Konar, jako samodzielny, do Austriaków na lewe skrzydło. Przez Gorzków i Bardo Górne dochodzimy pod Łagów.

Na dominującym nad tym miasteczkiem wzgórzu przystępujemy do kopania okopów. Praca mozolna, bo mamy z kamieniem do czynienia, w upale, daje się nam porządnie we znaki. Toteż po ukończeniu pracy każdy z nas chętnie kładzie się w wykopanej przez siebie wnęce, rozpina nad nią dla osłony przed palącym słońcem płachtę namiotową i słodko zasypia. Budzi się w zgoła zmienionych warunkach – w wodzie. Nadeszła burza, lunął gwałtowny deszcz, zerwał płachtę namiotową rozciągniętą nad wnęką i polski wojak wraz z całym dobytkiem obudził się w kąpieli. A że lało już do wieczora, przeto nikt nie mógł wysuszyć ani munduru, ani też bielizny. Wieczorem i w nocy dygotaliśmy z zimna i dzwoniли zębami. Na rozgrzewkę kazano nam następnego dnia atakować Moskali, a że to było za mało, powtórzyliśmy to samo dzień później (21 maja) pod Wszachowem. Zajęliśmy po niedużych stratach wieś i okopaliśmy się przed nią. Niewyspani i diabło przemęczeni, kiepsko w nocy pełniliśmy na placówkach służbę. By nie zasnąć na wedecie, poszturkiwaliśmy się wzajemnie z Karolem Hodałą, a zapałkami podpieraliśmy opadające i zamykające się powieki. Byle tylko nie usnąć i doczekać się na zmianę po dwóch godzinach służby.

Dano nam za to odpocząć w tych okopach jeszcze dnia następnego i 23 maja do godziny drugiej po południu. Pierwszy dzień Zielonych Świąt. Porzucamy umajone zielenią okopy i maszerujemy pospiesznym marszem naprzód. Po drodze napotykamy w lesie cztery trupy austriackich kawalerzystów, pociętych szablami. Widać, będzie wojna!



Na skraju lasu odpoczywamy dłuższą chwilę, a pod wieczór rozpoczynamy w przepięknej tyralierze, jak na ćwiczeniach, atak. Posuwamy się, na razie bez przeszkód ze strony nieprzyjaciela, szybko naprzód i zbliżamy do okopów rosyjskich, ubezpieczonych zasiekami z drutów. Pada rozkaz [Franciszka Pększyca] Grudzińskiego: przygotować nożyce do przecinania drutów! Dobiegamy do nich. Z okopów rosyjskich nie pada ani jeden strzał. Są opuszczone. Na chwilę linia tyralierska ginie, żołnierze skupiają się przy przejściach w zasiekach, przebiegają je i znowu rozwijają się w linię tyralierską, przebiegają okopy, we wsi za nimi położonej chwilę odpoczywają, nabierają tchu w spracowane płuca i już gonią dalej. Pada pierwsza salwa artylerii rosyjskiej. Za nami. My naprzód, następna salwa znowu pada za nami. Tak umykamy naprzód przed strzałami baterii rosyjskiej, padającymi stale poza nami, na przestrzeni kilku kilometrów. Bateria rosyjska coraz bliżej. Może uda się nam ją wziąć!? W tym szalonym ataku, bez strat, dopadamy już pierwszych zabudowań wsi Żerniki, gdy w linię naszej czwartej kompanii pada deszcz żelaza i ołowiu. Nie było wybuchu ani w górze, ani na ziemi, a wokół nas podnoszą się z zeschniętej ziemi gęste obłoki kurzu. Padają ranni i zabici. Ciężko ranny w obydwie nogi serdeczny sitwes Ferdek Kondysar, ciężko ranny w pośladek Engler (umiera w szpitalu w Jędrzejowie), Grudziński ranny w bok siania się, opiera o studnię i woła: „Komendę kompanii obejmuje [Jakub] Darocha!”. Odzywają się głosy: „Darocha zabity!”. Z plutonem wysunięty już poza wieś, padł od kul w głowę i serce. Komendę kompanii zdaje Grudziński na [Edwarda] Dojana, a gdy donoszą, że i Dojan ranny, kompanię objął wreszcie jedyny oficer w kompanii cały, Wacek Aleksandrowicz.

Atak został wznowiony. Posuwamy się znowu szybko naprzód, już bez przeszkód ze strony przeciwnika. Ten moment zaskoczenia nieznanym nam jeszcze rodzajem pocisków – kartaczami, chwilowa z tego powodu dezorientacja i straty w oficerach zdecydowały, że bateria nieprzyjacielska w porę zwała. Zapadł zmierzch, akcja nasza zakończona. Straty kompanii naszej były poważne, inne kompanie baonu ucierpiały minimalnie.

Przez całą noc prowadziliśmy pracę nad okopami, z którymi na rano byliśmy wreszcie gotowi. Był dzień drugi Zielonych Świąt. Moskale zaatakowali sąsiadującą z nami na lewo naszą kompanię 2, która skutecznie atak ten powstrzymała celnym i gęstym ogniem karabinowym. Pod koniec walki żołnierze mieli zaledwie po 15 naboju w zapasie. Gdy Moskale znajdowali się w odległości około 400 kroków, zerwał się ze swym plutonem do kontrataku [Juliusz] Wujciu-Bagniewski i zmusił ich do wycofania się. Z zemsty za to Moskale zarzucili odcinek 2 kompanii pociskami ciężkiej artylerii. Padł zabity Bagniewski i podoficer Czyż, pochowani 25 maja wraz z Darochą we wspólnej mogile na cmentarzu w Baćkowicach.



51. „Jesteśmy strzelcami Piłsudskiego”

[Tadeusz Katelbach, *Spowiedź pokolenia, przejrzał, poprawił i posłowie opatrzył Sławomir Cenckiewicz, Gdańsk, Towarzystwo Przyjaciół Grodna i Wilna „Osobita”, 2001]*

Zmobilizowany pluton zebrał się w pustym, zupełnie niezamieszkałym mieszkaniu przy ulicy Hożej. Otwieraliśmy duże szafy i olbrzymie, rodzinne kanapy, wypełnione bronią. Z karabinami na ramieniu, z wypchanymi nabojami kieszeniami, w bojowym ordynku, ruszyliśmy po raz pierwszy otwarcie przez ulice rodzinnego miasta. Hożą do Marszałkowskiej, potem Alejami Jerozolimskimi, Bracką, Szpitalną, placem Wareckim, Hr. Berga (później Traugutta) do Krakowskiego Przedmieścia.

Pełno już było ludzi na ulicach. Straż Obywatelska pilnowała wszędzie porządku. Nigdzie jednak, na całej trasie naszego marszu nie widzieliśmy jeszcze Niemców. Maszerowaliśmy dumnie, myśląc, że mieszkańcy Warszawy, mimo naszych cywilnych strojów, przynajmniej domyślają się z nas żołnierzy polskich. Ale rychło przekonaliśmy się, że tak nie jest. Spoglądano na nas z sympatią, przypuszczając po prostu, że jesteśmy jakimś oddziałem... Straży Obywatelskiej. Tylko raz, na rogu Marszałkowskiej i Hożej, jakaś pani stojąca na chodniku krzyknęła na nasz widok: „Niech żyją strzelcy!”

Gdyśmy z ulicy Berga wchodzili na Krakowskie Przedmieście, nagle zastąpił nam drogę starszy wiekiem oficer niemiecki i zwrócił się opryskliwie do naszego komendanta Orskiego łamaną polszczyzną: „Kto jesteście i dokąd idziecie?”. Orski, niezmiernie dumnie, odpowiedział bez wahania: „Jesteśmy strzelcami Piłsudskiego. Idziemy na miejsce zbiórki do Pałacu Namiestnikowskiego, dokąd ma przybyć Piłsudski”. „Czy jesteście pewni, że Piłsudski przyjedzie?” – zapytał z odcieniem drwiącego powątpiewania. „Tak” – odpowiedział Orski. Niemiec machnął ręką i oddział nasz wmaszerował na Krakowskie Przedmieście, zalane już dosłownie tłumami oraz mniejszymi i większymi kolumnami wojsk niemieckich.

Minęliśmy „Bristol”, przed którym stało dużo wojskowych aut niemieckich i weszliśmy do Pałacu Namiestnikowskiego (późniejsze Prezydium Rady Ministrów), lokując się w jego lewym skrzydle. Nie wiem dokładnie, ilu nas wówczas było, wiem tylko, że przez cały dzień oczekiwałem niecierpliwie przybycia nowych oddziałów. Nie chciało mi się wierzyć, aby skromną cyfrą kilkuset ludzi miał się wyrażać stan mobilizacyjny organizacji wojskowej w Warszawie. Przez cały dzień dopytywaliśmy o przyjazd Piłsudskiego. W uszach mieliśmy pogardliwie kpiącą odpowiedź Niemca i pragnęliśmy skrycie, aby zadało jej kłam zjawienie się Piłsudskiego. Komendant



był już wówczas otoczony legendą poświęcenia i bohaterstwa. Widzieliśmy w nim nie tylko wodza I Brygady Legionów, lecz przywódcę całego, antyorientacyjnego ruchu niepodległościowego.

Nie wychodziliśmy na miasto, krzątając się po pokojach biurowych pałacu, które przekształcaliśmy po amatorsku na koszary. Mimo tej krzątanimy rosło w nas zniecierpliwienie, którego nie był w stanie uspokoić nawet widok naszych wodzów B.[ogusława] Miedzińskiego, K.[onrada] Libickiego i W.[acława] Jędrzejewicza, elegancko ubranych w najautentyczniejsze mundury legionowych podporuczników.

[...]

Gdybyż wreszcie w tym pierwszym dniu pozbycia się Moskali wmaszerował do Warszawy – w co wierzyliśmy święcie – choćby batalion, choćby kompania Legionów! Gdybyż przyjechał Piłsudski i rozbił w Warszawie swą kwaterę wojskową i polityczną! Reakcja Warszawy byłaby na pewno inna. Proklamacje zwycięzców do ludności były poprawnie zimne i pozbawione wszelkich, głębszych akcentów politycznych. Wiele refleksji cisnęło mi się do głowy, ale starałem się je odpędzić. Poza dwoma czy trzema najbliższymi kolegami nie dzieliłem się nimi z nikim.

[Spośród członków Polskiej Organizacji Wojskowej, których dotyczy powyższy tekst, część jako Batalion Warszawski POW została wcielona do I Brygady i wzięła udział w walkach na Wołyniu].



52. „Wśród mnóstwa bohaterskich czynów...”

[Józef Piłsudski, *Rozkaz z powodu bitwy pod Konarami [w:] idem, Pisma zbiorowe, t. 4, Warszawa, KAW, 1990 (reprint wydania z 1937–1938)*].

Konary, 5 czerwca 1915 [r.]

Żołnierze!

Kilkudniowe nasze boje pod Konarami były dla nas dotkliwe nie tylko ze względu na mnogość strat kolejnych, lecz i dlatego, że aniśmy walczyli złączeni, ramię przy ramieniu, ani też wyniki boju nie mogły cieszyć serca żołnierskiego.

Od samego początku bojów, będąc w rezerwie dywizyjnej, ulegliśmy częstemu losowi rezerw – zostaliśmy rozproszeni na szerokiej przestrzeni, idąc na podparcie poszczególnych części frontu.

Najcięższe i najprzykrzejsze zadanie spadło na bataliony III i V, które stanęły na najbardziej zagrożonym terenie. Z dumą podnieść muszę zachowanie się wypróbowanego III batalionu, który w ciężkim boju i chaosie przez czas pewien był jedyną zwartą grupą na szerokim froncie. III batalion w najcięższych moralnie warunkach zachował się po bohatersku, znacząc obficie każdy krok swą krwią własną i wroga. Rozkazem niniejszym wyrażam wszystkim oficerom i żołnierzom tego batalionu głęboką wdzięczność w imieniu całego oddziału za dowód, że w najcięższych warunkach żołnierz polski, jeśli nie może wygrać boju, to honoru swego bronić potrafi.

W szczęśliwszych znacznie warunkach walczył 2-gi pułk, nierozzerwany przez losy na części. I batalion tego pułku (dawniej IV), biorąc udział w ataku na szosę opatowską, pierwszy doszedł do nieprzyjacielskich okopów, biorąc karabiny maszynowe i licznego jeńca; II batalion dał dowód niespożytej siły moralnej przy nieudanym ataku na Przepiórów, stojąc przez kilkanaście godzin w nadzwyczajnie silnym i bliskim ogniu nieprzyjacielskim i cofnąwszy się jedynie po otrzymaniu na to rozkazu.

Pierwszy batalion I-go pułku przy ataku na Przepiórów wytrwał wraz z II batalionem aż do odwołania, następnie zaś w brawurowym ataku na Kamieniec zdobył kilkuset jeńców. Wreszcie VI batalion, dotąd oderwany od macierzystego pnia, służbą swoją zyskał powszechne pochwały swych przełożonych.

Boje, któreśmy zakończyli, by przejść na razie do względnego spokoju, zostawić muszą głęboki ślad w naszych umysłach. Były one dla nas doskonałą szkołą, właśnie dlatego, że wymagały one bardziej, niż inne, by nieledwie każdy z oficerów



i żołnierzy uczył się dostosowywać swe działania do działań otoczenia, a zarazem złożył dowód, że dla dobrego żołnierza nie ma położenia, z którego z honorem wyjść nie można.

Wśród mnóstwa bohaterskich czynów, dokonanych przez poszczególnych żołnierzy w czasie tych zmiennych co do szczęścia bojów, zaznaczyć chcę w swym rozkazie te, które na szczególne uwzględnienie zasługują.

1. Major Śmigły-Rydz, wzięwszy na siebie zadanie, najczęściej nieodpowiadające ani jego stopniowi, ani zdolnościom, nie tylko sam wytrwał na stanowisku, niezwykle przykrym pod względem moralnym, lecz złożył w bojach o lasek koziniecki nowe dowody niezwykłego męstwa i spokoju przy największym niebezpieczeństwie. Majorowi przede wszystkim przypisuję, że III batalion nie ugiął się przy spełnieniu zadania, przewyższającego znacznie siły moralne przeciętnego żołnierza.

2. Podporucznik Zygmunt Żarski-Radoński z III batalionu wykazał w boju o lasek koziniecki nadzwyczajną odwagę i sumienną pracę wojenną, stojąc ze swym plutonem, a potem, zastępując zranionego dowódcę kompanii, na zupełnie otwartej pozycji, w piekielnym i bliskim ogniu karabinów maszynowych, wobec widocznej przewagi nieprzyjaciela. Sam roznosił w ogniu amunicję wzdłuż linii ognia i rozdzielał ją pomiędzy żołnierzy. Wytrwał aż do otrzymania ciężkiej rany w głowę.

[Zygmunt Żarski-Radoński w wyniku odniesionej rany stracił oko. Poległ jako oficer Wojska Polskiego w wojnie z bolszewikami w 1920 r.].

3. Podporucznik [Bronisław] Dorobczyński z III batalionu prowadził swój pluton w największym ogniu w kontrataku na nieprzyjaciela, który już się silnie okopał. Zdobył okopy, biorąc 85 jeńców z oficerem.

4. Podporucznik [Józef] Tunguz-Zawiślak z I batalionu (były IV) 2-go pułku, w ataku na Swojków, prowadząc prawoskrzydłowy pluton, z własnej inicjatywy skierował go przeciwko flankującym atakującym batalion rosyjskim karabinom maszynowym i porywając za sobą swych podkomendnych, pierwszy wpadł do okopów rosyjskich, biorąc kilkudziesięciu jeńców i dwa karabiny maszynowe.

5. Podporucznik [Stanisław Witold] Kołodziejski z VI batalionu, będąc opadniętym w nocy na forpocztach przez całą kompanię grenadierów rosyjskich, poraniony wybuchem granatu (kilkanaście ran) wyprowadza placówkę dzielnym atakiem na bagnety do swego batalionu.

[Stanisław Witold Kołodziejski, ciężko ranny kilka dni później pod Żernikami, zmarł 8 sierpnia 1915 roku w szpitalu garnizonowym w Krakowie].

6. Sierżant Dańko Jerzy z I batalionu przy ataku na Przepiórów 23-go maja,



będąc z sekcją na samym przedzie, wziął szybkim atakiem na bagnety jednego oficera, komendanta służby wywiadowczej, i jednego żołnierza. 26-go maja, na czele 15 ludzi, podszedł skrycie pod Kamieńcem do samych okopów rosyjskich, gdzie – nie pokazując swej siły – wezwał nieprzyjaciela do poddania się. Gdy zaś będący w okopach oficer rosyjski, komendant kompanii, strzelił do niego, nakazał garstce swych podkomendnych dać salwę do okopów, co miało taki skutek, że się nieprzyjaciel poddał w liczbie 150 żołnierzy i 1 oficera.

7. Podoficerowie Bernhardt Bronisław i Wiśniowski Stanisław, obaj z III batalionu, wraz z wymienionym wyżej podporucznikiem Dorobczyńskim prowadzili nieustraszenie pluton we wściekłym ataku na okopy nieprzyjacielskie – obaj legli śmiercią walecznych prawie u celu – przed poddaniem się Rosjan.

8. Sierżant II batalionu 2-go pułku Brzozowski Zygmunt i szeregowcy Jagoszewski Marian i Urbanowicz Michał po przełamaniu przez Rosjan frontu w lesie płaczkowickim, posłani na patrol, we trójkę wzięli w Woli Konarskiej, jako jeńców, 58 żołnierzy rosyjskich, ścigających cofającą się linię 8-go pułku.

9. Albin Stanisław, szeregowiec V batalionu, dnia 21 maja, przy cofaniu się batalionu, został w okopie, nie zauważywszy odwrotu innych, pod krzyżowym ogniem okopał się z dwóch stron, a gdy nadszedł patrol nieprzyjacielski z 7 ludzi, ostrzeliwując ich z bliska, zmusił do złożenia broni i odprowadził jeńców pod ogniem nieprzyjacielskim do komendy pułku.

10. Lachor Jan, szeregowiec tegoż V batalionu, cofając się przy odwróceniu z Kozinka ostatni, osłaniał celnymi strzałami odwrót swoich, a będąc zupełnie odcięty, schował się w dole na ziemniaki, by po 24 godzinach, spędzonych o głodzie, przekraść się z powrotem do swoich.

Wreszcie z przyjemnością wyrazić muszę wdzięczność i uznanie dla sanitariuszów kompanijnych, którzy, nie zważając na silny ogień nieprzyjacielski, wszędzie pełnili swą ciężką służbę, płacąc na równi z innymi żołnierzami krwią własną dług ojczyźnie. Specjalnie dziękuję sanitariuszom VI batalionu Muszyńskiemu Kazimierzowi, Bielohlawkowi Arturowi i Siemiginiewskiemu Antoniemu za nadzwyczajny akt odwagi, gdy spod okopów nieprzyjacielskich wynieśli, niestety, już tylko martwe ciało, powszechnie szanowanego i lubianego kapitana Franciszka Grudzińskiego.

Rozkaz niniejszy przeczytać we wszystkich kompaniach, szwadronach, bateriach, oddziałach karabinów maszynowych i wojskowych instytucjach podwładnego mi oddziału.

Józef Piłsudski



53. „[...] od strony Kostiuchnówki i Kołodji piekielny ogień karabinowy”

[Michał Römer, *Dzienniki*, t. 2, 1914–1915, red. serii Agnieszka Knyt, Warszawa, Ośrodek KARTA, 2017]

[...]

2 października, rok 1915, sobota

Dziś – jeden z tragicznych, strasznych dni wojny. [...] Wyszliśmy więc wczoraj pod wieczór z Kostiuchnówki na północ. Z nami wyszły sztab Brygady, sporo kawalerii i cały nasz 1 pułk. Naszą pozycję w Kostiuchnówce, zwróconą na Styr, zdaliśmy właściwie 6 pułkowi, debiutującemu na wojnie. Pułk ten został już pozawczoraj ciężko doświadczony pod Podczerewiczami, gdzie mu Moskale klęskę zadali i zmusili do odwrotu. Wczoraj miał on atakować Kołodję, podczas gdy 3 pułk naszej Brygady miał gdzieś wykonać atak na skrzydle. Przez cały dzień wczorajszy artyleria nasza i austriacka ostrzeliwała pozycje rosyjskie, właściwie wsie nad Styrem. Przez parę godzin artyleria austriacka prażyła, stojąc w ukryciu zarośli tuż przy naszych okopach frontowych, podczas gdy obserwator kierował ogniem bezpośrednio z naszych okopów. W okopach ustawiony też był nasz karabin maszynowy – „jedynak”, jak go u nas nazywają, bo drugi został stracony przed paru tygodniami w Czersku.

Gdyśmy maszerowali wczoraj wieczorem na północ, nadeszły w drodze telefonicznej jakieś meldunki z pewnych odcinków rozpoczętego szturm o niepowodzeniu naszego oręża, wobec czego wstrzymano nas w drodze i cofnięto w jakiś niewielki lasek, gdzie kompania nasza stanęła na nocleg wraz z kuchnią i taborami. Dopiero żołnierze zaczęli się krzątać nad gotowaniem herbaty, paleniem ognisk i niektórymi rozbijaniem namiotów, gdy usłyszeliśmy od strony Kostiuchnówki i Kołodji piekielny ogień karabinowy, w którym głos strzałów naszych mieszał się z suchym trzaskiem strzałów rosyjskich, nasze bowiem i rosyjskie strzały mają swój odrębny, charakterystyczny głos, łatwy do odróżnienia. Ogień ten dochodził nas z odległości kilku kilometrów i był tak wściekły, jak nigdy dotąd nie słyszałem. Strzelanina, której świadkiem kilkakrotnie już byłem przy zdobywaniu poszczególnych wsi od Stochodu do Styru, była wobec tego ognia zabawką dzieciinną, jak ołowiane żołnierzyki wobec żywych żołnierzy staczających bój rzeczywisty. To gdzieś szóstacy nasi oraz 3 pułk Brygady tak się prali z Moskalami. Do strzałów karabinów ręcznych wmieszały się dźwięki strzałów karabinów maszynowych,



sprawiających łoskot łańcucha urywanych pukań, jak rzucanie wprawną ręką setek poszczególnych ziarenek grochu o ścianę. Z daleka trzask tych dźwięków kłokotał tak jak bulgocząca woda gotująca się w garnku. Ognie u nas pogaszono i wszyscyśmy się w ciszy pokładli. Trzask piekielnego ognia po pewnym czasie ustał.

Noc była zimna, prawie że mroźna, jak stale obecnie w tej porze na Polesiu: we dnie na słońcu upał suchy, w nocy – prawie że mroźno, z grubą rosą sprawiającą przenikliwą wilgoć. Prócz zimna dokuczał w nocy ciągły ruch przemarszu poszczególnych oddziałów 3 pułku, który tędy ciągnął po walce nocnej. Koło północy znów się powtórzył ten sam dźwięk walki staczanej gdzieś w pobliżu; znowu ciszę nocy zakłóciło bulgotanie ognia karabinowego, trzaskające dziko wśród spokojnych piasków, błot i lasów Polesia. Potem znów szły tędy oddziały 3 pułku, stawały koło nas, zwoływały się, obliczały swych ludzi, to znów zbierały się gromadki odbitych maruderów itd.

Wczesnym rankiem obudzono nas. Wracać mieliśmy znów do Kostiuchnowki. Atak nocny Szostaków i 3 pułku był przez Moskali odparty krwawo. Szliśmy na wzmocnienie naszych dawnych stanowisk, aby Moskałom przeszkodzić w wykorzystaniu ich zwycięstwa. Nasz pluton był wyznaczony do zabezpieczenia bocznego lewego skrzydła od strony Moskali. Podczas gdy tabor osłaniany przez inne plutony szedł drogą, myśmy brnęli przez błota lasami. Pod Kostiuchnowką stanęliśmy na skraju lasu. Część dnia pluton nasz spędził w rezerwie, spokojnie, rozkosznie prawie, gwarząc, żartując i popijając winko, które nam wyfasowano. Potem wprowadzono nas w okopy na lewym skrzydle pod lasem na brzegu drogi. Tam przesiedzieliśmy parę godzin. O szarej godzinie wyprowadzono nas stamtąd na lewo i chwilowo dano nam spocząć na łące. [...]

[Michał Römer (Mykolas Römeris) (1880–1945), wybitny prawnik, mieszkaniec Wilna, urodzony w spolonizowanej rodzinie niemieckiej, w czasie wojny służył w Legionach Polskich, po 1918 roku wybrał narodowość litewską, był sędzią Sądu Najwyższego Litwy, a w latach 1927–1939 – rektorem Uniwersytetu Litewskiego w Kownie, przekształconego następnie w Uniwersytet Witolda Wielkiego].



54. Z bojów Legionów na Wołyniu.

[Władysław Steinhaus, *Pamiętnik legionisty Władysława Steinhausa*, Kraków 1916; nowe wydanie: Marek Gałęzowski, *Władysław Steinhaus i jego „Pamiętnik legionisty”* [w:] *Z dziejów walk o niepodległość*, t. 3, red. Marek Gałęzowski, Sławomir Kalbarczyk, Jerzy Kirszak, Daniel Koreś, Warszawa, IPN, 2015]

[...]

Kostiuchnowka, 2 października, 1915.

To wczoraj dopiero, gdy notowałem, że jadę na atak na Kołodję. Ile to upłynęło czasu odtąd, ile przeżyłem i co widziałem – istotnie trudno się zorientować! Znużony jestem śmiertelnie, jednak chcę koniecznie „na świeżo” zanotować przeżycie.

Dojechaliśmy do Kostiuchnowki wczoraj koło godziny czwartej popołudniu i udaliśmy się natychmiast na pozycje linii rezerw, oddalonej o mniej więcej kilometr od wsi. Konie zostawiliśmy o jakie dwieście metrów na prawo w lesie. Atak na wieś Kołodję rozpoczął baon III-ci pod komendą porucznika Müllera, mając w rezerwie kompanię 4-tą i 8-mą pod komendą porucznika Jakubowskiego. Prócz kompanii tych, dysponował major czterema karabinami maszynowymi, z których dwa pozostawił w rezerwie, dwa zaś pchnął do linii – jeden obok drogi do Kołodji, drugi paręset metrów na prawo. Do godziny pół do ósmej postępował atak bez przeszkody, i w tym czasie postanowił major posunąć się bardziej ku frontowi, a wyszedłszy około sto pięćdziesiąt kroków naprzód ze swego okopu, posłał mnie po konie.

W chwili, gdy do nich doszedłem, zawrzała znowu bitwa. Kule jak opętane poczęły gwizdać, a wkrótce odezwała się grubym głosem artyleria rosyjska. O ruszeniu koni z miejsca mowy nie było, pozostawiłem je więc na opiece Leona Rylskiego, a sam pobiegłem szukać pozostawionego na drodze majora. Nie znalazłem go jednak, posunąłem się więc dalej ku frontowi, majora wciąż nie spotykając. Na wciąż szrapnelami oświetlanej drodze, doszedłem do linii rezerw i przekonałem się, że i tam majora nie było. Postanowiłem wówczas wrócić do starego okopu, w nadziei, że tam go nareszcie dopadnę. W tej drodze powrotnej zaobserwowałem, że strzały moskiewskie przenoszą znacznie, tak że najgorsze miejsce znajdowało się o jakie 200 metrów za linią rezerw. Również artyleria rosyjska strzelała źle, waląc bez przerwy w bagna po prawej stronie drogi. W starym okopie istotnie znalazłem majora, który mnie natychmiast posłał na powrót z rozkazem do linii. Następnie kilka jeszcze razy udawałem się z meldunkami do linii. Koło godziny 9-tej nadszedł wreszcie od pp. Rückemana meldunek o zajęciu wsi Kołodji. Chodziło teraz o podanie pp.



Rückemanowi jak najszybciej rozkazu cofnięcia się po poprzednim spaleniu wsi. Rozkaz był pilny – wsiadłem od razu na konia z zamiarem dojechania do linii. W połowie drogi walka zawrzała na nowo. Cofnąć się nie było czasu – zresztą rozkaz był pilny i bardzo ważny, jechałem więc konno dalej. Lecz kule zbyt ostro poczęły gwizdać koło mnie, tak że koń chwilami począł unosić. Więc zobaczywszy leżących za drzewem sanitariuszy, oddałem im konia, a dowiedziawszy się od nich, że linia ciągnie się kilkaset metrów z przodu, pobiegłem ku niej. Biegłem dłuższą chwilę, kule coraz przeraźliwiej i gęściej gwizdały koło mnie, aż zorientowałem się, że jakoś za długo biegnę. Stałem więc wśród gwizdających kul i począłem szukać kierunku, w którym grał karabin maszynowy, pewny bowiem byłem, że tylko my takowy posiadamy. Wreszcie uzyskałem kierunek i w tę stronę począłem zdążać. Równocześnie zauważyłem, że walka słabnie. Po dłuższym czasie spostrzegłem jakiś okop i niezaczepiony przez nikogo wszedłem do niego z zapytaniem: Hej chłopcy! z której wy kompanii? – Odpowiedź brzmiała – w języku rosyjskim! Więcej instynktem niż myślą kierując się, szalonym susem wyskoczyłem, a za mną przestraszony głos wrzasnął „Sukinsyn Austryjec strelaj!”. Blask światła z luf oślepił mnie, prąd powietrza owiał mi twarz, proch ją osmalił. A bestie rznąły dalej salwę za salwą! Przebiegłszy tak szybko, jak chyba na żadnych wyścigach paręset metrów padłem na ziemię, czekając co dalej. Moskale przestali strzelać, wysłali natomiast dwóch żołnierzy, jak z rozmowy wywnioskowałem, po mego trupa. Pomylili się złodzieje! Jeden z nich potknął się o mnie – palnąłem go ręką tak, że zarył nosem w błoto, równocześnie zdumionemu drugiemu wypaliłem w łeb. Rozciągnął ręce i padł. W tej chwili znowu odezwały się rosyjskie karabiny, nie czyniąc mi jednak żadnej szkody. Uciekłem więc i tym razem, jednak rozpoczęła się teraz tej wyprawy część trudniejsza i przykrzejsza, bo dłuższa i przez straszne błota. Obojętny na wszystko brodziłem byle dalej. Pot zimny występował mi na czoło, gdy po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że w tym miejscu już raz byłem. Chlupanie wody za mną, czyniło wrażenie jak gdyby ktoś za mną szedł, a czułem jak mnie siły opuszczają poczynają. Zebrałem tedy resztki energii, a wyszukawszy suchszą kępkę, począłem zastanawiać się nad swoim położeniem. I przyszła mi wówczas myśl zbawcza. Leżąc mianowicie wraz z majorem w okopie, obserwowaliśmy wschodzący księżyc, biorąc go przez chwilę za odbłask pożaru. Przypomniałem sobie kierunek i tego kierunku postanowiłem bezwzględnie się trzymać. I znów długi czas brodziłem, aż wyszedłem na jakąś księżycem jasno oświetloną polanę. Serce mi biło jak młotem. W oddali oszcze kiwały psy, zresztą panowała cisza wokoło. Ważyłem w myśli: stać czy przejść przez tę polanę? Wreszcie z pewną determinacją, postanowiłem dojść



do znajdującej się na jej środku kępki drzew. Doszedłszy tam, w pewnej odległości usłyszałem jakieś głosy, jak gdyby żołnierskie komendy i szmery. Ale w jakim języku mówią ci ludzie – przyjaciele czy nieprzyjaciele? Kto takich chwil nie przeżył, nie zrozumie nigdy ich znaczenia. – Leżałem za tymi drzewami – jak długo nie wiem – zdawało mi się, że wieczność chyba. Aż nagle znany mi tak dobrze głos majora usłyszałem wyraźnie! Zerwałem się jak szalony i nie zważając na wołania, pędem dobiegłem do majora i padłem obok niego bez tchu.

Szczęście nie opuściło mnie ani na chwilę. Nie tylko, że nie trafiła mnie kulka moskiewska, ale zapalenia płuc, którego byłem pewny, nie dostałem, a w dodatku całkiem niespodzianie mianowany zostałem aspirantem oficerskim i równocześnie mam być podany do odznaczenia. Więcej szczęścia niż rozumu.

[...]

[Autor relacji, Władysław Steinhaus, urodzony w 1896 roku, był Polakiem pochodzenia żydowskiego, podoficerem 6 Pułku Piechoty III Brygady Legionów. Trzy tygodnie po opisanym w cytowanej relacji zdarzeniu został śmiertelnie ranny w bitwie pod Kukłami. Zmarł 31 października 1915 roku. Pośmiertnie odznaczono go *Virtuti Militari* V kl. i Krzyżem Niepodległości. W Legionach służył również jego stryjeczny brat, wybitny matematyk, Hugo Steinhaus].



55. Reduta Piłsudskiego.

[*Piąty Pułk Piechoty Legionów „Zuchowatych”*, oprac. Gustaw Łowczowski, Londyn, Koło Piątego Pułku Piechoty Legionów, 1968]

V batalion miał w dniu 4 lipca na reducie z lewej strony 3 kompanię, z prawej 3 kompanię. 3 komp. wystawiała placówkę, którą dowodził sierż. [Stefan] Leukos-Kowalski. Gdy ogień artylerii rosyjskiej pokrył całą redutę, na stanowiskach pozostała placówka i posterunki obserwacyjne. Resztę obsady dowódca batalionu kazał umieścić w schronie. Mimo potęgi ognia, mimo że „słupy dymu i kurzu otaczały całą redutę”, pełniący służbę trwali dzielnie na stanowiskach. Przykład wytrwałości dawali ppor. [Marian] Chilewski, ppor. [Stanisław] Lubicz-Kalabiński, sierż. Leukos-Kowalski i sierż. Konar-Artyniak. „Granaty zrównały z ziemią wszystkie ziemianki, psuły okopy i trawersy, zawały je drzewem i zasypywały piaskiem” – podaje sprawozdanie dowódcy baonu. O godzinie 10 najgęstszy ogień padał na placówkę; z jej załogi zostało już tylko pięciu i to kontuzjowanych. Ppor. Chilewski wprowadził więc na nią drugą połowę swego plutonu. Przybyli musieli się okopać, bo ze starych umocnień nic nie zostało. Placówkę zluzował z kolei pluton [Alfreda] Greffnera z odwołu 2 kompanii. Pojawienie się tego plutonu spowodowało tak potężną nawałę ognia, że pluton musiał wycofać się na czoło reduty. Około godziny 12 ogień artylerii przeniesiony został na tyły. Masy piechoty rosyjskiej poczęły gotować się do natarcia. Natychmiast cała załoga obsadziła okopy i otworzyła ogień wspólnie z karabinami maszynowymi i trzema moździerzami. Wszystkie próby natarcia, a nawet zajęcia opuszczonej placówki załamały się w ogniu obrońców.

Około godziny 15 przybył do batalionu brygadier Piłsudski i kazał się prowadzić na redutę. Choć właśnie nastąpiła przerwa w ogniu rosyjskiej artylerii, oficerowie zaprotestowali, wiedząc, że każdej chwili może przyjść nowa nawała, a wierząc, że Komendant nie ma prawa narażać swego życia potrzebnego Polsce. Perswazje nie miały skutku – poszedł.

Dla tych żołnierzy, co na reducie trwali, przybycie do nich dowódcy brygady, świadomość, że widzi co przeszli i w jakich walczą warunkach, było powodem radości i budziło głęboką wdzięczność. Ledwie brygadier opuścił okopy, ogień artylerii rozpoczął się na nowo i chmury kurzu zasłoniły redutę na nowo.

Od godziny 16 począwszy, Rosjanie coraz częściej przerywali ogień i ruszali do natarcia. Obsada nie opuszczała więc okopów i odpierała każdą próbę posunięcia się nieprzyjaciela. Pracowały ckm-y i moździerze, a na najbliższe cele używano



granatów ręcznych i karabinowych. Dużą pomocą w walce był ogień naszej artylerii, odkąd jej obserwator znalazł się na odcinku. Ogień artylerii rosyjskiej koncentrował się teraz na czole reduty, bronionym przez ppor. [Mieczysława] Rawicz-Mysłowskiego i ppor. Greffnera. [...] Na odcinku 1/5 ppLeg. w czasie ognia artyleryjskiego nieprzyjaciel zaczął podsuwać się pod stanowiska. O godzinie 11 przed placówkę nr 3 zjawiał się patrol rosyjski w sile około 20 ludzi. Ostrzelany, cofnął się w głąb parku. O godzinie 12.30 natarł na tę placówkę oddział 50 ludzi, i ten jednak nie wytrzymał jej ognia, więc się wycofał.

Około godziny 16 zauważono z Reduty Piłsudskiego masy piechoty idącej w 16 tyralierach na 5 pp. Ostrzelane ogniem karabinów i ckm V i VI batalionów szeregi te załamały się i runęły w nieładzie na postępującą za nimi orkiestrę, pozostawiając masy strat na łące.

Ogień artylerii skierowany na 1/5 ppLeg. stopniowo przybierał na sile. Leżał on teraz nie tylko na pozycji, lecz i na placówkach, uniemożliwiając obserwację przedpola. O godzinie 18 wycofała się zdziesiątkowana placówka nr 3, meldując zbliżanie się nieprzyjaciela. W tym czasie ogień artylerii przeniósł się na tyły pozycji i na leżącą za nią dolinę. Zaalarmowane kompanie wyszły ze schronów i obsadziły swe stanowiska w mocno zniszczonych okopach. Wszyscy byli już na miejscu, gdy o godzinie 18.20 piechota rosyjska uderzyła na lewe skrzydło, potem na centrum batalionu. Mimo dwunastoipółgodzinnego przygotowania artyleryjskiego, nie było przerw w drutach; patrole rosyjskie chcące je przecinać zostały wybite. Na znak dany rakietami, polska artyleria uruchomiła przygotowane ognie. Gdy przeniosła ogień na inny odcinek, strzelały działa przeciwszturmowe, niedługo, bo miały tylko po 24 pociski na działo. Szturmująca piechota została na całej linii zatrzymana w drutach i rażona ogniem maszynowym cofała się do pierwszych zasłon. Grały ckm-y ze swych schronów. Południowy schron dawał krótkie pole ostrzału, ale płaskie jak stół. Seria szła za serią, taśma za taśmą. Łuski z wystrzelonej amunicji zapełniały schron. Obsługa już na nich leżała. Gdy nie było nikogo przed linią drutów, serie szły na mostek na moczarze, widoczny za ruinami wsi.

Szturm, powtarzany kilkakrotnie przez kolejno napływające fale natarcia, załamywał się każdorazowo. W rowie dobiegowym, łączącym placówkę nr 3 z pozycją, doszło do walki wręcz. Gdy odpłynęła ostatnia fala szturmujących, użyto móżdżerzy okopowych. Działanie ich pocisków, zawierających 7 kg materiału wybuchowego, było najskuteczniejsze. Piechota rosyjska wycofała się spod drutów do rejonu dworu Kostiuchnowki, poniosłszy ogromne straty. [...]



56. Największa bitwa Legionów Polskich.

[Jan Kruk-Śmigła, *Za wierną służbę ojczyźnie. Dziennik legionisty I Brygady*, oprac. z rękopisu, wstęp i przypisy Jerzy Kirszak, Krosno, Ruthenus, 2004]

4 VII 1916 [r.]

Jeszcze przed 4-tą rano zbudziła mnie ciężka artyleria, bijąca coraz gwałtowniej na redutę Piłsudskiego i 5 pułk. [...] Artyleria rosyjska bije coraz silniej, wreszcie koło wpół do 9-tej przybiera formę huraganową. Zaczynają już i na nas bić, lecz nieskutecznie, gdyż nie mają dobrego celu. Obserwator rosyjski siedział na balonie, zabranym Austriakom pod Łuckiem. Jeszcze przed 10-tą zniszczyła artyleria naszą placówkę na reducie. Z 15-tu ludzi jeden tylko zabity, a 8 rannych. Zaraz też mochy zajęły linię placówek atakiem, w którym mieli olbrzymie straty. Huragan artylerii wcale się nie zmniejszał i jakby na przekór jeszcze potężniał. O godz. 12-tej kompania 5 baonu kontratakami odebrała placówki. Pluton jednak, który ją miał jeszcze przed wieczorem, został zupełnie wybity oprócz jednego tylko kaprała. Mochy jednak placówki tej nie zabrali. Przed wieczorem ruszyli mochy do ataku na Polską Górę (Polenberg nazwana przez Prusaków), którą zajmował 5 pułk Berbeckiego i honwedzi węgierscy. Berbecki przypuścił 6 linii rosyjskich pod same druty, a urządziwszy kontratak granatami ręcznymi, wszystkich wybił. Honwedzi jednak ataku nie wytrzymali i cofnęli się bez uwiadomienia Berbeckiego, który dopiero później to spostrzegł, ale już za późno, gdyż Moskale starali się go otoczyć. Musi więc wycofywać się na rezerwowe pozycje, które Moskale, postępując za honwedami jeszcze wcześniej obsadzili, musiał wycofać się aż do Wołczka. Tutaj uszykowawszy swój pułk ruszył do kontrataku, wyparł Moskale z rezerwowych pozycji i mało co brakowało, a byłby odbił Polską Górę. Niestety! Ludzie byli wyczerpani, a rezerw nie było zupełnie. Mimo to okopał się oczekując na posiłki, jak pokrzywdzony sprawiedliwości z nieba. Skutkiem tego musiał się wycofać i 7 pułk, gdyż mochy strasznie im bili z flanki Wycofał się w spokoju i bez strat około 10-tej godz. w nocy.

[...] Mochy ciągle się podsuwali, aleśmy ich odpędzali strzałami. Strat ponieśli dużo. W naszej komp[anii] był tylko 1 ranny i 1 zabity i to od austriackiego szrapnela. Obaj z mego plutonu [Antoni] Myjak, Amerykanin, zabity zaś kapral Moneta Dawid z Będzina. Gdyby mnie por. nie wezwał do siebie, podzieliłbym z nimi los, gdyż razem leżeliśmy. Ja mam szczęście, ale i on ładną śmierć, nie ruszył się nawet i skonał. Szkoda go, gdyż był to bardzo dzielny chłopak. Tak przeszła noc,



podczas której żaden z nas nie zmrużył nawet oka. Dwa razy mochy nas oskrzydłali i dwa razy dostali w skórę. Mieliśmy nawet dwa rozkazy wycofania się później już cofnięte.

5 VII 1916 [r.]

Nad ranem mochy próbowali w jednym miejscu przeciąć druty, zostali jednak natychmiast spędzeni celnymi strzałami. Później ciągle usiłowali nas obejść z prawego skrzydła, lecz srodze za to odpowiadali. Na odległość 50 [metrów – J.K.] każdy strzał był śmiertelny. W nocy wzięliśmy 1 jeńca, natłukli zaś niemało. Przed ubezpieczeniem prawym stracili mochy dużo ludzi przy ustawieniu karabinu maszynowego. Przed 12-tą w południe chcieli nas mochy podejść okopami. Stracili jednak 3 ludzi i schowali się za trawers. [...] [Wieczorem] Moskale przypuścili szturm generalny na pułk [Henryka] Minkiewicza, baon z 6-tego, dwie komp[anie] z naszego pułku i na pułk 5-ty. Oddziały z naszej Brygady broniły się dzielnie i strasznie przerzedziły Moskali. Kapitan Dąb-Biernacki chciał ruszyć do kontrataku, lecz tuż za sobą zobaczył kupy Moskali usiłujących go otoczyć. Musiał się więc cofać. Stało się to skutkiem tego, że baon z 6 pułku nie wytrzymał na sobie ciężkiej artylerii i jeszcze przed atakiem się cofnął, a pułk Minkiewicza nie wytrzymał naporu mochów i cofnął się. Zrobiła się więc luka, którą mochy wdarli się na tyły 1 Bryg(ady). Musiała się więc nasza Bryg[ada] cofnąć na drugie rezerwowe okopy. Cofanie odbyło się w zupełnym porządku. My wycofaliśmy się bez strat. Ale półbaon kap[itana] Dęba [Biernackiego] i 7 pułk poniósł ciężkie straty. [...]

6 VII

[...] Przyszedł rozkaz wycofywania się kompaniami od lewego, gdyż na prawo mieli mochy przerwać linię. I tak też było w rzeczywistości. Tymczasem, kiedyśmy się wycofali jakieś 600 kroków, przyszedł do nas oberleut[nant] honwedów węgierskich z fałszywym meldunkiem, że na prawo od nas ataki odparte i nasi posuwają się naprzód. Wobec tego pułkownik wysłał najpierw naszą komp[anię] dla zajęcia swych pozycji kontratakiem. Za nami zaś miała iść reszta pułku. Za pięć minut jednak pułkownik otrzymuje meldunek, że na lewo od 4-tego pułku Moskale przerwali linię i żeby się zaraz wycofywać, gdyż jesteśmy bardzo zagrożeni. Pułkownik Śmigły wysłał zaraz patrol za nami, żeby nas cofnął, tymczasem patrol ten natknął [się] na Moskali i ledwie że wyrwał sam. Mochy biegli za nim, krzycząc „hurra”. My zaś wysłani zajęliśmy szybko swe okopy i wystawiliśmy ubezpieczenia. Ubezpieczając mój pluton, zdjąłem plecak i zostawiłem w okopie. Kiedy wysłałem



patrol łączący w lewo, usłyszałem to „hurra” powyższe. Por. Kruk szybko się zorientował w sytuacji i rozpoczął zaraz odwrót. [...] Odwrót osłaniała kawaleria i 1 pułk, porządek marszu zaś był: 7 pułk, Prusacy, 5 pułk, 1-wszy pułk i kawaleria. Kiedy przechodziliśmy drogę łączącą stację Maniewicze ze wsią, Prusacy zgubili łączność i poszli w stronę stacji. Za nimi poszedł 5 p[ułk]. Kiedy jednak poznali pomyłkę i zaczęli się cofać, oddział kozaków już ich odciął od 1-go pułku. Oni o tym nie wiedzieli i maszerowali bez ubezpieczenia jak zwykle. Tymczasem kozacy zrobili w lesie zasadzkę. Na czele jechali Berbecki podpułk[ownik] i Wyrwa major z ordynansami. Kiedy wjeżdżali w las, Berbecki zauważył jeźdźca i zapytał: „kto tam?”. W odpowiedzi padło kilkanaście strzałów, z których jedna kula zabiła Wyrwę, druga zaś zraniła ciężko Berbeckiego. Gdy to wiara zobaczyła, rzuciła się za kozakami, odbiła Berbeckiego i unosząc go cofała się. [...]



57. O majorze „Wyrwie” – Tadeuszu Furgalskim – jednym z najwybitniejszych oficerów legionowych.

[Józef Relidzyński, *Ostatni raport majora Wyrwy* [w:] *W blasku legendy. Kronika poetycka życia Józefa Piłsudskiego*, oprac. Krzysztof Jeżewski, Paryż, Editions Spotkania, 1988]

A gdy stanął przed Bożym on tronem,
Major Wyrwa, Tadeusz Furgalski,
z łonem krwawym, obliczem znużonym,
wyprężywszy się na bacność, rzecze:

– Major Wyrwa pierwszej brygady
Piłsudskiego melduje się posłusznie!
Za innymi przyszedłem tu w ślady –
za Herwinem, Pększycem, za wiarą.

O nie śmierć, gdy się w bitwie rozhula,
mnie zgarnęła, com nieraz z nią igrał,
lecz z zasadzki moskiewska mnie kula
w pierś dosięgła, gdym w przedniej szedł straży.

Kiedy szedłem samotny na czele,
w przedniej straży – ja polski oficer,
pierwszy żołnierz, co dźwiga niewiele
zaszczytów, lecz ofiary pierwszeństwo.

Co nie idzie po kresty, medale,
lecz po jeden krzyż biały, brzożowy...
Nie na los mój okrutny się żalę,
jeno raport żołnierski Ci składam.

Jeno raport mój składam Ci, Boże.
co nas legło po Górą Polaków,
jeno piersi Ci moje otworzę,
wyjmę serce płonące i krwawe.



Abyś wiedział i Ty Jezu Chryste,
i Ty, Polskiej Korony Królowo,
jakie krwawe, ofiarne i czyste
bywa serce polskiego żołnierza.

Byście wszyscy Wy tutaj wiedzieli,
jaką nasza dla Polski ofiara,
o duchowie, niebiescy anieli –
czym jest Polska, czym Polska być może.

W serca mego ofiarnej dziś urnie
krew się polska i łzy wszystkie zbiegły,
lśnią perłowo i lśnią się piorunnie –
niechaj za mną przemówią te świadki.

Niechaj za mnie krew mówi ze łzami,
jako wino wmieszane do octu
noc Golgocie Twej, Chryste... Wy sami
sąd sprawujcie. Mój raport skończony...

Tak to w niebie rzekł Wyrwa-Furgalski
i tak raport brzmiał jego ostatni,
kiedy stanął przed sąd trybunalski,
Bogu w męce oddawał komendę.

A gdy skończył, to w wianek mitrowy
z serca polska wykwitła mu krzywda,
zaś surowe oblicze Jehowy
złagodniało... grzmi gromkie hosanna!

I wyciągnął nad wiankiem Bóg dłonie,
Błogosławiąc, aż nagle rozkwita
w sad wiosenny i świeży i płonie
pianą kwiecica różową i białą.



I rozstawił aniołów swych moce,
aby w kwietnym czuwali ogrodzie,
aby kwiecie przyniosło owoce,
aby krzywdzie nie stała się krzywda.

Wieść radosna z gwiazd ślizga się nocą
hen po rosach, że w polskim ogrodzie
owocami już drzewa się złącą
z krwi posiewu i kwiecica ofiary...



58. „[...] naszymi rękami dźwignęliśmy zapomniany dawno sztandar wojska polskiego”.

[Józef Piłsudski, *Rozkaz na drugą rocznicę wojny* [w:] *idem, Pisma zbiorowe*, t. 4, Warszawa, KAW, 1990 (reprint wydania z 1937–1938)]

Kolonia Dubniaki, 6 sierpnia 1916 [r.]

Żołnierze!

Dwa lata minęły od pamiętnej naszemu sercu daty – 6 sierpnia 1914 r., gdy na ziemi polskiej naszymi rękami dźwignęliśmy zapomniany dawno sztandar wojska polskiego, w obronie ojczyzny stającego do boju. Gdym na czele waszym szedł w pole, zdawałem sobie jasno sprawę z ogromnych przeszkód, które nam na drodze stają. Gdym wyprowadzał was z murów nieufnego w wasze siły Krakowa, gdym wchodził z wami do miast i miasteczek Królestwa, widziałem zawsze przed sobą widmo upiorne, powstające z grobów ojców i dziadów – widmo żołnierza bez ojczyzny.

Czy takimi zostaniemy w historii, czy po nas zostawimy

krótki płacz niewieści

i długie nocne rodaków rozmowy –

pokaże przyszłość. My obecnie, stojąc w boju, mamy do obrony skarb, któryśmy bezsprzecznie zdobyli. W ciężkich walkach, krwawymi ofiarami żołnierze wszystkich Brygad wyrwali nienawistnym losom to, czegośmy nie mieli jeszcze, wychodząc na wojnę – honor żołnierza polskiego, którego bitność i wewnętrzna dyscyplina nie podlega już nigdzie żadnej wątpliwości.

Dopóki stoję na waszym czele, będę bronił do upadłego, nie cofając się przed żadną ofiarą, tego, co jest naszą własnością i co oddać musimy w całości nienaruszonej naszym następcom – naszego honoru żołnierza polskiego. Tego też od was, żołnierze, z całą surowością wymagam. Czy w ogniu i na polu bitwy, czy w obcowaniu z otoczeniem, oficer i żołnierz ma się zachowywać tak, by w niczym na szwank nie narazić honoru munduru, który nosi, honoru sztandaru, który nas skupia. Ofiary krwawe czy bezkrwawe, gdy trzeba, muszą być w tym celu złożone. Dwa lata minęły! Losy ojczyzny naszej ważą się jeszcze. Niech mi wolno będzie wam i sobie życzyć, by rozkaz mój następny w naszą rocznicę był odczytany wolnemu polskiemu żołnierzowi na wolnej polskiej ziemi.

Rozkaz ten odczytać w kompaniach, szwadronach, bateriach i zakładach oddziału.

J. Piłsudski



[W tekście rozkazu Komendant I Brygady Józef Piłsudski odwołuje się do wiersza Adama Mickiewicza *Do Matki Polki*].



59. Za wierną służbę...

[Józef Piłsudski, *Ustanowienie odznaki „Za Wierną Służbę”* [w:] *idem, Pisma zbiorowe*, t. 4, Warszawa KAW, 1990 (reprint wydania z 1937–1938)]

6 sierpnia 1916 [r.]

Niniejszym ustanawiam odznakę I Brygady „Za Wierną Służbę”.

I. Prawo do noszenia odznaki mają:

a) wszyscy oficerowie i żołnierze, którzy nie mniej niż rok, pracowali nienagannie na froncie w szeregach I Brygady, nie wyłączając taborów i zakładów, obsługujących I Brygadę;

b) wszyscy oficerowie i żołnierze z organizacji strzeleckich w Królestwie, którzy byli tam w szeregach podczas okupacji rosyjskiej, bez względu na to, czy potem weszli w skład I Brygady, czy nie, oraz były biuro wywiadowcze I Brygady;

c) oficerowie i żołnierze, którzy byli w I Brygadzie mniej, niż rok, lecz dalszą służbę pełnili nienagannie w innych jednostkach wojsk polskich, o ile sami sobie tego życzą i otrzymają na to pozwolenie swoich komendantów. [...]

J. Piłsudski



60. Śmierć „Starego Michała”.

[Adam Koc, *Wspomnienia*, oprac. Janusz Mierzwa, Wrocław, Towarzystwo Przyjaciół Ossolineum, 2005]

Aleksandra Sulikiewicza („Starego Michała”) poznałem bliżej przez stykanie się z nim w warunkach pracy konspiracyjnej pod zaborem rosyjskim. Wiedziałem, że całe swoje życie spędził na walce rewolucyjnej i nie znał granic dla własnych poświęceń. Wymagał takich samych ofiar od współtowarzyszy, idących razem z nim po tej ciernistej drodze. Pozorną opryskliwością zasłaniał się od posądzania go o sentymentalizm i uczuciowość. Wypowiadał się telegraficznymi skrótami, żeby ukryć w nich to, co naprawdę czuł i myślał. Takim skrótem myślowym było powiedzenie do mnie, że chce „zobaczyć bitwę”. Stary konspirator nie chciał przyznać się także przede mną, że „bitwa”, na którą chce „patrzeć”, miała dla niego zupełnie inną wymowę niż potoczne tego słowa znaczenie. „Bitwa” – walka z bronią w rękę – to ukoronowanie jego długoletnich dążeń i marzeń na drodze do Wolnej Polski. „Chciał zobaczyć bitwę”, żeby zaspokoić nieugaszone pragnienie, tęsknotę do wolności. Stwierdzić samemu naocznie, że to, w co gorąco wierzył, za sprawą Józefa Piłsudskiego przeistoczyło się wreszcie z krainy marzeń w rzeczywistość. Był mu przez długie lata wierny i pomocny, w mrokach konspiracji, w podziemiach. Nadszedł wreszcie dzień, kiedy z Józefem Piłsudskim wyruszyli do walki polscy żołnierze – chciał dziś jeszcze raz nacieszyć się ich widokiem, gdyż stali się niezaprzeczoną prawdą polskiego życia. Patrzył na triumf idei – ścieranie się w walce polskich żołnierzy z wojskiem rosyjskim, nie w podziemiu, ale w bitwie, już w otwartym polu. Dlatego chciał przyjść tutaj i nasycić się tak długo oczekiwanym widokiem – zwycięstwem idei. [...]

Kule karabinowe były po gałęziach dębu, tuż koło nas. Skorzystałem z tego i poprosiłem „Starego Michała”, żeby zeszedł na dół i zameldował komendantowi II batalionu o sytuacji. „Stary Michał” wyczuł, że to podstęp z mojej strony i pretekst do skłonięcia go do zejścia na dół. Od razu odmówił, oświadczając, że mnie samego tutaj nie zostawi. Spoglądał podejrzliwie na austriackiego podoficera artylerii, który robił wrażenie, że stracił panowanie nad sobą i gotował się do ucieczki. [...]

Znacznie zwiększyło się teraz ostrzeliwanie naszego punktu obserwacyjnego. Dostaliśmy kilka serii ognia karabinów maszynowych, co mogło oznaczać, że nieprzyjaciół dostrzegł jakiś ruch pomiędzy gałęziami, w koronie dębu. Stanowiliśmy nieruchomy cel, na bardzo ograniczonej przestrzeni, stłoczonej w wąskiej, krótkiej



desce. Nie ulegało wątpliwości, że zdołają unieszkodliwić nas swoim ogniem. Nie można było zmienić swojej pozycji czy też skryć się przed ostrzeliwaniem za jakąś osłoną.

W pewnej chwili poczułem silne uderzenie po prawym boku i straciłem oddech. Odniosłem wrażenie, że zostałem ranny w dolną część prawego płuca albo w brzuch, w okolicy wątroby. Duża, czerwona plama pokazała się na moim mundurze. Nie straciłem przytomności, ale czułem, że słabnę z upływu krwi. Powiedziałem „Staremu Michałowi”, że jestem ranny. Widziałem, jak ów podoficer austriacki, zobaczywszy to, w popłochu opuścił swój posterunek i zbiegł na ziemię. Nie okazał najmniejszego zainteresowania się rannym ani zamiaru udzielenia mu jakiegokolwiek pomocy.

Ogień karabinów maszynowych na punkt obserwacyjny trwał w dalszym ciągu, ale „Stary Michał” zdawał się nie zwracać na to uwagi. Powiedział, że będzie opatrywać moją ranę i żeby dał mu swój opatrunek. Wiedziałem, że niepodobna tutaj robić opatrunku. Nie mieliśmy na to dosyć miejsca. Byłem wciąż jeszcze przytomny, ale już bliski zemdlenia. [...] Powiedziałem „Staremu Michałowi”, że będzie lepiej, jeżeli zaraz zejdzie na dół i zawiadomi mój pluton; moi żołnierze nie zostawią mnie tutaj i potrafią znieść mnie na ziemię, do okopów.

„Stary Michał” natychmiast wyruszył w drogę powrotną. Zostałem sam, leżąc wyprostowany na desce, słabnąc coraz bardziej. Głowa moja bezwładnie przechyliła się i opadła, dotykając deski policzkiem. Sprawilo to, że binokle, których szkło zderzyło się z deską, ześlizgnęły się i spadły na ziemię. Strata binokli wywołała niespodziewaną reakcję w moim mózgu: a więc umieram. Straciłem wtedy przytomność.

Dopiero znacznie później dowiedziałem się o organizowanej przez „Starego Michała” pomocy. Wiadomości o tym trzymano przede mną w najściślejszej tajemnicy, ponieważ powodem tego był mój stan zdrowia, który lekarze uznali za bardzo ciężki i chcieli uchronić przed jakimkolwiek wstrząsem.

Po zejściu z drzewa „Stary Michał” zawiadomił mój pluton, że zostałem ranny. Zaraz też zameldował komendantowi II baonu, kapitanowi M[ichałowi] Karaszewiczowi-Tokarzewskiemu, który znajdował się w okopach pierwszej linii, dowodząc wypadem. „Stary Michał” nalegał, żeby w płachcie namiotowej, uwiązanej do długiego sznura, jak na bloku opuścić mnie na ziemię. Organizując pomoc, Aleksander Sulkiewicz znajdował się na przedpolu, pomiędzy okopami i drzewem, z którego miałem być zdjęty, na otwartej przestrzeni, pod silnym ogniem nieprzyjaciela. Razem z nim był kapitan Karaszewicz-Tokarzewski i oficerowie,



koledzy z batalionu. [...] Podczas zestawiania „bloku” i sznurów trwało silne ostrzeliwanie naszych okopów i grupy ludzi na przedpolu. A. Sulkiwicz zachowywał zimną krew, nie myślał o sobie, a jedynie o okazaniu pomocy drugiemu, który jej potrzebował. W pewnej chwili Sulkiwicz krzyknął: „Jestem ranny” i upadł na ziemię. Kula trafiła go w łopatkę i przebiła serce. „Stary Michał” zginął na miejscu. Oddał swoje życie na polu chwały – ten Dobry Samarytanin i żołnierz bez skazy. [...]

[Aleksander Sulkiwicz (1867–1916), właściwie Aleksander Hózman-Mirza Sulkiwicz, pseudonim „Michał Czarny”, nazywany też „Starym Michałem”, z pochodzenia Tatar wyznania islamskiego, był wybitnym działaczem socjalistyczny. W 1892 r. brał udział w zjeździe założycielskim PPS w Paryżu. Należał do PPS w Wilnie, był członkiem jej władz i jednym z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego. Położył szczególne zasługi przy organizacji przerzutu publikacji socjalistycznych (tzw. bibuły) na tereny Królestwa Polskiego. Od 1906 r. w PPS Frakcji-Rewolucyjnej, należał też do Związku Walki Czynnej. W czasie I wojny światowej służył w I Brygadzie Legionów Polskich. Zginął 18 września 1916 roku pod Sitowiczami na Wołyniu. Był jednym z ostatnich żołnierzy poległych w czasie walk legionowych. Więcej zob.: Marek Gałęzowski, *Tatar Piłsudskiego. Życie Aleksandra Sulkiwicza* [w:] *Niepodległość*, red. Marek Gałęzowski, Jan Ruman, Warszawa, IPN, 2010].



61. „[...] wojsko i rząd polski, któremu żołnierz nasz będzie podległy”.

[Władysław Baranowski, *Rozmowy z Piłsudskim 1916–1931*, Warszawa, Wydawnictwo Zebra, 1990]

„Słusznie sędzicie, że z Austrią skończone. Bardziej jeszcze skończone z Panami z NKN. Tej licytacji *in minus* prowadzonej stale poza mymi plecami i przeciw mnie, tej gotowości ciągłego sprzedawania taniej tego, czego dać moralnie nie możemy bez zapytania się o wolę i zdanie narodu, zastraszonego grozą stanu wojennego, tego więcej nie przeniosę. To zdobywanie u obcych zasługi wartością i skurczaniem sprawy polskiej, to się już nie powtórzy, o ile osoba moja brana ma być w jakąkolwiek rachubę czy kombinację. Gadać będziemy teraz tylko w Warszawie i tylko na nowych podstawach i gadać z Niemcami. Tych mam jeszcze do wygrania, jeśli istotnie widzą swój interes w utworzeniu armii polskiej na froncie rosyjskim. Dziś ze strony niemieckiej musi iść nacisk na Austrię dla uregulowania prawno-politycznego stosunku Legionów i przekazania ich najprędzszego jako podstawowych formacji naszego wojska. Koniecznym jest również uregulowanie sytuacji POW, czekającej już tylko mego rozkazu dla poddania się władzy polskiej, którą mogłaby być w tej chwili i TRS. Pod tym tylko warunkiem i dla uregulowania tych dwu spraw najważniejszych gotów jestem wejść do Rady Stanu, po działalności której – czując mym węchem i obym się mylił – niestety, niewiele się spodziewam. Mamy tu bowiem znowu formację polityczną z punktu widzenia narodowego niekompletną, gdyż niestety usiłowania moje wciągnięcia Koła Międzypartyjnego do wspólnej akcji nie udały się, aczkolwiek znalazłem i tam wiele elementów zdrowo myślących jeśli chodzi o zagadnienia armii. Żyją one jednak pod terrorem większości i tego co piszą im ze Szwajcarii. Ta większość, podobnie jak nasi NKN-iści truchlejący, że »Wiedeń« [tak w oryginale] się pogniewa, obawiają się z kolei, że Ententa nas opuści, gdy, broń Boże, pomyślimy o własnej, samodzielnej sile. Ta sama psychika specyficznie polska u jednych jak i drugich, nieufność we własne siły, niewiara we własne możliwości. I to zakorzenione w tej większości Polaków przekonanie, że bez podpórek, bez obcego patyczka, do którego przytknąć się można, nic u nas się nie utrzyma na własnych nogach”.

I tu Komendant niejednokrotnie i w późniejszych rozmowach używający tego porównania, ilustrował je gestami rąk.

„Odsuniesz ten słaby patyczek – wszystko runie, przysuniesz z powrotem,



ach jakżeż bezpiecznie przytknąć głowę, nie tylko głowę, ale całego siebie – nieprawdaż? Pasywizm niewolników – mówicie. Tak, niezawodnie, jeśli chodzi o inicjatywę czy decyzję, nawet o podkreślenie własnej godności. Ale ten pasywizm jakżeż skoro gotów przemienić się w aktywizm służalstwa, aktywizm taki gorliwy, tak zapobiegliwy, oddający się bez zastrzeżeń, już przygotowany do poświęceń dla pochwały, nagrody albo zdobycia tytułu do zasługi lokajskiej wobec silniejszego, wobec większego. A przecież ta sama energia, ta energia do lokajstwa zużyta na własny rachunek, dla własnego tylko narodu, mogłaby nam dać siły i podstawy do jakiejś samodzielności. Zużywają ją ci panowie marnie i na marne na wysługiwanie się w Krakowie, Wiedniu, Petersburgu i tam, u was, na Zachodzie, w Paryżu, Londynie. A tu czas nagli! Któż wie jak długo potrwa wojna, jak długo i jakie będą dla nas koniunktury? Wyrwać z nich trzeba, co można, na naszą korzyść, na korzyść naszej siły, ale własnej, istotnej. Szedłem na kompromisy, jak długo tylko było można, jak długo oczekiwałem korzyści lub dopóki mogłem przerobić to, co wyrwałem na *bene* narodowe. Bo i korzyścią była możliwość przelewania krwi legionistów przy świadomości dla przykładu, że przelewa ją żołnierz polski dla swojej sprawy. Lecz przeświadczenie takie musi istnieć i trwać, to właśnie przeświadczenie i świadomość o przelewaniu krwi dla najwyższego celu. Trwać ono jednak w takich warunkach, w jakich znalazły się legiony, dłużej nie mogło. Raz jeszcze pójdę na drogę kompromisu, tym razem z Niemcami. Ale na układach jasnych i wyraźnych: wojsko i werbunek choćby jak najszerszy, ale wojsko i rząd polski, któremu żołnierz nasz będzie podległy. Z tym postulatem idę do Rady Stanu. I gdy to uzyskam wrócę do wojska, gdyż przede wszystkim jestem żołnierzem. Lecz gdy nie uzyskam...” i tu urwał się tok wynurzeń.

Taka była w przybliżeniu pierwsza moja rozmowa z Komendantem, w której stosunkowo najmniej mówiło się o sprawach zagranicznych i po której Piłsudski prosił mnie o zgłoszenie się do Niego po ukonstytuowaniu Rady Stanu.



62. Odmowa przysięgi Niemcom i Austriakom.

[Jan Kruk-Śmigła, *Za wierną służbę ojczyźnie. Dziennik legionisty I Brygady*, oprac. z rękopisu, wstęp i przypisy Jerzy Kirszak, Krosno, Ruthenus, 2004]

11 VII 1917 [r.]

[...] W tych dniach ukończono ostateczni formułę przysięgi, która odbyła się w Warszawie 9-go. Pułki znajdujące się na prowincji mają przysięgać dzisiaj, a więc i my. Właściwie my, Galicjanie, nie mamy przysięgać tylko Królewiaczy. Jednakże obchodzi nas ta sprawa bardziej może niż ich, gdyż utwierdziłaby ostatecznie rozłam Legionów na obywateli Królestwa Polskiego i poddanych austriackich. Dlatego też wiara nie chce złożyć tej przysięgi, naszym zdaniem hańbiącej nas jako ochotników. Już 7 VII korpus oficerski 1 pp na zebraniu uchwalił następującą deklarację: „1 pułk odmawia złożenia przysięgi wedle nadesłanej roty z powodów następujących:

I) Rota przysięgi przeznaczona jest tylko dla Królewiaków, utrzymuje więc ona w jednolitych pod względem narodowym i wojskowym Legionach podział narzucony i wywołany przesłankami szkodliwymi dla budowy armii.

II) W każdym wojsku przysięga przyuczana jest do istniejącej i ściśle określonej osoby panującego, względnie rządu, nie zaś do fikcji nieistniejącej lub której powstanie w przyszłości uwarunkowane jest układem stosunków międzynarodowych, wiązanie się zatem przysięgą z punktu widzenia prawnowo-wojskowego niedopuszczalne.

III) Ślubowanie braterstwa broni – jako zależne od każdorazowego układu stosunku [tak w oryginale] międzypaństwowych – jest atrybutem panującego lub rządu, który w formie rozkazu do wojsk swoich takie braterstwo w stosunku do pewnych armii nakazuje. Nie może więc ono być przedmiotem przysięgi wojskowej”.

[...]

Nasz pułk 1-wszy cały jednomyślnie odmówił. Dzisiaj miał przyjechać [płk Marian] Januszajtis i jakiś delegat z Rady Stanu celem nakłonienia nas do tej hańby. Nie przyjechali jednakże. Z pułku dowiedzieliśmy się, iż sam pułk ma do 14-go najdalej przedstawić termin przysięgi w tym czasie. Sądzą może, iż w tym czasie zdołają nas nakłonić do tego tak haniebnego dla nas kroku. Inne pułki, werbunkowcy w Zambrowie i rekruci postępują tak samo jak i my.

Dziś obchodziliśmy wielką, pomimo smutku, uroczystość. Powrócił bowiem do nas nasz ukochany major, Bukacki, który z 5-go pułku został przeniesiony jako adiutant gen. Beselera, obecnie zaś otrzymał dymisję z tego stanowiska. Równocześnie przybył także kapitan Dąb-Biernacki, który przeniesiony do 3-go



pułku, jako dowódca baonu, został obecnie z powodu tego, iż nie chciał przysięgać, zupełnie zwolniony z wojska. Obu tym dzielnym mężom sprawiliśmy dzisiaj uroczystą owację. [...] Po przemowie oba baony odśpiewały „Jeszcze Polski nie zginęła” i „Rotę” Konopnickiej, w której treści każdy odczuwał prawdziwą przysięgę. Z takim odczuciem śpiewano, iż obecne żony oficerów płakały. Kiedy zaś kap[itan] Biernacki podniósł okrzyk: „Niech żyje nasz Komendant Józef Piłsudski”, jednocześnie z entuzjastycznym okrzykiem uleciały czapki w górę. Takiego zapału i takiej wiary w Komendanta nie widziałem jeszcze nigdy. Następnie sformowane w jednej chwili baony defilowały przed obu komendantami. Takie jest u nas przywiązanie do komendantów.

12 VII 1917 [r.]

Godz. 1-sza po południu. Jeszcze wczoraj wieczorem przyszedł rozkaz do komp[anii], ażeby wszyscy Królewiaczy stanęli na zbiórce o godz. 6.45 celem przysięgi [...]. Oficerowie winni się stawić wszyscy. Rano wszystko odbyło się w porządku. Z I-go baonu Królewaków ruszyło 118. Jakies pół godziny później zdecydowałem się iść przyjrzeć się temu, chociaż wynik nie był dla mnie wątpliwym. Na miejscu baony uszykowały się i wyciągnęły pod linię. Dobrze wiara wyglądała. Z Królewiakami na uboczu stała cała kupa „Galileuszy”. Po raportach nastąpił głucha i pełna oczekiwania cisza. Tymczasem „Galileusze” przygotowywali, odchodząc ustawionych w jednej linii, „dziką” owację deputatom. Nareszcie ukazuje się powóz od strony cytadeli. Komenda „baczność”, „w prawo patrz” podryw Królewaków i kap[itan] Scaewola-Wieczorkiewicz zdaje raport nadchodzącym. Byli to pułk[ownik] Januszajtis i Radca Stanu [Ludomir] Grendyszyński. Po raporcie odbył przegląd oddziałów, po którym na rozkaz Januszajtisa zrobiono „czworobok”. Zabrał głos Grendyszyński, przemawiając do żołnierzy krótko, ażeby zrobili to, co im sumienie nakazuje. Następnie przemówił pułk[ownik] Januszajtis, który z początku głosem spokojnym wyjaśniał, dlaczego powinni przysiąc, następnie głosem już podniesionym i ostrym zapowiedział, iż przysiąc muszą, w przeciwnym razie będą bowiem zdrajcami ojczyzny i Rady Stanu. Potem odczytał formę przysięgi, dając nam ją poznać. Wiara od początku zachowywała się spokojnie i cierpliwie; można było zauważyć nieznaczny uśmiezek, lecz znaczenia jego odgadnąć ani pułk[ownik] J[anuszajtis], ani Radca Stanu nie mogli. Lecz kiedy pułk[ownik] Januszajtis wyrzekł: „kto nie chce przysięgać niech wystąpi”, cały czworobok ruszył naprzód. Złudzenie pierzchnęło. Królewiaczy zostali zatrzymani rozkazem powrotu na swe miejsce. Teraz Januszajtis powiedział: „kto nie chce



przysięgać, niech się cofnie 15 kroków w tył”. Cały oddział zrobił to jednocześnie. Zwrócił się więc do oficerów, oznajmiając: „kto nie chce przysięgać, nie godzien jest nosić broni”. Wtedy oficerowie jednomyślnie odpięli szable i rzucili mu pod nogi. Cierpliwość się skończyła. Wiara zaczęła krzyżeć: „na pohybel zdrajcy”, „hańba”, „precz z Radą Stanu”, „nie wierzymy sprzedawczykom” itd. Delegaci zbledli, nie spodziewali się pewnie tego i szybko zwrócili się do swego powozu. Pułkownik Śmigły dał rozkaz odmaszerowania oddziału do koszar, naznaczając im areszt koszarowy. Oddziały maszerujące defilowały przed oficerami, którzy tak szczytnie sobie postąpili. Drugi baon zaśpiewał „Gdy naród do boju”, a dochodząc do powozu delegatów, powtórzył te godne ich nazwy, wołając przy tym, jedni „uciekajcie zdrajcy”, a drudzy „trzymaj, dawaj go tu” itd. Dość na tym, że woźnica podciąwszy konie, które poszły galopem, uwolnił ich od tego strachu i wstydu. Tak przysięgał pułk pierwszy. [...]

Podpułk(ownik) Berbecki, wezwawszy do siebie majora Belinę, nakłania go do przysięgi, obiecując dowództwo brygady kaw[alerii] i szybki, odpowiedni awans. Belina słucha, nic nie mówiąc. Berbecki zapytuje: „przysięgniesz więc pan” – „Ni chuja” – odpowiada major Belina. „To jest wpływ tych socjalistów z I-go pułku”, mówi półgłosem podpułk[ownik] Leon Berbecki. „Socjalistów bo socjalistów, ale nie zdrajców i sprzedawczyków”, rzekł major Belina i odszedł. Berbecki, wściekły ze złości, zbladł jak ściana.

[...]



63. „Piłsudski postanowił zagrać *va banque*”

[Andrzej Friszke, *Piłsudski* [w:] *O kształt niepodległej*, Warszawa, Biblioteka „Więzi” 1989]

[...] Kiedy okazało się, że Niemcy i Austriacy do poważniejszych ustępstw politycznych nie są skłonni, kiedy po rewolucji lutowej carat przestał istnieć, a front wschodni przesunął się daleko na wschód, gdy za to na zachodzie Europy coraz bardziej wyczerpani Niemcy z trudem stawiali opór armiom koalicji, Piłsudski postanowił zagrać *va banque*. Dalsza współpraca z okupantami mogła jemu i dalszej reputacji Polski tylko szkodzić. Stawił opór, zainicjował kryzys przysięgowy i 22 lipca 1917 r. dał się uwięzić. Kryzysu legionowego nie sposób jednak rozpatrywać wyłącznie w kategoriach gry politycznej. Znaczenie równorzędne miał odruch ideowy. Złożenie żądanej przysięgi na wierność cesarzom byłoby ustępstwem zbyt daleko idącym, szczególnie wobec nikłości rozwiązań propolskich ze strony państw centralnych. Lipiec 1917 r. mógł być uznany za ciężką porażkę Piłsudskiego i odsunięcie go od możliwości realnego wpływu na sprawę polską. Licytacja sprawy polskiej skończyła się wypadnięciem z gry najwyższej licytującego. Ogółem uwięziono ok. 90 osób, a 3300 legionistów z Kongresówki internowano, natomiast legionistów Galicjan wcielono do armii austriackiej i wysłano na front włoski. Legiony przestały istnieć. Pozostałość po nich – Polska Siła Zbrojna – która złożyła żadaną przysięgę, liczyła początkowo tysiąc żołnierzy. Gdyby wypadki potoczyły się inaczej, państwa centralne nie przegrałyby wojny, Piłsudski byłby zapewne bankrutem. Miał jednak wielkie wyczucie polityczne, przenikliwość w ocenie sytuacji, a i wielkie szczęście, którego brakowało wielu politykom polskim przedtem i później. Sytuacja ogólna była niezwykle korzystna dla sprawy polskiej i z każdym miesiącem stawała się lepsza. Już po kilku miesiącach uwięzienie Piłsudskiego i jego legionistów dawało im opinię męczenników sprawy niepodległości, umacniało ich autorytet w niechętnym Niemcom społeczeństwie, ratowało od opinii wiernych sojuszników państw centralnych.

Nim Piłsudski odszedł ze sceny publicznej, przekazał wielu oficerów I Brygady do Polskiej Organizacji Wojskowej, która miała tworzyć konspiracyjną wojskową siłę antyniemiecką i sposobić się do przyszłego wystąpienia. W chwili internowania był Piłsudski najgłośniejszym chyba politykiem Królestwa, podziwianym przez jednych, intrygującym innych, nie brakowało również niechętnych. W obozie, który stworzył, znajdowały się niebagatelne siły polityczne – Polska Partia Socjalistyczna i Polskie Stronnictwo Ludowe – Wyzwolenie oraz mniejsze liczebnie, ale ważne



grupy radykalnej inteligencji. Wyrósł w tym czasie na autorytet ponadpartyjny całej demokratycznej, nierewolucyjnej lewicy. Wbrew podejmowanym od 1915 r. wysiłkom nie potrafił związać z sobą żadnych znaczących sił prawicy, ale zdołał ostudzić obawy sfer konserwatywnych, że jest skrajnym radykałem, co umożliwiło mu w przyszłości pełnienie ogólnopaństwowych funkcji.

Pozostali na wolności współpracownicy powołali do życia tajny Konwent Organizacji A, który miał sterować całym obozem niepodległościowym. Wśród członków Konwentu byli przywódcy POW, PPS, PSL-Wyzwolenie, PPSD, radykalnej inteligencji, a przewodzili mu Jędrzej Moraczewski, Edward Rydz-Śmigły, Bogusław Miedziński, Michał Sokolnicki, Juliusz Poniatowski, Leon Wasilewski i Adam Koc. Sterowali oni ruch na pozycje coraz bardziej antyniemieckie, inspirując w tym kierunku zespoły polityczne i zainicjowali antyniemiecką zbrojną akcję POW. W listopadzie 1918 r. ten krąg działaczy inspirował powstanie Tymczasowego Rządu Ludowego Ignacego Daszyńskiego. [...]



64. „[...] nikt zaprzeczyć nie zdoła, że Legiony stały się kadrą i moralnym bodźcem, o który oparła się cała budowa wojska polskiego”.

[Kazimierz Sosnkowski, *Przemówienie radiowe z okazji 15. rocznicy odzyskania niepodległości* (listopad 1933) [w:] *idem, Wybór pism*, oprac. Jerzy Kirszak, Wrocław, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, 2009]

Dzieje ruchu niepodległościowego w Polsce, poczynając od powstania 1863 roku, poprzez organizację bojową, przedwojenne związki wojskowe, aż do wojny polskiej, są potwierdzeniem niezmiennej prawdy, że siła moralna idzie przed siłą fizyczną, że w walce z materią duch musi zawsze, wcześniej czy później, zwyciężyć. Klęski fizyczne, zarówno powstania, jak i pierwszych prób Piłsudskiego, czynionych w latach rewolucji, nie naruszają w niczym tej prawdy, gdyż uwzględniając niewątpliwą ciągłość ideową ruchu, widoczną poprzez wszystkie jego etapy – i powstanie 63 roku, i próby bojowców uważać można za pierwsze boje na froncie jednej wielkiej bitwy o niepodległość, trwającej lat pięćdziesiąt z górą, zakończonej wskrzeszeniem Rzeczypospolitej i zdobyciem Jej granic. Ostatnia, rozstrzygająca faza tej bitwy przypada na okres zawieruchy światowej i obejmuje wojny polskie.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że siła ilościowa Legionów wynosiła znikomą ułamek w stosunku do potęg walczących na scenie wielkiego dramatu dziejowego. Są w Polsce ludzie, którzy z tego bezspornego faktu dla różnych względów pragną wysnuć wnioski, że istnienie Legionów nie miało żadnego, choćby pośredniego wpływu na odzyskanie niepodległości, która spadła nam z nieba, jak owoc dojrzały, w wyniku rozgrywki dziejowej, niezależnej od udziału zbrojnego Polaków.

Spróbujmy przeprowadzić rachunek obiektywnie i beznamytnie, bez legionowej przesady i samoadoracji, ale strzegąc się również zakorzenionej wśród Polaków skłonności do niewiary w siebie.

Bez wątplenia my, legionieści (mówię o I Brygadzie), podczas wielkiej wojny byliśmy skłonni przesadnie oceniać możliwości naszego oddziaływania na przebieg wypadków. Zdawało się nam, że posiadanie własnej siły zbrojnej, u schyłku katastrofy światowej, dostatecznie licznej i niezależnej od obcych moralnie, może stać się czynnikiem decydującym dla losów sprawy polskiej. Przewidywaliśmy, że dopóki choć jeden z zaborców będzie miał szansę podczas układów pokojowych zasiąść przy stole obrad po stronie zwycięskiej, sprawa polska może stać się w pierwszym rzędzie przedmiotem przetargu i handlu. Cieszyliśmy się zawsze



z każdej próby tworzenia polskich szeregów wojskowych wszędzie, gdzie się ku temu trafiała sposobność; za warunek jednak konieczny i nieodzowny uważaliśmy podporządkowanie wszystkich istniejących lub mogących powstać formacji ideowemu kierownictwu, a w pewnym momencie i dowództwu Piłsudskiego, którego charakter, wola i geniusz jedynie mogły zapewnić naszym projektom powodzenie wojskowe i polityczne. W kalkulacjach naszych, być może szalonych, lecz czystych i pięknych, przypuszczaliśmy, że zdeterminowane wystąpienie zbrojne większych sił polskich przeciwko zaborcom w decydującym momencie układów pokojowych, w sprzyjających warunkach ogólnych przy krańcowym wyczerpaniu Rosji i państw centralnych, będzie miało szansę istotnego wpływu na sposób rozwiązania sprawy polskiej, a w każdym razie zapobiegnie jej przeszwindlowaniu. Wypadki dziejowe potoczyły się innym torem: okupanci swoją niezwykle ostrożnością pokrzyżowali nam plany. I Brygada poszła za kratę, a pod Rarańczą i Kaniowem złe warunki chwili, słabość sił i brak wodza nie mogły zapewnić skutków bezpośrednich. Wartość moralna, a w następstwie i polityczna tych pięknych aktów nie ulega przecież wątpliwości.

Syntezę właściwej misji dziejowej Legionów dał w jednym ze swych przemówień Piłsudski, twierdząc, że „Legiony stworzyły w Polsce, odrodziły typ dobrego żołnierza, co stanowi ich największą bodaj zdobycz historyczną”. W rzeczy samej nikt zaprzeczyć nie zdoła, że Legiony stały się kadrą i moralnym bodźcem, o który oparła się cała budowa wojska polskiego. Przed wojskiem zaś naszym, w zaraniu jego istnienia, wyrosły wielkie zadania: wynik wojny światowej dał nam egzystencję bez granic; dzień rozejmu na froncie zachodnim jest dla Polski początkiem długotrwałej wojny o niepodległość zdefiniowaną, czyli wojny o granice. Wojny te Polacy stoczyć musieli własnymi siłami.

Piętnaście lat temu zbudzona do życia Rzeczpospolita znalazła się w położeniu przerastającym, zda się, możliwości ludzkie. Gdy świat cały zaczyna odpoczywać po długotrwałej burzy, wokół ziem polskich, zniszczonych, wyczerpanych, wyzutych ze wszelkich zasobów, wokół zgłiszcz jeszcze dymiących, zamilkłych fabryk i warsztatów, wokół pól zoranych granatami, rozpała się szereg nowych pożarów. Międzynarodowych aktów prawnych, konstytuujących młode państwo polskie – nie ma jeszcze żadnych. Trzeba bić się o istnienie, bić się o granice, pamiętając, że przede wszystkim od nas samych zależeć będzie ich przebieg, że pióro dyplomatów lubi obwodzić kontury, wykreślone zwycięskim bagnietem. [...]



65. Czyn polskiego wychodźstwa.

[Rezolucja Zjazdu Walnego Związku Sokolów Polskich z siedzibą w New Yorku, odbytym w dniach 13 i 14 września 1912 roku w Filadelfii [w:] *Czyn zbrojny wychodźstwa polskiego w Ameryce. Zbiór dokumentów i materiałów historycznych*, Nowy Jork – Chicago, Wydawnictwo Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, 1957]

[...] My, Izba delegatów Nadzwyczajnego Walnego Zjazdu Związku Sokolów Polskich w Ameryce Północnej, po omówieniu i rozważeniu naszego stanowiska w społeczeństwie i po przyjęciu uchwał odnośnie pracy naszej w imię wskazań Sokolego Zakonu,

Stwierdzamy,

1) że przy postulacie samoistności i bezpartyjności, a tym samym niezależności materialnej i moralnej Związku naszego stać będziemy niezłomnie – bowiem służbę nieść Sokolstwu przystoi narodowi całemu, a nie cząstkom jego,

2) że w poczuciu i rozumieniu głębokim tych założeń i pragnąc pozyskać jak najszersze pole pracy w społeczeństwie naszym na wychodźstwie,

My udajemy się o poparcie naszych usiłowań, opiekę i pomoc bratnią do całego społeczeństwa, do wszystkich związków i zrzeszeń. Solidaryzując się w sprawach i pracy narodowej, oświadczamy gotowość stanąć na każde wezwanie, gdy tego dobro spraw narodowych wymagać będzie [...]

Wyrażamy serdeczny apel do całego społeczeństwa polskiego, patriotycznego kleru polskiego, bezstronnej prasy, organizacji i działaczy społecznych o współdziałanie w przedsięwziętej akcji narodowej – nie żądając od nas wynurzeń, zapatrywań – byśmy mogli być przednią strażą całego narodu, szkołą życia obywateli, żołnierzami, Polakami, wychowawcami młodego pokolenia, co silne ciałem i duchem, nierozdzielne z prądem ducha w Ojczyźnie, krok za krokiem dążyć będzie do zrealizowania pragnień i pożądań polskich serc. Ono ofiarą krwi swej młodej stwierdzi prawa narodu Polskiego do niepodległości. Tak nam dopomóż Bóg!



66. Sztandar bajączyków.

[Z dziennik bajączyka Mariana Himnera, cyt. za: Waclaw Lipiński, *Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905–1918*, oprac. Marek Gałęzowski, współpraca Jerzy Kirszak, Łomianki, LTW, 2016].

Zajmujemy płytki, wysunięty naprzód okop. [...] Jedna z bomb skrzydlatych, wybuchając za blisko, raniła pięciu z trzeciej sekcji, z naszych kilku ogłuszyła. Przyczajeni czekamy, odłamki pocisków, padając, bryzgają na nas ziemią. Kapitan z nami, kilka ostatnich rozkazów. Jeszcze trzy minuty. W dali, na lewo, we wgłębieniu tyralierzy już wyszli, może dlatego, że mieli do przebiegnięcia koło trzystu metrów, gdy my pięćdziesiąt. Już...

En avant!

Strzelać zakazano. Pędzimy, bagnietami podani naprzód. Niemcy strzelają. Ktoś koło mnie pada. Padł tak jak człowiek biegnący, któremu podcięto nogi, głową na dół. Już pierwsza linia okopów – przeskakujemy drugą. Rozkaz był zatrzymać się na trzeciej, ale gdzie tam. Niemcy uciekają. I widać w polu, jak liczna gromada pędzi i chowa się do miasta Neuville-Saint-Vaast. Inna grupa, jeszcze większa, przeważnie bez broni, ucieka polami w stronę dominującego nad okolicą płaskowzgórza. Na lewo widać goniących za nimi tyralierów. Trąbka daje rozkaz na lewo. Dziwne – nam mówiono, że mamy iść nieco na prawo, równoległe do miasteczka. Kapitan słucha rozkazu i prowadzi nas na lewo. Niemcy pozostali w okopach, na razie myśląc, że za nami nie ma nikogo, zwrócili się i nam na tyły strzelać poczęli. Krótko to trwało, bo batalion D nadbiegł natychmiast i zajął okopy. My, jak było w rozkazie, mieliśmy się posuwać pod przykryciem ognia siedemdziesiątek piątek. Na nieszczęście gorętsi wyrwali się naprzód, pociągając za sobą innych. Im to zawdzięczając, posunęliśmy się za szybko. Chwila – i to w sam środek naszej sekcji pada „75”. Jak snopy podczas zawieruchy, tak się powaliło kilkunastu na raz. Chwila zamieszania. Pociski i szrapnele padają zewsząd, z przodu, a teraz jeszcze z tyłu. Znowu biegniemy. Niemiecka artyleria zarzuca pociskami pole. Padają nasi. Lecz nic to. Pogoń za Niemcami trwa precz. Droga Béthune–Arras już poza nami. [...] Nasi są już u garbu płaskowzgórza. Jestem i ja. Walka zacięta. Niemcy, oparłszy się o drogę na samym szczycie i o zarośla, zaczęli nas ostrzeliwać. Tyralierzy na lewo znaleźli pozycję łatwą do obrony. Strzelali z nasypu jakiegoś starego okopu. Myśmy byli przedłużeniem tej linii, bo podaliśmy się nawet nieco naprzód, lecz nic nas nie broniło, leżeliśmy w szczerym polu. O ile linia tyralierów była ściśnięta,



o tyle nasza była zbyt rzadka. Naszego prawego skrzydła nie bronił nikt. (Ach, ta trąbka „na lewo”). Strzelanina trwała z kwadrans. Sąsiad mój leży. Na prawo, gdzie głównie byli nasi, wielu już leży. Oglądam się, gdzieś tam jeszcze ktoś leci. Jakiś oficer tyralierów z rozwichrzoną czupryną, z szablą do góry komenderował ognia Arabom, strzelającym z jamy marmitu. Robił to, stojąc bez lęku. Nigdy nie miałem tak szczerego wrażenia ks. Józefa i w ogóle oficerów napoleońskich, jak w tej chwili. Padł nasz Malcz – z rozkrzyżowanymi rękoma, szabla w jednej, rewolwer w drugiej, z twarzą zastygłą, z piekielnym ogniem w oczach, biegł jak męczennik. „Naprzód!” – krzyczał swoim donośnym głosem. Popczyński wolno wstał bez karabinu i w tył trzy kroki uszedłszy, padł na twarz, jakby drugi raz przeszyty. Nasi, rażeni, nawet się nie podnosili, głowa osuwała im się na ręce, jakby do snu. Zza stogu, koło drogi na wprost, wyskakują Niemcy. Z prawego skrzydła bić nas chcą. Widzimy to i kapitan daje rozkaz przesuwania się w stronę wioski. Ja zostałem. Strzelając, śledziłem naszych. Zakrył mi ich garb, lecz chorągiewka sygnalizacyjna pokazywała mi, jak nasi powoli cofali się ku miasteczku. Mitralieza niemiecka z zarośli ostrzeliwa nas już zaledwie kilku.

Chronimy się za miedzę, lecz już celują i ziemia od kul bryzga nam w oczy. Cofamy się jeszcze 50 metrów, na nieco wklęsniętą drogę. Zza stogu coraz to nowi Niemcy wyskakują. Ostrzeliwujemy ich. Mitralieza, widząc, że nas nie dosięgnie, zmieniła pozycję i nuż do tyralierów walić z boku. Druga ostrzeliwuje nadchodzącą małymi grupkami pomoc. Doszli, czołgając się, zdziesiątkowani. Tyralierzy, dzięki swojej pozycji, trzymali się. Pomocy prawie żadnej, Niemcy ostrzeliwiają ich z boku. Jedni zaczęli biec, drudzy ich zawracali. Trębacz trąbił wciąż. Trzymają się jeszcze czas pewien. Upalny dzień, niewyspanie, walka zmęczyła ludzi tak dalece, że w trakcie okopywania się zasypiali.

Ogień mitraliez rośnie. Na tyłach zupełna pustka. Tyralierzy, w panice i popłochu uciekając, pociągnęli za sobą inne pułki. Zatrzymaliśmy się na wciętej drodze, wzdłuż wklęsnięcia. Tutaj byliśmy bezpieczni, bo pod przykryciem naszych mitraliez, ostrzeliwujących płaskowzgórze, no i baterii „75”, ustawionych koło *route de Béthune*.

Tyralierów opuściłem koło północy, by jako łącznik odnaleźć jednego z pozostałych komendantów naszego pułku – Cole. Nie znalazłem go, podobno się krył. Przez pewien czas znajdowałem się obok pułkowników, prowadzących obronę pozycji pierwszej i drugiej linii, ułatwiło mi to zdanie sobie sprawy z przebiegu walki. Lecz gdzież nasi? Odnalazłem ich nad ranem, okopujących się na *route de Béthune*. Trzydziestu. Kompania polska już nie istniała.



[Jan Styka, *Bajończykom* [w:] „*Rozkwitały pąki białych róż...*”. *Wiersze i pieśni z lat 1908–1918 o Polsce, o wojnie i o żołnierzach*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Andrzej Romanowski, Warszawa, Czytelnik, 1990]

Ten dziedziniec klasztorny w Bajonie
Chyba nigdy już w mojej pamięci
Się nie zatrze. Po Szujskiego zgonie
Bajończyków pamięć duch mój święci.

Szujski był ich przewodca duchowy,
W jego ręku ich sztandar kochany,
Za nim pójdą na szanice i rowy,
Kiedy rozkaz z góry będzie dany.

Ach, widziałem ja wasze cierpienia,
Słomę startą, te zimne noclegi,
Lecz straszniejsze to te poniżenia,
Tak brutalnie ciskane w szeregi.

Rzekł mi Szujski: „Wszystko przetrzymamy,
Wdzięczni Francji za tę broń do ręki,
Pokażemy, gdy wroga spotkamy,
Czyśmy warci byli jej podzięki.

Ależ niech nam dadzą, na Bóg miły!
Komendanta ze sercem i głową,
By na marne nie szły nasze siły,
Byśmy ducha mieli i myśl zdrową”.

Mówił Szujski, a słów tych słuchali:
Malcz, Rodzyński i tłum towarzyszy;
Gestem słowom tym potakiwali...
W chwilach takich dusza duszę słyszy.



To poselstwo spełniłem Szujskiego...
Otrzymali na wodza Dumika.
Pokochali jak ojca, lecz tego
Kula wkrótce zmiotła przewodnika.

W listopadzie, w powstania rocznicę,
Jak czwartaki poszli do ataku;
Szujski, sztandar niosąc jak gromnicę,
Pędził przodem po tym krwawym szlaku.

Wśród kul gradu sztandar z orłem białym
Trzepotał się jako ptak zraniony –
Wtem chorąży padł ciężarem całym,
W same czoło kulą ugodzony.

Może nad nim płakać biedna matka...
Towarzysze jeno dumni z niego:
Utracili kochanego Władka,
Ale czić go będą jak świętego
I na zawsze będzie dla nich wzorem
Bohatera, co poległ z honorem.

[Wymieniony w obu tekstach Władysław Szujski był synem Józefa Szujskiego (1835–1883), wybitnego historyka polskiego, jednego z najbardziej znanych przedstawicieli krakowskiej szkoły historycznej oraz konserwatywnego środowiska politycznego tzw. stańczyków. Sztandar bajączyków (z którym w rękę zginął Szujski), noszący ślady trzydziestu czterech kul, jest przechowywany w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie].



67. „Organizacja wojska polskiego na Zachodzie była ze względów politycznych koniecznością”.

[Roman Dmowski, *Polityka polska i odbudowanie państwa*, wyd. 2, komentarzem opatrzył Tomasz Wituch, Warszawa, Instytut Wydawniczy PAX, 1989]

[...] Organizacja wojska polskiego na Zachodzie była ze względów politycznych koniecznością. Co prawda, widoki na stworzenie dużej armii istniały tylko w Rosji, ze względu na ogromną liczbę żołnierza polskiego w armii rosyjskiej. Tam pracowano nad wydzieleniem tego żołnierza w osobne formacje polskie, nad stworzeniem armii polskiej. Niestety, słabe były dane na to, żeby tam armia polska mogła się utrzymać, przy postępującym powszechnym rozkładzie i przy demoralizujących wpływach idących od kół aktywistycznych polskich, germanofilskich i rewolucyjnych. Ośmielone rewolucją rosyjską, rozpoczęły one robotę, która prostą drogą prowadziła do utopienia sprawy polskiej.

Dla armii polskiej na Zachodzie mieliśmy na razie jedno tylko większe źródło materiału ludzkiego, mianowicie młodzież polską w Ameryce. Panował tam duży zapał, młodzież rwała się do walki o wolność starej ojczyzny; część jej nawet już poszła na ochotnika – z początku do armii kanadyjskiej, później, po wypowiedzeniu wojny przez Stany Zjednoczone, do ich armii. Noszono się tam z myślą stworzenia ochotniczej armii polskiej pod opieką Stanów Zjednoczonych. Część młodzieży polskiej ze Stanów przechodziła krótki kurs oficerski w szkole kanadyjskiej.

Moim pragnieniem było utworzenie armii polskiej przy równoległym współdziałaniu wszystkich mocarstw sprzymierzonych i zapewnienie jej tym sposobem możliwie największej sumy niezawisłości. Jednakże osiągnięcie tego celu nie zapowiadało się jako rzecz łatwa.

Tymczasem sprawę przyspieszyła inicjatywa, która zjawiała się niezależnie od nas we Francji. W maju 1917 roku otrzymałem od Erazma Piltza wezwanie do Paryża dla naradzenia się w sprawie utworzenia armii polskiej we Francji, która znajduje się na poważnej drodze i która ma poparcie szefa misji wojskowej rosyjskiej w Paryżu, hr. Ignatiewa. Wiadomość ta zaskoczyła mnie, a poparcie czy inicjatywa hr. Ignatiewa nieco mnie zdziwiła, nie zaliczałem go bowiem do ludzi życzliwych sprawie polskiej. [...] Gdym przybył do Paryża, zastałem już fakt dokonany. 4 czerwca [1917] ukazał się dekret prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej, którego artykuł pierwszy brzmiał:

„Tworzy się we Francji na czas wojny samoistną armię polską pozostającą



pod rozkazami wysokiego dowództwa francuskiego i walczącą pod sztandarem polskim”. [...]

Podpisany przez prezydenta Rzeczypospolitej, Poincarégo, kontrasygnowany przez prezesa Rady Ministrów i ministra spraw zagranicznych, Ribota, oraz przez ministra wojny, Painlevégo, dekret ten był wielkim aktem państwowym. Był on wszakże wewnętrznym aktem francuskim. Robił sprawę armii polskiej sprawą francuską, nie zaś sprawą wszystkich sprzymierzonych. To redukowało jej pozycję, nie dawało jej charakteru armii całkiem samoistnej, na którym nam zależało.

Francja wszakże, biorąc sobie zwierzchność nad armią polską, jednocześnie zapewniła organizację i utrzymanie tej armii, rozwiązując kwestię, której my przecie rozwiązać nie mogliśmy.

Motywy działania rządu francuskiego były całkiem zrozumiałe. Jako państwo głównie zainteresowane w położeniu na kontynencie europejskim i najwięcej zagrożone przez rozkład Rosji, Francja najściślej ze wszystkich sprzymierzonych była związana ze sprawą organizacji nowych państw w Europie Środkowej. Stąd jednoczesne wzięcie przez nią w ręce sprawy organizacji armii polskiej i czesko-słowackiej. Z drugiej strony, Francja – przez swą tradycję – ze wszystkich sprzymierzonych najbliższej była związana z Polską i z przeszłością nowoczesnej armii polskiej. Jeżeli tedy organizacja armii polskiej miała nie być sprawą wszystkich sprzymierzonych, ale tylko jednego z nich, to niewątpliwie rola ta należała się Francji.

Nie można też było na tworzenie armii polskiej podczas wojny patrzeć wyłącznie jako na akt polityczny. Trzeba było myśleć o tym, żeby to było dobre wojsko, które by przyniosło chlubę imieniu polskiemu w wojnie i które byłoby zdrowym zawiązkiem armii przyszłego państwa polskiego. Żadne zaś z państw sprzymierzonych nie stało tak wysoko pod względem wojskowym jak Francja i organizacja nowego wojska pod kierunkiem armii francuskiej, w jej szkole i w jej duchu, dawała pod tym względem najlepsze widoki.

[...] Bezpośrednio po wydaniu dekretu o armii polskiej ustanowiono Misję Wojskową Francusko-Polską, której zadaniem było zorganizowanie tej armii. [...] Misja szybko się zorganizowała i energicznie wzięła się do pracy. Zaczątek armii stworzono z oficerów i żołnierzy armii francuskiej, będących Polakami lub przynajmniej potomkami Polaków. Było to bardzo szczęśliwe, bo tym sposobem nowa armia otrzymała od razu gotowych oficerów, podoficerów i żołnierzy dobrej szkoły, a wśród nich pewną liczbę gorących Polaków, acz przeważnie takich, którzy Polski nigdy nie widzieli, lub Francuzów z polskimi nazwiskami, zachowujących



w pamięci ojczyznę swych ojców lub dziadów, emigrantów z 1863 i 1831 roku. W następstwie zwrócono się do Polaków w Stanach Zjednoczonych, którzy za aprobatą swego rządu zorganizowali zaciąg na szeroką skalę; zaczęto werbować ochotników polskich w Brazylii, w internowanych oddziałach rosyjskich z Francji i Salonik, wreszcie w Holandii, wśród licznych tam uchodźców z Niemiec, robotników, zagarniętych przez Niemców przeważnie na bruku warszawskim i łódzkim, i wywiezionych gwałtem do kopalń westfalskich.

Organizacje polskie w Stanach Zjednoczonych zaciągały szybko ochotnika, ale nie spieszyły się z jego wysyłaniem: uzależniły to one od naszego stanowiska względem nowej armii. Ta lojalność organizacji polsko-amerykańskich, które w tej doniosłej sprawie, jak i w innych, uznały kierownictwo ludzi prowadzących politykę polską na zachodzie Europy, była jedną z głównych podstaw naszej pozycji, jednym z warunków powodzenia naszych usiłowań. Wynikała ona stąd, że jedyną ambicją ludzi stojących na czele organizacji polsko-amerykańskich, jak Jan Smulski, [Kazimierz] Żychliński, [Nikodem] Piotrowski, ks. [Władysław] Zapała (obecny generał oo. zmartwychwstańców), biskup [Piotr Paweł] Rhode i inni, było zrobić jak najwięcej dla Polski, przyczynić się jak najskuteczniej do jej wyzwolenia. Twierdzę to z całą stanowczością, że w tej wielkiej chwili dziejowej żaden z odłamów naszego narodu nie spełnił lepiej swego obowiązku od rodaków naszych w Ameryce. [...]



68. Powstanie Komitetu Narodowego Polskiego.

[Roman Dmowski, *Polityka polska i odbudowanie państwa*, wyd. 2, komentarzem opatrzył Tomasz Wituch, Warszawa, Instytut Wydawniczy PAX, 1989].

Rząd francuski od początku rozumiał, że równoległe z tworzeniem armii polskiej na Zachodzie musi powstać organizacja polityczna polska, która będzie współdziałała z nimi w tworzeniu tej armii i która będzie za nią przed Polską odpowiedzialna. Rozumiał też, że organizację taką możemy stworzyć tylko my, kierownicy polityki polskiej w państwach sprzymierzonych. Od chwili ogłoszenia dekretu o armii polskiej, mieliśmy zapewnione poparcie rządu francuskiego w sprawie oficjalnego uznania organizacji politycznej, którą stworzymy.

Najpilniejszym tedy zadaniem naszym w owej chwili stało się stworzenie oficjalnej organizacji i reprezentacji polityki polskiej w państwach sprzymierzonych, ujęcie przez nią ze strony politycznej spraw armii polskiej we Francji, wreszcie osiągnięcie formalnego stanowiska obywateli polskich dla przebywających w państwach sprzymierzonych Polaków, dotychczasowych poddanych państw rozbiorecznych.

15 sierpnia 1917 roku na zjeździe w Lozannie założyliśmy Komitet Narodowy Polski z siedzibą w Paryżu. Zadaniem Komitetu było:

1. kierownictwo i reprezentacja polityki polskiej w państwach sprzymierzonych;
2. kierownictwo sprawami politycznymi armii polskiej we Francji oraz moralna i materialna opieka nad nią; wreszcie
3. opieka cywilna (konsularna) nad Polakami przebywającymi w państwach sprzymierzonych.

Komitet zatem miał funkcje rządu polskiego w zakresie ministerstwa spraw zagranicznych i częściowo ministerstwa wojny.

Założono Komitet w składzie możliwie najszcuplejszym, wprowadzając do niego tylko ludzi niezbędnych, z przewidywaniem możliwych uzupełnień w przyszłości.

Skład ten w początku był następujący:

Roman Dmowski, Erazm Piltz i Maurycy Zamoyski w oficjalnej siedzibie Komitetu, w Paryżu, przy czym Piltz z funkcjami delegata Komitetu do stosunków z rządem francuskim; Władysław Sobański, przedstawiciel Komitetu w Londynie; Konstanty Skirmunt, przedstawiciel w Rzymie; Marian Seyda z Poznania i Jan Rozwadowski ze Lwowa, przedstawiający w Komitecie zabory pruski



i austriacki, przebywający na razie w Szwajcarii, potem w Paryżu; wreszcie Ignacy Paderewski w Stanach Zjednoczonych, jako przedstawiciel Komitetu przy rządzie waszyngtońskim oraz wobec organizacji polskich w Ameryce, mających na swym czele Wydział Narodowy w Chicago. [...]

Gdy to nastąpiło [uznanie KNP przez państwa ententy], Komitet miał przede wszystkim do rozstrzygnięcia trzy kwestie: formę zainaugurowania swej działalności, stosunek do armii polskiej we Francji, wreszcie kwestię swych finansów. [...]

Rząd francuski oczekiwał od Komitetu, że zacznie od poparcia całym swym autorytetem zaciągu ochotników do armii polskiej, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Myśmy wszakże tego zrobić nie mogli, dopóki formowanie tej armii odbywało się niezależnie od Komitetu. Oświadczyliśmy, że będziemy popierali rekrutację do takiej armii, za którą będziemy mogli wziąć całkowitą odpowiedzialność, to znaczy, której skład od nas będzie zależał.

Muszę stwierdzić, iż rząd Rzeczypospolitej rozumiał nasze stanowisko i był skłonny zapewnić nam należyty wpływ na wojsko. Przeszkody pochodziły ze strony niedających się bliżej określić czynników, mających, zdaje się, główną siedzibę w ministerium wojny. Dość, że sprawa się zanadto przewlekała, wywołując nawet przykre momenty w stosunkach moich z Quai d'Orsay.

Ja widziałem to, czego rząd francuski widzieć nie mógł, mianowicie, że nieopatrzna rekrutacja wprowadza do młodej armii żywioły bądź niepolskie, bądź moralnie niepewne, od których może się zacząć rozkład tego wojska, zanim będzie ono zorganizowane. Wreszcie, po niemałych trudach osiągnęliśmy to, o co nam chodziło. Decyzja co do nowych zaciągów, zwłaszcza co do każdego z osobna oficera przyjmowanego do armii polskiej, uzależniona została od zgody Komitetu. Komitetowi przyznane zostało prawo dozoru nad wewnętrznymi stosunkami w armii, otrzymaliśmy możliwość usuwania żywiołów niepożądanych. Ze swej strony Komitet uznał armię za swoje przedsięwzięcie i poparł całą siłą zaciąg ochotników. [...]



69. Memoriał w sprawie uznania niepodległości Polski.

[Pro memoria złożone przez R. Dmowskiego sekretarzowi stanu, Balfourowi po rozmowie dnia 25 marca 1917 roku w Londynie w sprawie uznania niepodległości Polski przez mocarstwa sprzymierzone wspólnie z Rosją [w:] Roman Dmowski, *Polityka polska i odbudowanie państwa*, wyd. 2, komentarzem opatrzył Tomasz Wituch, Warszawa, Instytut Wydawniczy PAX, 1989]

[...] Nie ma żywiołów w Polsce, które by oczekiwały czegoś dobrego dla swego kraju od Rosji, i wszystkie nadzieje przeciwniemieckiej większości zwracały się do państw zachodnich. Oczekiwano na próżno stanowczej deklaracji tych państw co do przyszłości Polski. Odpowiedź sprzymierzonych prezydentowi Wilsonowi była wyzyskana przez agitatorów na rzecz Niemiec, jako dowód, że państwa zachodnie pozostawiają całkowicie Rosji rozstrzygnięcie kwestii polskiej. Sens tego oświadczenia został przeinaczony, a znaczenie jego przesadzone, co przyczyniło się do wzmocnienia wpływu niemieckiego.

[...] Niebezpieczeństwo jest tym większe, iż nie jesteśmy wcale zabezpieczeni przed jakąś deklaracją nowego rządu rosyjskiego, że kwestia polska będzie zdecydowana przez rosyjską Dumę – bo takie jest stanowisko pewnym wybitnych liberałów, a w szczególności p. Miliukowa.

Tego rodzaju deklaracja spowodowałaby wybuch oburzenia wszystkich Polaków bez wyjątku i bardzo prawdopodobną odpowiedzią na nią byłoby tworzenie armii polskiej pod auspicjami Niemiec dla obrony niezawisłości Polski przeciw Rosji.

Jest wszakże możliwość uprzedzenia tego niebezpieczeństwa. Deklaracja rządów państw sprzymierzonych, że Polska będzie zjednoczona i odbudowana jako niezawisłe państwo, w warunkach pozwalających jej przyczynić się, wraz z innymi narodami do utrzymania równowagi europejskiej – zadowoliliby nie tylko większość Polaków, którzy pokładają swe nadzieje w sprzymierzeńcach, ale z pewnością wywarłaby silne wrażenie na wielu z tych, którzy przez nienawiść do Rosji stanęli po stronie państw centralnych.

Dotychczas warunki dla takiej deklaracji były bardzo trudne: stary rząd rosyjski był bardzo uparty w utrzymywaniu teorii, że kwestia polska jest kwestią wewnętrzną Rosji. To stać się może również teorią nowego rządu, gdy nowy porządek rzeczy w Rosji mniej więcej się ustali. W obecnym wszakże momencie przejściowym, w pierwszym wybuchu rewolucyjnego entuzjazmu, w atmosferze pryncypiów z przeważającą dążnością do radykalnego rozstrzygnięcia wszelkich zagadnień, Rząd Tymczasowy rosyjski byłby dostępniejszy. Nie przedstawiałoby wielkiej trudności osiągnięcie od Rosji akcesu do deklaracji sprzymierzonych, że Polska



będzie niepodległym państwem, a jej przyszłość będzie określona na konferencji międzynarodowej. Z pewnością p. Miliukow i niektórzy inni nie zgodzą się na to bardzo chętnie, ale z drugiej strony, krok ten spotka się z poparciem żywiołów bardziej radykalnych, które wywierają teraz silny nacisk na nowy rząd.

Główne warunki osiągnięcia tego są, jak mi się zdaje, następujące:

1) powziąć kroki bezpośrednio w Piotrogradzie u nowego rządu Rosji przez przedstawicieli państw sprzymierzonych;

2) nie traktować z przedstawicielami dyplomatycznymi Rosji za granicą, którzy mogą być skłonni do utrzymania postawy dawnego rządu i obawialiby się wziąć odpowiedzialność za zmianę w tej postawie, wreszcie;

3) działać szybko i stanowczo, wychodząc z założenia, że od szybkiej decyzji losy wojny w znacznej mierze zależą.

Ostatni wzgląd jest realniejszy, niż to może się zdawać. Jednym ze skutków rewolucji może być rozkład dyscypliny w armii rosyjskiej, który znacznie obniży jej wartość. Gdyby w tym samym czasie utworzono armię polską do walki po stronie państw centralnych, równowaga sił walczących znacznie by się naruszyła na korzyść państw centralnych.

Jest tu kwestia nie tylko sił fizycznych – *prestige* nowej Rosji wymaga z jej strony uznania zasady wolności narodów. Naród rosyjski, który zrzucił jarzmo starych rządów nie chcąc być rządzony wbrew swej woli, nie może utrzymywać stanowiska, że naród polski ma być rządzony wbrew swej woli przez Rosjan i że jego losy mają być decydowane przez Rosję.

Jest tu także kwestia moralnego *prestige* wszystkich sprzymierzonych. Ich stanowisko w kwestii polskiej, przeciwne dotychczas zasadzie wolności narodów, było usprawiedliwione przez trudności, jakie mieli oni ze starym rządem rosyjskim. To usprawiedliwienie dziś znika i będą narażeni na oskarżenie o brak szczerości przez opinię krajów neutralnych i małych narodowości.

Trzeba dodać, że proaliantcy przywódcy Polaków utrzymywali dotychczas wśród swych rodaków wiarę w sprzymierzonych, wykazując, że alianci byli zmuszeni postępować ostrożnie z reakcyjnym i germanofilskim rządem rosyjskim, ażeby nie utracić współdziałania Rosji w wojnie. Teraz, po rewolucji rosyjskiej, tracą oni ten argument i są zagrożeni utratą wpływu w kraju, który może dostać się pod władzę żywiołów germanofilskich.

Rosjanie muszą zrozumieć, że deklaracja o niepodległość Polski nie będzie żadną miarą aktem przeciwrosyjskim. Dla Rosji w tym krytycznym okresie jej dziejów, w którym leży przed nią wielkie i trudne dzieło przebudowy, praca – może być, na



parę pokoleń – jest rzeczą wielkiej wagi mieć możliwość przeprowadzenia tego dzieła bez interwencji potężnego sąsiada niemieckiego. Ustanowienie państwa polskiego pomiędzy Rosją a Niemcami, będzie w znacznej mierze zabezpieczeniem od takiej interwencji. Z drugiej strony, wielka reforma konstytucyjna jest trudniejsza, gdy ją komplikują zagadnienia narodowe, zaś wśród zagadnień narodowych Rosji kwestia polska była największa i najniebezpieczniejsza. Nie ma wątpliwości, że w tym okresie przejściowym Rosja okazałaby się całkiem niezdolna do poradzenia sobie ze swymi zagadnieniami narodowymi, gdyby Polska należała do państwa rosyjskiego.

Dodajmy w końcu, że jakkolwiek dyskusja w sprawie granicy między Polską a Rosją, która mogłaby być proponowana ze strony rosyjskiej, dziś niepotrzebnie komplikowałaby sprawę, i winna być odłożona do końca wojny.



70. „[...] wybiła godzina Złotu nad Złotami!”

[Odezwa Wacława Gąsiorowskiego [w:] *Czyn zbrojny wychodźstwa polskiego w Ameryce. Zbiór dokumentów i materiałów historycznych*, Nowy Jork – Chicago, Wydawnictwo Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, 1957]

Druhowie!

Niech będzie pochwalone imię Sokolstwa Polskiego na wieki!

Niech będzie błogosławioną Opatrzność, która nam godziny tak radoszej pozwoliła doczekać!

Z inicjatywy Rzeczypospolitej Francuskiej, tu, we Francji tworzy się, w tej chwili, samodzielna, autonomiczna, narodowa Armia Polska.

Armia ta będzie miała sztandary polskie, komendę polską, uniformy polskie i przysięgać będzie Polsce Zjednoczonej i Niepodległej!

Wszyscy Oficerowie i Żołnierze – Polacy, znajdujący się na Zachodnim froncie, w szeregach Aliantów, w Maroku, Algierii czy pod Salonikami, będą złączeni w jednym obozie polskim, aby utworzyć kadry Armii Polskiej! Wszystkie stopnie oficerskie nowozaciężnych Polaków będą im przyznane w Armii Polskiej, wszystkie rangi Sokole będą miały należne zachowanie.

Jako wiecie, Druhowie, nasz Związek, od chwili wybuchu wojny dotrzymał wiernie ślubów sokolich. On był organizatorem i inicjatorem zastępów woluntarskich w Armii Francuskiej, on poniósł na polu chwały bolesne szczyby. Naczelnik Związku legł śmiercią walecznych pod Arras, obok niego padł prezes Gniazda „Barlin”, otoczony łańcem Druhów, którzy życiem własnym okupili tragedie męstwa polskiego Żołnierza.

Aż do chorążego Woluntariuszów, Szuyskiego, Sokolstwo polskie naszego Związku dało szeregom polskim ochotniczym we Francji, tym budowniczym prawdziwym powstającej dzisiaj Armii Polskiej, kwiat Młodzieży.

Dzisiaj poniesie na szalę naszej Sprawy Świętej swój rdzeń!

Bracia Sokoli, na zlot Was wzywam, na zlot pod ojczyste sztandary, na budowanie kamienia węgielnego Zjednoczonej i Niepodległej Polski!

Przybywajcie, stawcie się co do jednego, Armię Polską pomnóżcie!

Wy, Druhowie, za morzami i za granicami, szukajcie natychmiast pomocy Francuskich Ambasad i Konsulatów, a będzie ona Wam zapewniona, abyście co prędzej szeregów ojczystych dosięgli.

Wy, Druhowie, tu, na Ziemi Francuskiej, zgłaszajcie się wprost do Misji



Wojskowej Francusko-Polskiej.

Nie omieszkajcie, bo wybiła godzina Zlotu nad Zlotami!

Latami jej wyglądaliście – oto nadeszła nareszcie!

Bracia Sokoli, ten, któremu danym było Wam tu, na Zachodzie Europy, przewodniczyć, staje pod sztandarem, uważa za swój prosty obowiązek i za największy honor dla siebie, iż wolno mu jest zostać Pierwszym Wolontariuszem tworzącej się Armii Polskiej.

Na Zlot, Druhowie, w pojedynkę, samotrzeć, czyli pełnymi Gniazdami, czyli w opowie Waszych Okręgów i Organizacji wojskowych, przybywajcie!

Wyglądam Was, czekam! Stawcie się wszyscy, co do jednego, boście Sokoli, boście Polacy, boście wierni Synowie naszej Matki-Ziemi!

Czołem! **Wacław Gąsiorowski**, Prezes Polskiego Zachodnio-Europejskiego Związku Sokolego. Pierwszy Wolontariusz Armii Polskiej we Francji.



71. „Prawa nasze do ZJEDNOCZONEJ I NIEPODLEGŁEJ O J C Z Y Z N Y zostały nam przyznane”.

[Z odezwy Wydziału Narodowego Polskiego Centralnego Komitetu ratunkowego w Ameryce [w:] *Czyn zbrojny wychodźstwa polskiego w Ameryce. Zbiór dokumentów i materiałów historycznych*, Nowy Jork – Chicago, Wydawnictwo Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, 1957. Odezwę zredagowali Ignacy J. Paderewski, S. Sz wajkart i ks. Władysław Zapala. Ukazała się w prasie polsko-amerykańskiej 22 września 1917 r.]

Rodacy!

Uważając akt z 5-go listopada 1916 r. za zamach na wielkość Ojczyzny, za nową krzywdę wyrządzoną całości narodu, Wydział Narodowy PCKR w Ameryce, we właściwym czasie wystąpił z energicznym protestem. [...] W dniu 22 stycznia br. ozwał się potężny, i uroczysty głos Stanów Zjednoczonych. Z dostojnych ust orędownika Polski, Prezydenta Wilsona, padły słowa, dzięki którym zmienił się od razu stosunek rządów państw sprzymierzonych do sprawy naszej.

Orędzie Prezydenta, jak zresztą później wyraźnie w swej odpowiedzi do nas zaznacza p. Milukow, stało się podstawą odezwy tymczasowego rządu rosyjskiego do Polaków. Pośrednim jego następstwem były oświadczenia urzędowe Anglii, Francji i Włoch, oraz znamienna mowa p. Bonar Law w parlamencie angielskim. Prawa nasze do **zjednoczonej i niepodległej O j c z y z n y** zostały nam przyznane.

W dniu 4-go czerwca br. Prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej uznał państwowość Polski odnośnym dekretem, powołując do życia samoistną Armię Polską. U stóp pomnika Kościuszki przedstawiciel Francji, dzisiaj już minister, Franklin H. Bouillon, w imieniu rządu Rzeczypospolitej **poprzysiął: „Wolność i niepodległość”** całej zjednoczonej Polski.

Drobna garstka ludzi na swój sposób Ojczyznę miłujących przyjęła akt 5-go listopada jako ziszczenie skromnych swych marzeń. Zachowanie się trzech naszych dzielnic oraz olbrzymiej większości rodaków naszych na obczyźnie rozproszonych, dowiodło natomiast, że żądania narodu sięgają dalej, że Polska nie chce stać się małym, okaleczonym, ujarzmionym państwkiem w „Mitteleuropa”, lecz pragnie być zjednoczoną, całą i wielką.

Rodacy nasi z zaboru pruskiego nad obietnicami państw centralnych przeszli do porządku dziennego. Kongresowe Królestwo, mimo tak długi okres bezprzykładnych nieszczęść i cierpień, zajęło stanowisko biernego oporu i utrzymało je z godnością i powagą. Utworzenie armii, na której państwowym centralnym tak wiele zależało nie przyszło do skutku. Naród nie dał – i **dobrowolnie** nie da Niemcom żołnierza.



Szczupły zastęp ochotników odmówił złożenia przysięgi na wierność dwom cesarzom i dziś bądź do armii austriackiej wcielony, bądź rozbrojony, los jeńców wojennych dzielić musi.

Wolni rycerze wolnej rzekomo Polski pod strażą niemiecką... Twórca Legionów, wódz ich waleczny, Józef Piłsudski, w niewoli pruskiej...

Najmniej stosunkowo skrępowana Galicja, w uchwałach powziętych przez izby poselskie, stwierdzonych przez miasta, wszechnice, związki, przez młodzież ze wszystkich stronnictw, oświadczyła się stanowczo za Polską niepodległą, zjednoczoną, całą, z dostępem do morza.

Kongres polski w Moskwie wypowiedział się również w tym duchu.

Bez pychy, aczkolwiek nie bez radości, Wydział Narodowy zaznaczyć może, iż w zaszczytnym przypadku mu udziale stać się w dziejowej chwili rzecznikiem uczucia i woli olbrzymiej większości narodu polskiego.

Atoli nikomu nie przysługuje przywilej wyłączny przemawiania w imieniu narodu. Żadna osobistość, żaden Komitet, żadne Stronnictwo, choćby najpotężniejsze, nie może sobie przywłaszczyć tytułu i prawa być całej Polski rzecznikiem i zastępcą.

Wychodząc z tej zasady, uznając porę za odpowiednią, Wydział Narodowy wystosował do stronnictw, komitetów i wybitnych osobistości polskich, do których zgłosić się było można, gorącą prośbę, iżby natychmiast się porozumiały i wytworzyły wspólnie moralne kierownicze ciało polityczne. Tylko takie ciało złożone z przedstawicieli, o ile to możliwe, wszystkich poważnych stronnictw politycznych polskich, może mieć prawo do przemawiania imieniem narodu, do kierowania polityką polską, do prowadzenia spraw naszych zagranicą.

[...] Godzina doniosłych rozstrzygań, historycznych postanowień, już się zbliża. Zjednoczenie ziem polskich od zjednoczenia sił naszych zależy. O jedności Ojczyzny jedność Narodu stanowić będzie.

Świat na nas patrzy. Coraz częściej dają się słyszeć zarzuty, że nie ma wśród nas zgody, że brak jedności.

Trwała zgoda nie jest z tego świata. Nie żądamy rzeczy nadludzkich. Zwracamy się jednak do wszystkich, do przyjaciół i politycznych przeciwników, zarówno do tych, co się w dobrej wierze mylili, jak i do tych, którym wypadki przyznały słuszność, z wezwaniem braterskim, iżby chociaż czasowo zaprzestali gorszących sporów. Prosimy wszystkich w imię świętej sprawy, o jedność niezbędną dla dopięcia celu. Prosimy wszystkich gorąco, iżby poparli uczciwe zamiary i usiłowania nasze.

Stańmy wszyscy razem, powagą zgodni, z ufnością w opiekę i poparcie Stanów Zjednoczonych i ich Prezydenta, powiedzmy światu, że jakkolwiek możemy się



różnić w poglądach na przyszły ustrój wewnętrzny Ojczyzny – jedynym dziś pragnieniem wszystkich i każdego: **wolna, cała, niepodzielna Polska i Gdańsk, port nasz odwieczny!**

[...]



72. 22 czerwca 1918 roku: wręczenie sztandarów Armii Błękitnej.

[Z opracowania *Czyn zbrojny wychodźstwa polskiego w Ameryce. Zbiór dokumentów i materiałów historycznych*, Nowy Jork – Chicago, Wydawnictwo Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, 1957]

W obecności przedstawicieli armii sprzymierzonych Komitet Narodowy, sprawujący polityczne kierownictwo Armii Polskiej i uznany przez cztery mocarstwa sprzymierzone za oficjalną organizację polską zagranicą, wręczał sztandary Prezydentowi Rzeczypospolitej Francuskiej z prośbą, ażeby on wręczył je Armii Polskiej, zastępując w tym nieistniejącą dziś jeszcze zwierzchniczą władzę państwa polskiego.

Otrzymało sztandary młode wojsko polskie, złożone z ochotników, którzy tak jak przed wiekiem legioniści Dąbrowskiego zbiegli się ze wszystkich stron, aby walczyć o odzyskanie Ojczyzny.

Największej liczby dostarczyli wychodźcy z Ameryki, stwierdzając tym nierozzerwalność węzłów z Polską, wytwarzając wiekopomną tradycję ofiary i zasługi narodowej emigracji polskiej za oceanem i zastępując kraj macierzysty, odcięty w tej chwili od Francji linią nieprzyjacielskiego frontu. Ale obok nich stanęły tysiące ochotników ze wszystkich części Polski: z Wielkopolski i Śląska, z Królestwa i z Galicji, z Litwy i Rusi, a duży też zastęp dała emigracja francuska i to takich, którzy walczyli już od początku wojny i których liczni towarzysze broni, złożąwszy życie w ofierze, nie doczekali tej chwili.

Obok żołnierzy z armii amerykańskiej i kanadyjskiej znaleźli się tu weterani z armii francuskiej i rosyjskiej, żołnierze którzy porzucili szeregi niemieckie i austriackie, legioniści z pod Piłsudskiego, zbratani dzisiaj z oficerami korpusów polskich w Rosji.

Sztandary ofiarowały wojsku polskiemu cztery miasta francuskie: Paryż, Verdun, Belfort i Nancy.

Oto brzmienie jednomyślnej uchwały Rady miejskiej Paryża z dnia 25 marca, 1918 roku:

„Rada, pragnąc uczcić męstwo Polaków z Europy i Ameryki, którzy przyszli walczyć u boku armii francuskiej za sprawę prawa, honoru i sprawiedliwości, postanawia ofiarować w holdzie Armii Polskiej jej pierwszy sztandar”.

Jeszcze wcześniej, bo 28 lutego 1918 [r.], powzięto podobną, również jednomyślną uchwałę, bohaterskie miasto Verdun, na wniosek swego Prezydenta, p. Robin, który uzasadniając go powiedział:



„Hołdem męczeńskiego miasta dla męczeńskiego narodu, a zarazem wielkim zaszczytem dla miasta Verdun będzie ofiarowanie sztandaru, godła ich dalekiej ojczyzny, walecznym, którzy razem ze sprzymierzonymi armiami walczyć będą za sprawę sprawiedliwości i prawa oraz za odbudowanie wielkiej Polski, przyjaciółki Francji”.

Miasto **Belfort**, dnia 13 kwietnia 1918 r., powzięło zaś następującą uchwałę:

„Zważywszy, że Polacy zamieszkali we Francji zaciągają się, aby walczyć z Niemcami i bronić świętej sprawy wolności, formowani w pułki, mające stanąć obok wojsk naszych i z nami sprzymierzonych, że Verdun i Paryż, miasta-ofiary niemieckiego barbarzyństwa, ofiarowały dwu pierwszym pułkom polskim sztandar, znak ich uciśnionej ojczyzny, że miasto Nancy, które także doznało straszliwych bombardowań, zamierza również ofiarować sztandar jednemu z utworzonych pułków polskich, zważywszy, że miasto Belfort, które od początku działań wojennych ulega częstym bombardowaniom dział i płatowców niemieckich, winno iść za przykładem wslawionego miasta Verdun i miasta Paryża i ofiarować Polakom sztandar, pod którym walczyć będą u naszego boku, aby pomścić swoją Ojczyznę i okrucieństwa popełniane przez Niemców, postanawia po przeprowadzonej dyskusji: ofiarować sztandar jednemu z tworzonych pułków polskich.”

Wreszcie 8 maja 1918, miasto **Nancy** uchwaliło, co następuje:

„Rada miejska jednomyślnie oświadcza, że miasto Nancy czuje się szczęśliwym i dumnym, że może ofiarować mężnym strzelcom polskim 3-go pułku I-szej dywizji sztandar, który ich powiedzie do zwycięstwa”.

Specjalny pociąg, wiozący Prezydenta Rzeczypospolitej, Rajmunda Poincaré i zaproszonych przez niego gości, opuścił Paryż 21 czerwca wieczorem. Nazajutrz rano długi sznur szarych samochodów wojskowych posuwał się od małej stacji w Szampanii ku odległej o kilkanaście kilometrów rozległej równej polanie, otoczonej ciemnymi lasami. Na wszystkie strony, jak daleko wzrok sięgnął, błękitniały szeregi wojska. [...]



73. Virtuti kapitana Krzywkowskiego-Wolińskiego.

[*Czyn zbrojny wychodźstwa polskiego w Ameryce. Zbiór dokumentów i materiałów historycznych*, Nowy Jork – Chicago, Wydawnictwo Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, 1957]

[...]

3. **Wykonanie natarcia.** Rozkaz natarcia dla komp[ani] 5-ej otrzymał dowódca II/1 psp w d[owódz]twie Assas, do którego był zawezwany około godziny 12.00 dnia 24 lipca.

Powrót z dowództwa Assas około godziny 17.00. Czas od tej godz. do godz. 3.00 rano, zużyty był na wywiad terenu przez kpt. Piekarskiego i kpt. [Jana] Krzywkowskiego-Wolińskiego, d[owó]cy 5 kompanii; wybór podstawy wyjściowej, którą wybrano 100 mtr. na płd. od naszej placówki Ba, zluzowanie 5-ej kompanii II/1 psp przez kompanię francuską 17 pp, wydanie żywności, amunicji i wreszcie rozmieszczenie na podstawie wyjściowej.

O godz. 23.00 zaszła zmiana w rozkazie natarcia, a mianowicie: na skutek interwencji d[owó]cy piechoty dywizyjnej zamiast kpt. Piekarskiego został wyznaczony kpt. Charrier, kapitan adiutant 11/17 pp. Zmiana ta była umotywowana tym, że kpt. Charrier znał przedpole nasze i pozycję nieprzyjacielską, jako że przed 15 lipca baon jego obsadzał teren zajmowany obecnie przez Niemców. Zmiana ta przyszła dosyć późno, gdy już zarządzenia były wydane przez kpt. Piekarskiego i miała tę niewygodną stronę, że na osi marszu polskiej kompanii, kazała posuwać się kapitanowi francuskiemu, któremu trudno było porozumieć się z kompanią polską.

O godzinie 3.30 – wyznaczone kompanie wyruszyły do natarcia każda z jednym plutonem wsparcia z tyłu. Za 5-tą kompanią II/1 psp posuwał się pluton 7-ej kompanii pod d[owódz]twem chor. Chrzana.

5-ta kompania porwana zapalem kpt. Krzywkowskiego-Wolińskiego już o godz. 4.23 (rakietą białą) osiągnęła swój przedmiot natarcia, płn. skraj lasu Racquette, i sama jedna wysłała na tyły około 120 jeńców i 12 k[arabinów] m[aszynowych] nieprzyjaciela. (Świadectwo kpt. Charrier). Przy pierwszym zatknięciu się z Niemcem ginie śmiercią walecznych ppor. Bauer z 5 kompanii (ochotnik z Detroit, Mich[igan] – Ameryka Północna). 7-ma kompania 11/17 p. p. napotkała na silny opór i osiągnęła swój przedmiot z opóźnieniem, bo dopiero o godzinie 5-tej. Na prawo 4 kompania 7 b[aonu] strz[elców] alp[ejskich], przybyła pod swój przedmiot



natarcia trochę później i zatrzymana na 100 metr. przed tym przedmiotem ogniem pośrednim k[arabinów] m[aszynowych] dalej się już nie posunęła.

Godz. 6-ta. – Nieprzyjaciel ostrzeliwuje silnym i gęstym ogniem 150-tek nasze pierwsze linie i rowy komunikacyjne. Godzina 8.00. – Przez dowództwo pułku przeszło z górą 160 jeńców należących do 99 pp i 66 pp niemieckich. Według ich zeznań, pułki te zajmowały dnia 25 lipca jednym baonem grzbiet lasu Racquette, drugi baon niemiecki znajdował się na naszej dawnej linii redut, trzeci baon w odwodzie dawnej pierwszej linii niemieckiej.

Godzina 9.00 – w prawo 4/7 baonu strz[elców] alp[ejskich] nadal znajduje się przed swym przedmiotem. W centrum 5 komp. znajdująca się pod druzgocącym ogniem artylerii zostaje kontratakowaną 5 razy. Kompania ponosi bardzo duże straty w szczególności w podoficerach, którzy walczą z samozaparciem się i giną ofiarnie. Amunicja zaczyna się wyczerpywać, zaopatrzenie postępuje powoli z powodu silnego ognia artylerii niemieckiej. Podczas czwartego przeciwuderzenia nieprzyjaciela, jeden pluton ustępuje – kpt. Krzywkowski-Woliński powiadomiony o tym, prowadzi go z powrotem na linię ognia. Wracając na swe stanowisko zostaje zabity przez pocisk artyleryjski, o godzinie 8.30. Po 5-tym przeciwuderzeniu strzelcy, nie posiadając już amunicji, pozbawieni dwóch oficerów i większości podoficerów, nacierani gwałtownie, powoli zaczęli się wycofywać.

Na lewo w tym samym czasie 6 komp[ania] 17 pp zostaje również gwałtownie zaatakowaną i nie może utrzymać lasu Volant i wycofuje się do zagajnika 300 m na pld.-zach. od Volant. [...]

Godzina 18.00. – Cały lasek Ba, znajduje się pod silnym ogniem artylerii nieprzyjacielskiej. Plutony 5 i 6 kompanii otrzymują rozkaz posuwania się wzdłuż rowu de l'Est na A. B.

Godzina 18.00 – 19.00. – Nieprzyjaciel pod osłoną artylerii przechodzi do natarcia na Ba, dochodzi rowami do pld. skraju Ba, gdzie napotyka na ogień ckm i rkm naprędce ustawionych do strzału. Wywiązuje się walka na granaty, w której po jednej i drugiej stronie są duże straty. Po naszej stronie ginie ppor. B. Bartman, są ranni ppor. Wronowski z 5 kompanii i ppor. Rzewski z 6 komp., lekko ranny kpt. Piekarski.

Godzina 19.00 – 20.00. – Oddział kpt. Piekarskiego przechodzi do przeciwuderzenia w walce na granaty, dochodzi do przecięcia się lasku Ba z drogą 33 – 09, 30 – 13.

[...] W streszczeniu – natarcie wspaniale rozpoczęte, przedmioty natarcia szybko osiągnięte, wielka liczba jeńców, bo z górą 170. Następnie szybkie



przeciwuderzenie nieprzyjaciela, który druzgoce swą artylerią ciężko zajęte linie i połączenia. Nieprzyjaciel doprowadza do przeciwnatarcia 1 baon 66 pp, a około godz. 14.00 wzywa na pomoc swój 3 baon.

W ten sposób 2 komp. wzmocnione jedną złamały opór jednego pułku (66 pp) i zabrały mu 20 k[arabinów] m[aszynowych] i 170 jeńców. Pułk niemiecki poniósł duże straty nie tylko od ognia naszej piechoty, ale i również od naszej artylerii, która mogła ostrzeliwać przeciw nacierającą piechotę.

Straty polskie były dotkliwe w szczególności wśród oficerów: 3 oficerów zabitych – kpt. Krzywkowski-Woliński, ppor. Bauer, ppor. Bartman. 3 oficerów rannych – kpt. Piekarski, ppor. Wronowski, ppor. Rzewski. Szeregowych zabitych około 30. Rannych 70.

Najcięższą stratą była śmierć kpt. Krzywkowskiego-Wolińskiego, dowódcy 5 kompanii, wnuka emigranta 1830 r. Oficer ten, typ cnotliwego rycerza, gdy przybył do pułku nie znał jeszcze języka swych ojców. Po 6 miesiącach nie tylko mógł się rozmówić, lecz uczył sam żołnierzy. W człowieku tym gorzała miłość do nieznaney i dalekiej Ojczyzny. Jako talizman nosił pod kurtką krzyż *Virtuti Militari* swego dziada i zginął z tym krzyżem na piersiach, zasłużwszy nań chlubnie. Ciało jego najprawdopodobniej zostało pochowane przez Niemców na miejscu.

[...]

[Jan Krzywkowski-Woliński (1891–1918) poległ 25 lipca pod wzgórzem Bois de Raquette w Szampanii. Pośmiertnie został odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari*].



74. Przeciw traktatowi brzeskiemu.

[Z pamiętników Wincentego Witosa [w:] *Rok 1918 we wspomnieniach mężów stanu, polityków i wojskowych*, wybrał i oprac. Jan Borkowski, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1987]

[...] Mimo oficjalnych przyrzeczeń dawanych przez rząd austriacki, ostatnio jeszcze przez hr. Czernina, w miesiącu styczniu, mimo obietnic i zapewnień cesarza Karola dawanych różnym polskim politykom, nie tylko że pokój zawarto z bolszewikami bez przedstawicieli Polaków, ale pokojem tym, podpisanym w Brześciu Litewskim 9 lutego 1918 r., rozdarto Królestwo Polskie, oddając ziemię chełmską i podlaską utworzonemu tym traktatem Państwu Ukraińskiemu. Było to już po prostu niezrozumiałe bezprawie, jak i gwałt niesłychany, gdyż tak Chełmszczyzna, jak i Podlasie wchodziły zawsze w skład Królestwa, stanowiąc jego integralną część, zamieszkałe przy tym prawie wyłącznie przez ludność polską. [...]

Najsilniej oburzenie swoje manifestowała ludność polska w Galicji. Dzień 18 lutego 1918 r. został wyznaczony jako termin ogólnego, narodowego protestu. I rzeczywiście w tym dniu stanęło zupełnie wszelkie życie na całym obszarze Galicji, a częściowo i na Śląsku Cieszyńskim. Mimo że kraj był pod władzą wojskową, koleje zmilitaryzowane stanęły wszystkie, stanęła też praca w urzędach, fabrykach i wszelkich zakładach. W bardzo wielu kościołach odbywały się nabożeństwa z kazaniami wygłaszanymi z bardzo dużą odwagą, szczególnie przez młodych księży. W każdym mieście, miasteczku, wsi odbywały się masowe wiece demonstracyjne, na których przemawiali liczni mówcy, przedstawiając stan spraw i piętnując otwarcie w słowach najostrzejszych postępowanie rządu austriackiego i niemieckiego. Odruch ten, skierowany wyraźnie przeciw Austrii i Niemcom, przybrał takie rozmiary, jakich ani władze, ani inicjatorzy się nie spodziewali. Nie ominął on żadnej klasy ludności, gdyż do niego przyłączyli się także niemal wszyscy urzędnicy, mimo swej zależności służbowej. Szczególnie dużą odwagę pod tym względem wykazali kolejarze i to zarówno urzędnicy, jak zwyczajni pracownicy kolejowi.

Liczni dygnitarze państwowi, Polacy, odsyłali wprost pod adresem kancelarii cesarskiej we Wiedniu orderzy i odznaczenia, zrzekli się nadanych im tytułów, a w dołączonych pismach śmiało motywowali swoje postępowanie wywołane tą zbrodnią, jakiej dokonano na polskim narodzie przez oderwanie od Królestwa ziem, których polskość ludność tamtejsza opłacała tak drogo, bo potokami przelanej



męczeńsko krwi. Było też bardzo pocieszające, że tak chłopci jak i robotnicy nie tylko że brali udział masowy w demonstracjach, wiecach i nabożeństwach urządzanych, ale sami wiele zebrań urządzili i bardzo odważnie na nich przemawiali. Władze rządowe zachowywały się na ogół spokojnie, jakby obojętnie, nie chcąc czy nie mogąc przeszkodzić żywiołowemu i przez nie wywołanemu wybuchowi. W kilku miejscowościach wystąpiła policja, a najbardziej brutalnie zachowała się we Lwowie, gdzie zmasakrowała manifestujących studentów.

[...] Gwałt brzeski ruszył też mocno sumieniem narodu i zmusił leniwe społeczeństwo polskie do odnalezienia siebie i głośnego wypowiedzenia swej woli, na szczęście w tym wypadku zupełnie jednolitej. Nie zostało w tyle i Koło Polskie, ale poza kierownictwem akcji, którą ujęło w swe ręce, wydało do społeczeństwa polskiego także odezwę bardzo zdecydowaną:

„Rodacy! W ciężkiej i groźnej chwili odzywamy się do was my, Wasi posłowie i przedstawiciele w parlamencie austriackim. Pierwszy układ pokojowy w czwartym roku wojny światowej zawarty został kosztem naszych ziem, naszego ludu, męczeńskiej ziemi chełmskiej i podlaskiej, którą Niemcy i Austria wydały bezprawnie nowo tworzącej się republice ukraińskiej.

W ciągu strasznej wojny światowej naród polski postawił jako swój jedyny cel niepodległość i zjednoczenie Ojczyzny. Przez rzeki krwi milionów polskich żołnierzy, przez straszliwe spustoszenie kraju, przez głód i śmierć masową, przez bezmiar poświęcenia się i ofiar wszystkich – oparci o nieprzedawnione narodu polskiego prawo i wierząc w urzeczywistnienie praw narodu, głoszone jako cel wojny, byliśmy gotowi i gotowi jesteśmy wytrwać i nieustraszenie do tego celu dążyć.

Pierwszy traktat pokojowy zawarty 9 lutego 1918 r. w Brześciu uderzył w naród polski jak grom, jak zapowiedź złowroga, że militarizm niemiecki wraz z chytrą i nieszczęśliwą dyplomacją staroautriacką zamierzają ziemię polskie okaleczyć i naród polski we własnym jego kraju uczynić niewolnikiem i nędzarzem. Przyjaźń niemiecko-ukraińska, mająca się uregulować na trupie Polski i Litwy, chce zasiać nienawiść pomiędzy polskim i ukraińskim narodem, chce Polsce odebrać wszelkie znaczenie narodowe, państwowe, gospodarcze i uczynić z niej niewolnika państwa, przemysłu i handlu niemieckiego, niewolnika strzeżonego od wschodu wspólnie przez Niemcy i ukraińskie państwo.

Zamiast wolności nowa ma nas oczekiwać niewola, zamiast sprawiedliwego pokoju, opartego na wolnych, niepodległych i zjednoczonych narodach, zapowiedź nowych walk bratobójczych, nowych ofiar i nowej nędzy narodu polskiego.



W obliczu ludzkości cywilizowanej, oświadczamy, że nie chcemy sięgać po cudze dobro i cudze ziemie, lecz chcemy Ziemi Chełmskiej i Podlaskiej, które od wieków do Polski należą i są tej polski najdroższymi, bo męczeńskimi dziećmi. Tam lud siermiężny polski ginął od kul moskiewskich za Ojczyznę i za wiarę ojców, tam bohaterstwo opierał się przemocy, chytrości i gwałtom prawosławnych, rządowych rasyfikatorów. Tam krocie świadczyły krwią i łzami, że należą do Polski. Przed tym męczeństwem uginąć się musiała nawet triumfująca przemoc carskiej czarnej sotni. Teraz ten kraj ma stać się pomostem dla niemieckich żołnierzy i niemieckiego towaru w pochodzie na wschód Europy, nad Czarne Morze, do stóp Kaukazu. A Polacy pozbawieni łączności ze wschodem, celowo poróżnieni śmiertelną walką z Ukrainą, oddani na pastwę wyzysku i ucisku niemieckiego mają się stać podłożem potęgi pruskiej.

Rodacy! Nie ma Polaka, który by nie podjął walki celem unicestwienia tej haniebnej zbrodni, na nas zamierzonej. Podnosimy w imieniu polskiego zaboru austriackiego uroczysty protest przeciwko traktatowi w Brześciu i podejmujemy walkę celem jego obalenia. Pragnąc dać wyraz najpotężniejszy temu polskiemu protestowi, odwołujemy się do całego polskiego narodu i wszystkich narodów świata. W kraju zaś wzywamy wszystkie stronnictwa i wszystkie klasy do potężnego zjednoczenia wszystkich sił narodu. Zwołujemy na dzień 3 marca 1918 r. do Krakowa Koło Sejmowe. Żadna przemoc wroga ani podstęp żaden nie złamie potężnego narodu, gotowego do wszelkich ofiar i walki za zjednoczoną niepodległą Polskę”.



75. Protest Żelaznej Brygady.

[„*Rozkwitały pąki białych róż...*”. *Wiersze i pieśni z lat 1908–1918 o Polsce, o wojnie i o żołnierzach*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Andrzej Romanowski, Warszawa, Czytelnik, 1990]

Rajmund Bergel

Pamiętna noc (15 II 1918)

Bagnet na broń – i marsz! – choć bezpowrotnie
w tę noc, co ciszą o burzę się modli,
a gdy przemówi, to ogniem w twarz miotnie
i śmiercią wsławi – lub życiem upodli.
Nic do stracenia. – Chyba te mogiły,
które tęsknoty znaczyły bezdroże,
chyba te wiary, co łez się opiły...
Kto wszystko stracił, wszystko zdobyć może.
Sen o Ojczyźnie porwany ze zgliszczy
zastąpi gwiazdy przewodnie tułaczom.
Są śluby, których żadna moc nie zniszczy,
są pęta, które targa się rozpaczą.
W prochach moc drzemie, lecz trzeba płomienia,
co lont zapali – buchnie – kadź rozsadzi,
bo losy ludów tylko czyn odmienia,
bo do zwycięstwa tylko bój prowadzi.
Co krew rozdarła, krew znów sprzęgnie razem,
uderzy sercem pod strzępem munduru,
lecz srom wypali ogniem i żelazem,
a gromom gromy dorzuci do wtóru.
Śmierć czarną nocą opięta po kołnierz
szepcze o świętych ofiar hekatombie...

Wer da? – ha... trupie! – Idzie polski żołnierz
i szlak wolności bagnetami rąbie.



[Wacław Lipiński, *Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905–1918*, oprac. Marek Gałęzowski, współpraca Jerzy Kirszak, LTW, Łomianki 2016]

[...] [II] Brygada znajdowała się na obszarze Bukowiny, na południowy wschód od Czerniowiec, w stronach i okolicach, które dobrze znała z niedawnej kampanii 1915 r. [...] Linia bojowa biegła na wschód od Czerniowiec, oddalona od stanowisk pułków legionowych o dwadzieścia kilka kilometrów, od stanowisk zaś artylerii prawie o 40 kilometrów.

Brygada karpacka stała na tych stanowiskach od dłuższego czasu, zajęta normalnym życiem obozowym. Ćwiczenia, usilna praca nad podniesieniem sprawności żołnierza, o którym nie wątpiono, że mimo wszystko stanie się kiedyś kadrą przyszłego wojska polskiego, kursy, przeszkolenia – oto obraz codziennej, szarej pracy żołnierskiej, przeprowadzanej w tym czasie w II Brygadzie. [...] II Brygada dowiedziała się o pokoju brzeskim 12 lutego. [...]

15 lutego 1918 r. ożywiony ruch panował w Starych i Nowych Mamajowcach, w Łużanach oraz wzdłuż dróg prowadzących do Czerniowiec, gdzie były rozmieszczone oddziały i zakłady II Brygady. Wszyscy żołnierze wiedzieli o zapadłej już decyzji przejścia, przygotowywali się też w skupieniu i powadze. Z dowództwa korpusu austriackiego, niczego niepodważającego, pobrano jeszcze tego dnia żołd dla całej Brygady, wysłano wozy po uzupełnienie oporządzenia, zwłaszcza butów. Wokół rozpuszczono wieści, iż oddziały Brygady odchodzą na nocne manewry.

[...] Wreszcie wieczorem, gdy kpt. Górecki zostawiwszy na stole w komendzie Polskiego Korpusu Posiłkowego pismo przez siebie podpisane, w którym w imieniu II Brygady wypowiada Austrii posłuszeństwo, a państwu centralnym wojnę – już długie kolumny żołnierskie ciągnęły na wschód szosą ku Czerniowcom i Rarańczy.

Według wydanych rozporządzeń wszystkie oddziały, a więc piechota, artyleria, kompania techniczna, tabory i zakłady Korpusu – z wyjątkiem kawalerii, której jako zbyt oddalonej od frontu nie można było włączyć do działania – miały się zetknąć na miejscu zbiórki o godz. 20.30. Punktem zbornym miało być skrzyżowanie dróg, wiodących z Sadogóry do Mahali, skąd przez wieś Rarańcza miały pułki uderzyć na front austriacki, otworzyć lukę i przejść na drugą stronę. O wyznaczonej porze stanęły oddziały na umówionym miejscu, brakło tylko artylerii. Czekano na nią, niecierpliwiąc się z minuty na minutę, tymczasem już wokół, z tyłu w Czerniowcach i z przodu na froncie – zaczynał się rozwijać jakiś podejrzany ruch. Niepokojące światła, sygnały świetlne, turkoty aut, krzyki niemieckich komend...

Naprężenie wśród żołnierzy coraz bardziej wzrastało, wreszcie gdy z wielu oznak



osądzono, że Austriacy się czegoś spodziewają, że zostali wreszcie zaalarmowani, pułki piechoty po dwu godzinach oczekiwania na artylerię i mjr. Zagórskiego ruszyły na Rarańczę. Za nimi ruszyły pozostałe oddziały.

Tymczasem droga była już zamknięta. 2 pułk piechoty, natknąwszy się w Rarańczy na silne oddziały austriackie, jednym uderzeniem rozbił je, torując sobie bagnetem drogę do okopów pierwszej linii austriackiej. „Pod gradem błyskających rakiet, rzucanych gdzieś z flanki, poprzez głębokie okopy rokadowe i rowy łącznikowe walimy w ciemności naprzód – pisze pamiętnikarz – aby prędzej przed świtem dotrzeć do okopów pierwszej linii. Padamy często, bądź wskutek rzucanych przez Austriaków rakiet, bądź wskutek ciemności... Nareszcie jesteśmy w pobliżu pierwszej linii okopów; tu zatrzymujemy się chwilę, by przywrócić porządek, zebrać się do kupy... W okopach nikogo, droga wolna, robimy przejścia... Wysyłamy gońca: »droga wolna«... I oto jesteśmy już poza drutami, jeszcze mały wysiłek i będziemy poza sferą ognia austriackiego. Idziemy naprzód, na przełaj na Rokitnę, idziemy kupą. W połowie drogi, między pozycjami austriacką i rosyjską, zatrzymujemy się, by poczekać na resztę i przywrócić związki taktyczne. Gromada rośnie, potężnieje, a nagle z tej gromady słychać śpiew, pierwszy śpiew od wiadomości o akcie brzeskim, pierwszy śpiew, wyrywający się już z wolnej piersi żołnierza... Pieśń potężnieje, gromada cała ją podchwytuje i nie bacząc na to, że szarżę poczyna, śpiewa aż do końca, do ostatnich zapewnień – całą *Rotę*”.

Równocześnie 3 pułk idący za 2 pułkiem, nie chcąc walkę przedłużyć marszu, rzuca się w bok i przechodzi obok wzgórza Dołżoka, łącząc się z oddziałami przednimi.

Po kilku kwadransach, już poza okopami austriackimi, a przed opustoszałymi pozycjami rosyjskimi, zebrali się prawie wszyscy żołnierze obydwu pułków piechoty karpackiej Brygady.

Tymczasem reszta oddziałów Polskiego Korpusu Posiłkowego (tabory, oddziały techniczne itd.), które stanęły przed mostkiem, zniszczonym już przez Austriaków, oświetlone reflektorami i obsypane gradem kul z pociągu pancernego, utknęły w miejscu. Wokół, w ciemnościach zimowej nocy, wyrastały gęste tyraliery austriackie, które otaczając legionistów coraz bardziej zwartym pierścieniem, zmusiły ich wreszcie do poddania się. [...]



76. Los internowanych legionistów.

[Poniższe dokumenty pochodzą z opracowania Mateusza Staronia *Likwidacja Polskiego Korpusu Posiłkowego w 1918 roku. Losy legionistów po traktacie brzeskim*, Warszawa, IPN, 2013]

List płk. Władysława Sikorskiego do Koła Polskiego w parlamencie austriackim (napisany w Stanisławowie, podczas przejazdu na Węgry, 24 luty 1918 r.)

Legiony Polskie zrodzone i zorganizowane w Galicji ruszyły w 1914 r. w śmiertelny bój o nienaruszalną całość i pełnię niepodległości Ojczyzny. Żołnierze polscy, zapominając o doświadczeniach historycznych, znaleźli się obok żołnierzy niemiecko-pruskich w tych samych rowach strzeleckich. Ciężkie, niejednokrotnie beznadziejne były chwile dla państw centralnych na froncie wsch[odnim] 1914 i 1915 r. Polak nie zawiódł jednak nigdy. Z rycerską konsekwencją trwał nieugięcie przy swoim zamiarze – pełnił ofiarnie służbę na najtrudniejszych posterunkach. Legioniści, ani polskie pułki armii austr[iackiej], nie dopuścili się ani razu zdrady. Nie przechodzi jak np. 77. pułk ruski do wroga, stając niejednokrotnie w najtrudniejszych wyłomów i ponosząc tylokrotnie tak ciężkie straty. Cała Polska zlała się krwią. Zniszczały polskie dwory i polskie kościoły. Zdziczała podczas wojny obecnej polska gleba. Wszystkie te ofiary ponosili polscy żołnierze wraz z całym narodem chętnie i radośnie. Przyświecała im bowiem, nawet w okresie największych, bezmyślnych szykan, nadzieja odzyskania własnego państwa – własnej mocarstwowej niepodległości. Zapowiadały ją mowy dyplomatów państw centr[alnych], zapowiadały akty monarsze. Jak grom uderzyła w cały naród wiadomość o układzie brzeskim – początkującym nowy, czwarty rozbiór Polski. Przeciwno temu aktowi – owemu rezultatowi szatańskiej perfidii pruskiego hakatyzmu oraz lekkomyślnej głupoty austr[iackich] mężów stanu, jako wyrazowi kierunku państw centralnych w stosunku do Polski – powstał cały naród. Podniosły przeciwko niemu zdecydowany protest Legiony, będące na froncie – decydując się na nowy ofiarny czyn, solidaryzując się z nimi, spełniamy jeno swoją prostą, żołnierską powinność, mnąc swe sztandary i niszcząc broń tak przez dobrego żołnierza kochaną – tylokrotnie w obecnej wojnie wstawianą – czynimy to z wiarą, że z tego na pozór negatywnego protestu narodzi się nowy, a pozytywny polski czyn. Jesteśmy przekonani, że nowe ofiary żołnierzy poniesione na froncie oraz nasz obecny trud przyczyniają się do wytworzenia na wszystkich ziemiach polskich zwartej, jednolitej opinii narodu jednolitego dotąd – nieugięcie i konsekwentnie



realizowanego kierunku polityki polskiej. Celem zaś tego, daj Boże, trwałego odrodzenia narodowego instynktu jest odbudowa pełni niepodległości Polski przy pomocy wszystkich środków, jakie nam stoją, a stać będą do dyspozycji. W imię twórczej i niezawodzącej solidarności, której poczucie da żołnierzom naszym potrzebny do wytrwania hart, żegnamy szanownych państwa, prosząc, by przenieśli w głąb kraju obowiązujący każdego niemającego służbowych odmiennych poleceń rozkaz: wszyscy oficerowie i żołnierze z Pol[skiego] Korpusu są obowiązani meldować się natychmiast w polskim obozie jeńców, by zdeklarować tamże swoją z resztą korpusu jednomyślność.

List nieznanego legionisty internowanego w obozie Bustyahaza do matki, 2 marca 1918 r.

W obozie jeńców, II–III 1918 r.

Najukochańsza moja Matus.

Ponieważ trafia się okazja prywatna, przeto może uda mi się bez cenzury przepuścić parę słów, które Ci dadzą mniej więcej obraz naszego położenia, naszej nędzy i w ogóle traktowania. Jednym słowem dałoby się to określić, że barbarzyństwo austriackie wyłazi w całej okazałości na wierzch.

Zacznę od pomieszczenia: umieszczono nas 320 ludzi w baraku, w którym powinno być najwyżej 200 ludzi. Wokół brud, świństwo, brak powietrza. Ludzie śpią na podłogach. Atmosfera wściekła. W ogóle jest grunt pod choroby różnego rodzaju. Zaczęła się wiosna, to nas nie chcą puścić przed barak na słońce. A tak nam go trzeba i powietrza. Okolica piękna na Węgrzech, Bustyahaza. Większość kaszle w takich warunkach okropnie. Nikną niektórzy w oczach. Tak mi ich żal.

A teraz wikt: jedzenie horrendalne – pomijam już pierwszy tydzień naszej niewoli, w którym już zupełnie nam nic nie dawano jeść. Rewidowano co parę godzin i zabrano zapasy własne. Dopiero w drugim tygodniu zaczęło się poprawiać o tyle, że rano dają nam wodę, na którą rzucają trochę łupin ziemniaczanych (jak świniom), naturalnie bez najmniejszej omasty, na obiad kawałeczek mięsa i znowu czysta woda, którą nazywa się rosołem, a jest w rzeczywistości pomyjami. Na wieczór znowu woda (pewnie po obmyciu kotłów) okraszona kilku ziarnkami mamałygi. Chleb zaczęli dawać z kukurydzą ok. 300 gramów dziennie, to nie wystarcza. Nadto dwa razy w tygodniu jest dzień bezmięsny, na obiad dostajemy okropnie słoną zupę z dyni, co się wylewa, gdyż zjeść tego nie można.



Komendant obozu – kapitan austriacki, pies i kanalia ostatnia. Zakazał żołnierzom austriackim noszenia nam prowiantów za nasze pieniądze. Noszą jednak po kryjomu, ale za drogie pieniądze, zdzierają z nas, np. za bułeczkę półcentową 50 halerzy, a za kilogram chleba 15 koron itd.

Traktowanie niżej krytyki. Gorzej zbrodniarzy najgorszych nie traktowano. Wobec tych stosunków, higieny, odżywiania itd. szybko wytrzebią nas choroby. Pomoc jest gwałtownie potrzebna. Idź, mateczko, do redakcji „Narodu” lub innego pisma, np. „Kuriera” (ten ostatni lepiej), i daj tam odpis tego listu, niech ułożą odpowiedni artykuł, niech napiętnują barbarzyństwo i łajdactwo konstytucyjnego państwa XX w. Wszystko oburza się w człowieku. Cierpliwość trzeba mieć anielską. Wikt należy nam się wedle taryfy żywnościowej czwartej, tj. dla jeńców, w której przewidziane jest daleko więcej (np. coś z jarzyn), niż dostajemy. Nie wiem, czy w Szczypiornie było gorzej. Zazdroszczę tym, co przeszli na drugą stronę granicy. Nam się nie udało. Trudno. Do końca życia zachowam odpowiednie uczucie dla naszych ciemiężców. [...] Oficerów tak samo traktują jak nas.

[...]

Informacja na temat stosunków w obozie w Dulfalvie, 13 kwiecień 1918 r.

Poufne

Stosunki w obozie Dulfalva

[...] Oficerowie są umieszczeni w baraku, którego przez cały marzec nie można było dostatecznie ogrzać. W baraku znajdują się drewniane prycze, do których z początku wcale nie dostarczono woliny (wiór drzewnych), tak iż oficerowie spali na siatkach drucianych, potem dostarczono wiór w tak niedostatecznej ilości, iż spanie w pryczy jest męką. Barak jest urządzony na potrzeby przeciągających oddziałów żołnierskich, a nigdy dla mających stale przebywać oficerów. Nie ma w nim stołów i ławek, nie ma kąta, w którym by można się myć. Latryna – na wolnym powietrzu – oddalona o 100 kroków, które w czasie deszczu przebyć trzeba w błocie. Barak stale jest otoczony posterunkami. Wydalać się do wsi bez posterunku nie wolno. Obecnie przystąpiono do odrutowania podwórza i wyznaczono dla 104 oficerów małe podwórze do spacerowania.

[...]

Stan zdrowotny 104 oficerów na ogół nie przedstawia się źle. Chorób zakaźnych nie było ani też cięższych wypadków zasłabnięć. Natomiast szerzą się choroby dróg



oddechowych i piersiowe, wynikające [ze] złego umieszczenia, duszności panującej w baraku, wyziewów ludzkich (na małej przestrzeni natłoczono 104 osoby).

Celem uszanowania ciała przed zgnuśnieniem zorganizowano ćwiczenia gimnastyczne, które się odbywają co dzień przed południem na podwórzu.

Jednakowoż wobec lżejszych zasłabnięć (przeziębień, katarów, dolegliwości żołądkowych) oficerowie są pozbawieni zupełnie środków leczniczych, mimo kilkakrotnych w tej mierze meldunków nie dostarczono dotychczas żadnych medykamentów.

Stan moralny i duchowy obozu dobry. Panuje jednomyślność zdań i poglądów, nie było ani jednego poważniejszego wypadku wyłamania się z solidarności oficerskiej i odmówienia posłuchu rozkazodawstwu wewnętrznemu, które płk Sikorski nadal zatrzymał. Służbę wewnętrzną prowadzi co dzień oficer inspekcyjny, każda scysja lub nieporozumienie jest załatwiane raportem przed pułkownikiem. Wiadomości ze świata lub dyrektywy postępowania komunikuje pułkownik. Formy współżycia, program zajęć itd. regulują rozkazy periodycznie na piśmie wydawane przez pułkownika, rozkazy, które oczywiście niszczy się po przeczytaniu. Z programu zajęć najważniejszymi punktami są: termin wstawania, gaszenia lamp – a to by przez indywidualne stosowanie tych terminów jeden drugiemu nie przeszkadzał; przerwy umysłowe i fizyczne.

Sprawozdanie z podróży do obozu internowanych w Huszt ks. kanonika Wacława Bliźnińskiego i porucznika Stanisława Rostworowskiego w dniach 11 do 17 kwietnia 1918 r.

[...]

Ogółem internowanych było 5500, obecnie, po odejściu na front transportów, jest ich ok. 2 tys. i 230 oficerów. Na front odeszło 3 tys.; zwolniono wprost z obozów jako małoletnich niezdatnych ok. 500. W szpitalu przebywa 180, zmarło dwóch (zapalenie płuc i suchoty). Stan zdrowotny wobec tego jest nie najgorszy. Warunki zewnętrzne kształtują się rozmaicie, zależnie od komendantów obozów. Najgorsze są one w samym Huszt. Oficerowie, którzy są stosunkowo gorzej traktowani niż żołnierze, mieszkać muszą po 9 do 11, a nawet i więcej w jednej izbie o [wymiarach] 4×4 m kw. przestrzeni. Oficerowie uwięzieni mogą jedynie na dwie godziny dziennie wychodzić na spacer po dziedzińcu. O nastroju władz austriackich wobec internowanych świadczy następujący fakt, godny najsilniejszego potępienia. W niedzielę, dn[ia] 14 bm. ks. kpt. [Józef] Panaś przed swoją kwaterą



rozpoczął odprawiać mszę św. przed połowym ołtarzem, wobec ośmiu żołnierzy, którzy w tej samej właśnie godzinie mieli prawo do przechadzki. Inni oficerowie i żołnierze uczestniczyli w nabożeństwie, patrząc przez okna ze swoich cel. Nadszedł na to ppor. austr[iacki] Sächsinger i rozpoczął szarpać i odpychać ks. kapelana od ołtarza i karcić za to, że bez pozwolenia odprawia mszę św. Skoro obecni legioniści powstrzymali go, obrzucił ich głośnymi wyzwiskami i groźbami. Dopiero interwencja starszego oficera austr[iackiego] zakończyła to prowokacyjne zajście, nie widząc przestępstwa ze strony ks. Panasia, i pozwoliła mu dokończyć mszę św. Oburzenie z tego powodu wśród internowanych ogromne. Na wizycie w poniedziałek dn[ia] 15 bm. u eksc[elencji] Schillinga zainterpelował ks. kan. Bliziński generała w tej sprawie. Pomimo że od zajścia minął już dzień cały, generał oświadczył, że o fakcie tym nic nie wie, wyraził jednak swe ubolewanie i obiecał ostre dochodzenie oraz ukaranie winnego oficera. Byłoby jednak pożądanym ze strony władz polskich uzyskanie oficjalnej o dalszym przebiegu sprawy wiadomości. [...]

Dla dopełnienia poprzednich raportów nadchodzących z Huszt należy tu podkreślić kilka szczegółów z samej historii przejścia przez front II Brygady. Otóż z wielu opowiadań uczestników odgaduje się, że jednym z głównych motywów samego kroku była nieufność odczuwana przez żołnierzy Polskiego Korpusu Posiłkowego ze strony polskiego społeczeństwa. Zarzut zaprzaństwa, rzucony mu w twarz po kryzysie z przysięgą, tkwił mu świeżo w pamięci i mimo woli budził ochotę do „zrehabilitowania się” po tak gorzkich i potwornych zarzutach. Wobec ogólnego nastroju opozycji, jaki powstał w całym kraju po traktacie brzeskim, nadarzyła się możliwość czynem – być może szalonym i nawet tak ocenianym przez wielu uczestników – zadokumentowania swych zawsze patriotycznych uczuć. Ferment idący w tym kierunku był tak silny, że powstrzymać go nie było już możliwości. Tak więc sam fakt przejścia łączy się ściśle z zachowaniem się społeczeństwa w czasie zeszlórocznych wypadków w Legionach. Przykre i narodowo szkodliwe skutki tego kroku są dziś przez większość trzeźwo oceniane.

[...]



77. Za kołem polarnym i na Sybirze.

[Eugeniusz Małaczewski, *Mogilom archangielskim i murmańskim* [w:] „*Rozkwitły pąki białych róż...*”. *Wiersze i pieśni z lat 1908–1918 o Polsce, o wojnie i o żołnierzach*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Andrzej Romanowski, Warszawa, Czytelnik, 1990]

Gdzie w łunie zórz północnych
szronami jodły śnieżą,
tam moi towarzysze
pod zmarzłą grudą leżą.

Gdzie ziemię opuszczoną
mróz lśniąca pleśnią szroni,
tam moi, hej! tam nasi
śnież towarzysze broni.

O POLSKĘ od zbóż złotą
walczyli pod biegunem,
więc ziemia im moskiewska
wieczystym jest całunem.
Na groby tych, co nigdy
już Polski nie zobaczą,
nikt płakać nie przychodzi –
jedynie brzozy płaczą.

Miast mów – trzykrotna salwa
rozległa się echemi
i pozostali martwi
i na wiek wieków sami.

Imiona świat zapomni,
czas zrówna mogił kopce,
a ślad wszelaki po nich
zaorzą pługi obce.



Więc niechże garść słów polskich,
jak garść ojczyściej ziemi,
z oddali rzucę na nich
dłoniami tęskniącemi.

By duszą zmartwychwstali,
rozpięli skrzydła cudnie
i poszli – płacząc z szczęścia
– z północy na południe.

Polscy legionerzy

[Zdzisław Chrzastowski, *Legenda murmańska*, Łomianki, LTW, 2014]

Karabiny mieliśmy rosyjskie i japońskie, żołd – francuski, mundury – angielskie, orzełki i serca – polskie. I polską komendę. Czuliśmy też na sobie oczy otaczających nas żołnierzy angielskich, szkockich, kanadyjskich, francuskich, rosyjskich – a potem jeszcze amerykańskich, włoskich i serbskich. Nic dziwnego, że każdy czuł się po trosze reprezentantem „polish soldiers”, „des braves Polonais” i „polskich legionierów”, jak nas nazywała ta szczupła, lecz wielojęzyczna armia na Murmanii. Dlatego oddziały polskie na froncie archangielskim, a zwłaszcza oddziały rotmistrza Horawskiego, kapitana Świąteckiego i kapitana [Mariana] Sołdkowskiego cechowała postawa, służbistość i bitność najwyższej klasy. Żołnierz nie tylko świetnie się bił, ale bił się z gestem. To mu wyrobiło renomę we wszystkich oddziałach cudzoziemskich, a przez to – we wszystkich krajach koalicji.

Zanim jednak kompania nasza wyruszyła na front, spędziłyśmy parę dni w Archangielsku. Uderzało mnie wspaniałe wyekwipowanie i wyżywienie angielskiego żołnierza. Niepodobna zjeść wszystkiego, co zawiera zwykła racja żołnierska. Czego tam nie było! Od treściwych konserw do czekolady, konfitur i australijskich dżemów. [...] Niebawem wydano mi, jak i wszystkim nowo przybyłym, plecak, chlebak, pasy i ładownice na półtorej setki naboju karabinowych. Prócz czapki angielskiej, którą dostałem przedtem, otrzymałem również angielski hełm stalowy. Wszystko to razem było bardzo ciężkie, zwłaszcza dla mnie, ponieważ, jako kawalerzysta i oficer, nigdy na sobie nic takiego nie dźwigałem.

Po południu tegoż dnia dowódca kompanii zarządził ćwiczenia w szyku



zwartym. Stanęliśmy tedy w dwuszerogu i ćwiczyliśmy na komendę sierżanta szefa chwytów bronią, zwroty, maszerowanie itp. Szkolenie było niezbędne ze względu na to, że tutaj, podobnie jak w Legionach, skąd przybyła większość starszyny, musztrę opierano na regulaminie niemieckim, którego zupełnie nie znali przybyli z armii innych. Nie mogli też znać regulaminu piechoty oficerowie i żołnierze kawalerii, artylerii i innych broni, którzy wraz ze mną byli wcieleni do kompanii. Mimo tak oczywistych konieczności ten punkt programu był dla mnie, jako kawalerzysty, najcięższy. Nie dość, że człowiek wdział na siebie mundur szeregowca, nie dość, że przeszedł do piechoty po kilkuletniej służbie jezdnej, jeszcze mu każą ćwiczyć „Na ramię broń!”, „Do nogi broń!”, a za byle uchybienie poprawiają ostro i obcesowo jak rekruta. I kto to tak się ciska? Sierżant szef kompanii, młodszy ode mnie rangą, nominalnie bowiem zachowaliśmy swoje rangi, bez względu na rzeczywiste stanowiska. Czułem, że wzbiera we mnie tak zwana cholera, a wiadomo, że polska cholera jest groźniejsza od każdej innej. Hamowałem się wprawdzie i zewnętrznie starałem się wszystko wykonać jak najlepiej, ale co się działo wewnątrz! W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że trudniej mi znieść przed sobą dziś sierżanta Polaka niż komisarza bolszewickiego wczoraj na bolszewickim statku; to mnie zawstydziło i przywróciło do przytomności.

Podczas przerwy dałem temu wyraz w rozmowach z kolegami. Zdania były podzielone. Jedni „psioczyli” na ćwiczenia, drudzy „byli za dyscypliną”. Zaledwie zaczęła się dyskusja o dyscyplinie w gronie kolegów, stanąłem z pasją w jej obronie. Niekonsekwencja? Trudno! Ileż to razy w życiu bywamy niekonsekwentni! Jasne jest, że wojsko bez dyscypliny to nonsens, tylko łatwo teoretyzować o dyscyplinie, ale trudno wcielać ją w życie. Komu trudno, niech się z tym przynajmniej nie zdradza, jak nie zdradza się z uczuciem strachu, które opada na polu bitwy. Cóż stąd, że jednemu nie podoba się sierżant, drugiemu – niemiecki regulamin, trzeciemu – że to już za późno na ćwiczenia i jeść się chce, czwartemu – że właśnie za wcześnie, piątemu – jeszcze coś, i tak każdy może mieć to lub owo do zarzucenia.

Zarzuty wytacza tylko warchoł i malkontent. Dobry żołnierz nie ma nic do zarzucenia, a wszystko – do poświęcenia; każda nowa ofiara jest nowym tytułem do chluby. W imię tych samych impulsów moralnych, dla których trzeba rzucić na szalę niebezpieczeństwa swoje życie, trzeba też rzucić w kuźnię dyscypliny swoje ja. Bo dyscyplina jest kuźnią, w której się wykuwa potęga zbiorowa oddziału. Jest to kuźnia, w której charaktery rozżarzają się czasem do białości, aby później tym silniej i tym ściślej spoić się w jedną całość z szeregiem. Wojsko zdyscyplinowane to łańcuch, w którym każde ogniwo raczej samo pęknie, niż się oderwie od ogniwa



sąsiedniego. Wojsko bez dyscypliny to szereg liści, lecących za lada podmuchem, każdy w swoją stronę. Taki był mój pogląd. A inni? Najbardziej uderzył mnie pogląd Małaczewskiego, ujęty w wierszu:

„Polska powstanie wtedy,
Ze swojej krzywdy i biedy,
Jak własnej mocy wskrzesiciel,
Krwi drogiej strojna koralem –
Gdy każdy kiepski marzyciel
Zostanie dobrym kapralem!”.

Toteż trzeba przyznać, że mimo wybujałego indywidualizmu, jakim się odznaczyli awanturnicy i zapaleńcy w oddziałach murmańskich, nastroje odśrodkowe nigdy nie dochodziły do głosu i dyscyplina była dla wszystkich świętym „tabu”.

„*Polish soldiers dobra*”

[Zdzisław Chrzastowski, *Legenda murmańska, Łomianki, LTW, 2014*]

[...] Bolszewicy, odparci przez Sołdkowskiego, skierowali odwody na oskrzydlenie od prawego, czyli od naszego lewego. Tam, za kilometrową przerwą frontu, opanowaną zresztą bocznym ogniem naszych karabinów maszynowych, siedziała, oparta o błota, jedna jedyna sekcja porucznika Rafalskiego z podporządkowanym mu szkockim karabinem maszynowym.

Na te garstkę waliła teraz ćma – może batalion, może więcej. Szczęściem wielce podmokły teren tworzył ciałninę, na której przeciwnik nie mógł rozwinąć naraz w luźnych szykach więcej niż najwyżej jeden pluton piechoty. Tylko że tych plutonów, nacierających falami jeden za drugim, było stanowczo za wiele. Stojący za mną w okopie Szkot z niepokojem kręcił głową.

Pozycję Rafalskiego flankował i wspierał dalekim, lecz celnym, ogniem okopany w rejonie mojej sekcji karabin maszynowy Wróblewskiego i Alingera. Alinger strzelał, a Wróblewski obserwował i komenderował, wychylając się raz po raz z gniazda z lornetką w rękę.

– Po diabła tak się wychylasz? – krzyknąłem mu do ucha, gdyż zgiełk ognia zagłuszał każde słowo.



Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Gdybym miał obie ręce, nie szukałbym oparcia dla lornetki. Przyznaję, że mimo podniecenia bitewnego zrobiło mi się jakoś nieswojo. Uczułem nagle wielkie zażenowanie wobec jego pustego rękawa, który właśnie zatrzepotał na wicherze. Takie zażenowanie, jak gdybym to ja był winien, że Wróblewski jest bez ręki... To zażenowanie odzywało się u nas wszystkich przy obcowaniu z nim nader często. Z jednej strony wstyd nam było zawsze, żeśmy się godzili, aby taki inwalida walczył i narażał się nadal na równi z nami. Z drugiej strony w całym oddziale starannie unikano rozmowy o tym kalectwie, jak gdyby go nikt nigdy nie zauważył.

Tymczasem nawała nieprzyjacielska parła na Rafalskiego niepowstrzymanie. Pokryty teren zmusił chwilowo nasze flankujące karabiny maszynowe do zaprzestania ognia,

– Niech wyjdą na otwarty teren, pod sam okop Rafalskiego – tłumaczyli się karabiniarze.

– Niech wyjdą – rzekłem – ale czy Rafalski wysiedzi, mając taką przewagę wroga pod nosem?

Wróblewski, który był jego najbliższym przyjacielem, nic nie odpowiedział, ale spojrzał na mnie z urazą.

Teraz ja podniosłem lornetkę i zacząłem obserwować naszą „straconą placówkę”. Okopana, zamaskowana i niewidzialna od przodu; od nas, czyli z boku, była widoczna jak na dłoni. W prawo i w lewo – trzęsawiska, z tyłu zaś, nie dalej jak o dwadzieścia metrów – jakiś chlew czy też nędzna chata z chlewem, jakich sporo widuje się w tutejszych osiedlach. Przed okopem – opłotki obejścia, z krzakami, które kryją, a raczej maskują, świeżo wyrzuconą ziemię przedpiersia. Dla karabinu maszynowego – dwa zapasowe stanowiska. Dzięki nim, można przenosić jedyny karabin maszynowy głębokim rowem łącznikowym z miejsca na miejsce, wedle tego, na którym gnieździe jest najmniejsze skupienie ognia.

– Morowo! – krzyknąłem do Wróblewskiego, nie odejmując lornetki od oczu i usiłując go trzepnąć z radości po ramieniu. Przez nieuwagę uderzyłem go jednak w kikut amputowanej ręki i znów zrobiło mi się nieprzyjemnie... Wróblewski syknął, ale w tejże chwili rzucił się „do roboty”, bo atak sunął na Rafalskiego coraz dalej i bolszewicy dostali się właśnie w sferę ognia flankujących karabinów maszynowych.

– Siedzi czy nie siedzi? – zapytałem siebie po raz dziesiąty i znów przyłożyłem lornetkę do oczu. Nie zobaczyłem jednak nic, bo zagroda, wraz z chatką, płotem, krzakami i okopem Rafalskiego, zniknęła w wieńcu wybuchów artyleryjskich. Widocznie marynarze, zatrzymani celnym ogniem, zażądali wsparcia swojej artylerii.



W jeden mały punkt oporu prała teraz artyleria lekka i ciężka, toteż w zagrodzie i wokoło zagrody zrobiło się piekło. W pewnej chwili jeden z ciężkich pocisków trafił w chatę. Strzelisty słup ognia w górę – i wnet belki, deski, krokwie i jakieś przedmioty wyleciały w powietrze i posypały się na obrońców. W pierwszej sekundzie słup ognia od wybuchu pocisku wystrzelił ponad dym; potem ogień zniknął, a w tym samym miejscu pionowy słup dymu i piachu wznosił się jeszcze wyżej. Gdy dym wybuchu zniknął, ukazał się płonący jak świeca dom. Wówczas wykwitł nowy dym, ale już nie od wybuchu, lecz od pożaru. Już nie chwilowy, lecz ciągły, i nie prostopadły, lecz długi i miotany ustawicznie przez wiatr, jak jakiś olbrzymi warkocz płomiennej brunety.

A oto teraz powiewają już dwa warkocze, bo obok zapaliła się wielka sterta słomy.

Ponieważ wiatr dął ku nieprzyjacielowi, dym zasnuł doszczętnie obrońców i atakujących i znowu nie wiadomo nic, co się tam dzieje.

– Jeżeli nie zwieli, jeżeli ich nie wytłukli, to wykurzy ich teraz ze stanowisk ten przeklęty pożar – ponuro mruknął Wróblewski.

A jednak nie! Bo w miejscu, gdzie poza dymem powinien był być okop Rafalskiego, migotały wciąż jakieś światełka – pewno błyski strzałów.

– A zatem siedzą.

– Twardo siedzą – potwierdził Alinger, podniósłszy głowę od spracowanej maszynki.

– *Polish soldiers* dobra! – krzyknął ni z tego, ni z owego stojący za mną Szkot.

A w nocy żywym wieszano sukcesu, opłakiwano zaś poległych Szkotów od maszynki. Sam Rafalski, chociaż kontuzjowany, obsypany ziemią i ranny, nie chciał opuścić swej sekcji, dopóki była „na straconej placówce”. Dopiero gdy zluzowała go w nocy, wobec wielkiej wagi tego punktu, cała kompania, poszedł do ambulansu, aby powrócić znów po jakimś czasie i „tkwić w okopie”, tak jak tylko on „tkwić” umiał.

Polacy, jak zwykle, mieli wisielcze szczęście. Z sekcji Rafalskiego nie zginął nikt. Za to nie poszczęściło się Szkotom.



78. Na Sybirze.

[Z poezji Józefa Birkenmajera [w:] „*Rozkwitły pąki białych róż...*”. *Wiersze i pieśni z lat 1908–1918 o Polsce, o wojnie i o żołnierzach*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Andrzej Romanowski, Warszawa, Czytelnik, 1990]

Powitanie Sybiru

Nie wiem, jak was powitać, pustynie sybirskie,
Relikwiarzu polskości, kędy w ziemi łonie
Śpią ojców-męczenników ciała bohaterskie
Niby posiew przyszłości na dziejów zagonie.

Oświeca was posepny miesiąc swą pochodnią
Jak kaganek, płonący na ciemnym kurhanie.
Blask jego bładny płynię hen, w stronę zachodnią,
Jak duch niosący Polsce duchów pożeganie.

I, zda się, długi szereg widm bolesnych wstaje,
Godność niosąc na czole, a smutek we wzroku,
I w jedną tylko stronę spoglądać się zdaje,
Pewno ojczyzny swojej żądając widoku.

Duchy! ja z Polski jadę w ciemny świata kraniec
I dla was pozdrowienie niosę w jej imieniu,
Jako wy niegdyś – żołnierz, i jak wy – wygnaniec,
Choć wam nie dorównywam w męstwie i cierpieniu.

Niosę wam wieści z kraju: dziś wskrzeszy nadzieje,
Że szczęścia i swobody nastała już chwila,
Że bliska sprawiedliwość, chociaż krew się leje,
Chociaż kielich goryczy naród dziś wychyla.

Może niedługo ziszczą się sny nasze dawne
I wolności radosny dzień znowu zaświta,
I potężne znów państwo powstanie i sławne,
Jako była przed ciosem klęsk Rzeczpospolita.



A wtedy wam się słowa te moje przypomną
I może wymówicie ustami wdzięcznymi
Imię tego, co przyniósł wam tę wieść ogromną –
Tego, co pewno z wami spocznie w obcej ziemi.

Czelabińsk

Na dalekim posterunku

Od kraju rodzinnego o tysiące mil,
w lodowatych krainach i pustynnych światach,
przeżywając tysiące udręczonych chwil,
z myślą o Polsce wiernie stoimy na czatach.
Za szańce nam tu służy własnych mogił sznur,
kędyśmy krwią składali śmierci okup hojny –
od stepów nadwołżańskich, od uralskich gór –
aż hen, po ten Ocean Wielki – i spokojny!...
W te serca pełne bólu, w ten mogiłek rząd –
uderzam drżącą dłonią jak w srebrne klawisze
i nutę niepożytą wydobywam stąd,
która krzepi żyjących, a zmarłych kołysze!...
I w tysiącach serc polskich słyszę głośny wtór,
co Polsce opowiada nasz tu żywot znojny –
od stepów nadwołżańskich, od uralskich gór –
aż hen, po ten Ocean Wielki – i spokojny!...

Noc wigilijna Dywizji Syberyjskiej

Pociąg brnie przez śnieżycę... gwarzą koła-zrzędy...
Z bronią w rękę czuwamy w półmrocznym wagonie...
Jedziemy w dal – przed siebie – nie wiadomo kędy!
Jeno myśl nasza rwie się ku ojczystej stronie...

Wspomnienia treść stanowią – tak gorzkiej gawędy...
W zwątpieniu czy w modlitwie składają się dłonie:
Noc wigilijna!... gdzież są wesole kolędy?
Gdzie dziś gwiazdka promienna w domowników gronie?



Za oknem widać tundrę w białej szacie zimy
Jak stół wigilii, białym zasłany obrusem...
Miast opłatka, krwią naszą na nim się dzielimy...

W obcą ziemię okrutnym zagnani przymusem,
Czyż powrócimy do ciebie, kraju nasz rodzimy?
W tajgach wichry się skarżą przed Zbawcą Jezusem...

Marjińsk



79. Likwidacja władzy zaborczej w Małopolsce.

[Z pamiętnika Zygmunta Lasockiego [w:] *Rok 1918 we wspomnieniach mężów stanu, polityków i wojskowych*, wybrał i oprac. Jan Borkowski, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1987]

[...] Nareszcie w dniu 28 października zebrali się polscy posłowie parlamentarni w Krakowie. Obrady trwały do późnej nocy i były burzliwe. Niekorzystnie odbijało się na nich utworzenie rządu [Józefa] Świeżyńskiego w Warszawie. Często były spory socjalistów z narodowymi demokratami, w szczególności o stosunek mającej się utworzyć komisji do rządu warszawskiego. Spierano się również o siedzibę komisji, przy czym poseł [Ignacy] Daszyński stanowczo obstawał za Krakowem, czemu się inne stronnictwa, a w szczególności narodowa demokracja i piastowcy, energicznie sprzeciwiały, żądając – by nią był Lwów. Za Lwowem przemawiały ważne względy natury politycznej, tudzież istnienie tam krajowych władz administracyjnych, politycznych oraz autonomicznych (Namiestnictwo i Wydział Krajowy), również jak i skarbowych (Krajowa Dyrekcja Skarbu) wraz z całym ich aparatem.

Uchwalono wreszcie:

1. rezolucję stwierdzającą raz jeszcze, że ziemie polskie w obrębie monarchii austro-węgierskiej należą obecnie do państwa polskiego;

2. wybór dla ziem tych Komisji Likwidacyjnej złożonej z 22 posłów wybranych według klucza partyjnego, tudzież jednego przedstawiciela Śląska. Komisja Likwidacyjna miała objąć cały zarząd administracji państwowej w zaborze austriackim, składający się z 12 działów życia publicznego. Miała ona wyznaczyć ze swego łona prezydium złożone z 3 przedstawicieli: po jednym z PSL, ND i PPS. Na czele działów stać mieli przewodniczący i ich zastępcy, wyznaczeni również według klucza partyjnego. [...]

Na zebraniu poruszył poseł [Włodzimierz] Tetmajer kwestię utworzenia milicji i zaproponował, by powierzono jej zorganizowanie byłemu komendantowi 4-go pułku Legionów, Roi. Z pułkownikiem Bolesławem Roją pozostawaliśmy bowiem, Tetmajer i ja, już od kilku tygodni w kontakcie i skłoniliśmy go do ściągania legionistów do Krakowa. Poseł Daszyński stanowczo sprzeciwił się powierzeniu organizacji milicji płk. Roi. Wobec tego rozstrzygnięcie tej sprawy odroczone aż do ukonstytuowania się komisji.

[...] Wobec wiadomości o dokonanym przewrocie w Czechach, zupełnej apatii rządu austriackiego i rozpoczynających się już rozruchach w Wiedniu



przyszli posłowie polscy, których garstka zebrała się w lokalu Koła Polskiego, do przekonania, że należy bezzwłocznie przejąć władzę w kraju, a zwłaszcza od namiestnika, obawiano się bowiem, by nas Ukraińcy we Lwowie nie ubiegli. W myśl tych wskazówek – formalnych uchwał nie było – udałem się natychmiast wraz z posłem Władysławem Grzędzielskim w drogę, zaprosiwszy telegraficznie posłów Daszyńskiego, [Aleksandra] Skarbka, [Tadeusza] Tertila i [Wincentego] Witosa, by wsiedli w Krakowie względnie w Tarnowie do pociągu, którym mieliśmy jechać do Lwowa. Telegramy nie doszły adresatów – cenzura wojskowa austriacka funkcjonowała bowiem jeszcze – i nikt się nie zjawił na dworcu w Krakowie.

[...] Wysiedliśmy zatem w Krakowie, by zasięgnąć informacji, i udaliśmy się około 9-ej rano do ratusza, gdzie zastaliśmy posła Skarbka. Niebawem nadeszli posłowie [Józef] Ptaś i Tetmajer. Skarbek przedstawił nam położenie, zarządzenia, jakie wydał, oznajmił między innymi, że porozumiał się z brygadierem Roją i że w nocy, tudzież nad ranem, zgłaszali się do niego oficerowie Polacy, ofiarując swą pomoc w razie wystąpienia przeciwko Austriakom, oświadczył wreszcie, że zaprosił przedstawicieli władz wojskowych austriackich celem zażądania od nich kapitulacji, a w razie oporu z ich strony jest za użyciem siły. Na zarządzenia Skarbka zgodziliśmy się w zupełności i przez podanie ręki zobowiązaliśmy się z nim współdziałać. Pierwszą naszą czynnością było mianowanie brygadiera Roi komendantem siły zbrojnej. [...]

Tymczasem w mieście młodzież szkolna i legionści mniej lub więcej energicznie skłaniali oficerów do zdejmowania „bączków” z orłami austriackimi z czapek. Z gmachów państwowych usuwano również i orły austriackie. Oficerowie i żołnierze Polscy w uniformach austriackich przypinali sobie do czapek orzełki polskie lub kokardki o barwach narodowych. Tworzyły się z nich oddziały polskie. Jednym z pierwszych – jeżeli nic pierwszym – był oddział żołnierzy z tarnowskiego 57 pułku piechoty, który pod dowództwem porucznika [Antoniego] Stawarza zajął koszary w Podgórzu.

Wzruszającym było pierwsze objęcie warty na głównej strażnicy w Rynku krakowskim przez oddział polskich żołnierzy, wśród entuzjazmu zgromadzonych tłumów. Wkrótce zaszeleścił Biały Orzeł polski na sztandarze stowarzyszenia rzemieślniczego „Gwiazdy”, zatkniętym na „Odwachu”.

Dyrektor policji krakowskiej, Rudolf Krupiński, poprzedniego dnia zgłosił się był do dyspozycji władz polskich u posła Skarbka. Toteż policja nie występowała przeciw manifestantom, a część jej, przypinając sobie kokardki polskie, przyłączyła się do ogólnego ruchu narodowego.



Po południu przybyli z Tarnowa posłowie Tertil i Witos i razem z obecnymi w Krakowie członkami komitetu wykonawczego, Daszyńskim i Skarbkiem, objęli władzę imieniem Polskiej Komisji Likwidacyjnej. Jedną z pierwszych czynności prezydium PKL – odtąd zaczęto tej nazwy używać – było wydanie odezwy wzywającej wojsko do poddania się rozkazom brygadiera Roi, a ludność do przestrzegania spokoju [...]

W Krakowie panował nastrój radosny a podniosły zarazem, niezamącony żadnym poważniejszym starciem lub krwi przelewem. Wśród objawów radości mieszkańców miasta i sąsiednich gmin wiejskich, w zgodnej współpracy przedstawicieli stronnictw, zakończył się dzień 31 października 1918 roku. W tym samym dniu ogłoszono w Wiedniu detronizację Habsburgów i utworzenie republiki austriackiej.

Wypadki krakowskie miały poważne znaczenie. Zerwano z systemem ciągłych obrad i przystąpiono do czynu. Wyzwolono się spod władzy zaborców. Usunięto ich władzę i wojsko. Ruch wyzwoleniczy rozszerzył się natychmiast w Galicji zachodniej i graniczących z nią okolicach Królestwa. [...]



80. Antoni Stawarz i oswobodzenie Krakowa.

[Piotr Łossowski, *Jak Feniks z popiołów. Oswobodzenie ziem polskich spod okupacji niemieckiej w listopadzie 1918*, Łowicz, Mazowiecka Wyższa Szkoła Humanistyczno-Pedagogiczna, 1998]

[...] Ze strony polskiej potrzebne było stanowcze wystąpienie, wywarcie presji na zaborców, poparte groźbą użycia oręża, ażeby zmusić ich do kapitulacji. [...] Powstała już od pewnego czasu i rozrastała się polska wojskowa organizacja konspiracyjna wewnątrz koszar. Jej utworzenie wiąże się ściśle z nazwiskiem porucznika 57 pułku piechoty Antoniego Stawarza. [...] Choć, jak sam podaje, nie posiadał żadnego doświadczenia w pracy konspiracyjnej – to jednak obrał trafną metodę postępowania. Zaczął zjednywać dla swej idei godnych zaufania oficerów i szeregowych Polaków. Za ich pośrednictwem organizacja przeniknęła do kilku jednostek. W końcu października siły organizacji liczyły około 400 żołnierzy, dysponujących 8 karabinami maszynowymi, którzy stacjonowali głównie w koszarach na Podgórzu. [...]

Chociaż Stawarz nawiązał kontakt z płk. Roją – to jednak nie otrzymując wyraźnych rozkazów, decyzję o wystąpieniu podjął samodzielnie i na własną odpowiedzialność. Impulsem do tego stała się dla niego otrzymana 30 października wiadomość o dokonanej w Czechach przewrocie. „Ogarnął mnie wstyd – wspomina Stawarz. – Czesi ubiegli nas, którzy posiadamy tak świeżą tradycję walk o niepodległość... Zrozumiałem, że nadszedł czas i dla Krakowa, że należy natychmiast działać”. W porozumieniu z gronem najbliższych współpracowników Stawarz postanowił wystąpić nazajutrz, 31 października 1918 r.

Ale jeszcze tego samego dnia udał się na stację kolejową w Płaszowie, skąd wysłał depeszę adresowaną do wszystkich stacji na terenie Galicji i okupacji austriackiej. Podawała ona fakty, które jeszcze nie zaistniały, zawierała więc element mistyfikacji. Ale w ten właśnie sposób pobudzić miała do akcji. Brzmiała: „Rewolucja w Krakowie. Rząd Polski objął władzę. Wstrzymać wszystkie transporty, które by chciały wyjechać poza granice kraju, skierować je na Kraków”. Stawarz podkreśla w swych wspomnieniach, że wysłanie tej depeszy miało „ogromne następstwa” – pierwszym wolnym skrawkiem polskiej ziemi stał się już wieczorem 30 października dworzec kolejowy Kraków-Płaszów.

Wczesnym rankiem 31 października por. Antoni Stawarz przyszedł do koszar na ulicy Kalwaryjskiej. Nie zwróciło to niczyjej uwagi, gdyż pełnił tej doby służbę oficera inspekcyjnego. Po powierzeniu warty przy bramie zaufanym ludziom,



ogłosił alarm dla konspiratorów. Zebrali się oni skrycie z pełnym uzbrojeniem.

Tymczasem zaczęli się gromadzić na podwórzu żołnierze w oczekiwaniu na poranną kawę. Stawarz przerwał wydawanie śniadania i rozkazał ustawić się według grup narodowych. Większość 400-osobowej żołnierskiej gromady stanowili Niemcy austriaccy. Tylko z ich strony spodziewać się można było ewentualnego oporu. Dlatego też na dany sygnał otoczyli ich konspiratorzy z bronią gotową do strzału.

Wówczas Stawarz wystąpił z krótkim przemówieniem. „Polacy z Galicji – mówił – nie mogąc się doczekać dobrowolnego opuszczenia ich ziemi przez zaborców, zmuszeni są użyć w tym celu siły. Oznajmiam wam, że jesteście rozbrojeni. Wasi dawniejsi dowódcy przestali być dzisiaj nimi, a ja z rozkazu rządu polskiego obejmuję tu władzę [...]”. Stawarz zagwarantował żołnierzom osobiste bezpieczeństwo i zapewnił, że będą mogli swobodnie wrócić do ojczyzny. Aby słowa swe uczynić bardziej wiarygodnymi, wykrzyknął, że przemawia już nie jako oficer austriacki, lecz polski. I w tym momencie zrzucił czapkę austriacką, a na jej miejsce włożył maciejówkę z polskim orzełkiem i kokardą narodową. Symboliczny ten gest zrobił na obecnych duże wrażenie.

Do akcji spiskowców przyłączyli się pozostali żołnierze Polscy, a także Czesi. Niemców, nie ukrywających swego niezadowolenia, internowano. „Dla bezpieczeństwa naprzeciw ich ubikacji ustawiłem dwa karabiny maszynowe” – podaje Stawarz.

Cały przewrót odbył się błyskawicznie. Do godziny 6.30 rano koszary artyleryjskie na ulicy Kalwaryjskiej na Podgórzu zostały opanowane przez Polaków. Nie padł przy tym ani jeden strzał. Wystarczyła groźba użycia broni wobec żołnierzy narodowości niemieckiej. Podobnie wypadki przebiegały w innych koszarach na Podgórzu. Zostały one opanowane przez konspiratorów bez przelewu krwi.

Wkrótce potem, w myśl wcześniej ułożonego planu, wydzielone oddziały przybyły z koszar na Rynek Podgórski. Po krótkiej zbiórce dwie kolumny wojska dowodzone przez poruczników Franciszka Pustelnika i Ignacego Śnigowskiego ruszyły różnymi trasami do centrum Krakowa.

Nie był to marsz bojowy, lecz triumfalny pochód zwycięzców. Żołnierze przystrojeni w polskie kokardki, śpiewając pieśni patriotyczne i wznosząc okrzyki, usuwali z budynków urzędowych szyldy z austriackimi orłami, a napotkanym wojskowym austriackim nakazywali zdejmować z czapek rozetki z cesarskimi insygniami. [...]

Przemarsz przez miasto zakończył się około godziny 10.00, gdy wysłane



oddziały wróciły na Podgórze. Por. Stawarz, który pozostał w koszarach na ulicy Kalwaryjskiej, kierował stąd nadal całą akcją. Zwracano się ciągle do niego o dostarczenie żołnierza i broni. O godzinie 10.30 Stawarz wysłał nowy oddział, dowodzony przez poruczników Jana Gawrona i Wilhelma Steca, z zadaniem zajęcia odwachu głównego w wieży ratusza na Rynku.

W odwachu pełnił jeszcze służbę, jak co dzień od ponad 70 lat, oddział austriackich żołnierzy. Dowodzący wartą chor. Alojzy Mosler z 33 pułku strzelców, kiedy zauważył zbliżający się oddział polski, postawił swych żołnierzy pod broń. Przekazanie warty odbyło się ściśle według regulaminu. Dodatkowo do księgi wartowniczej wpisany został cały skład pierwszej polskiej warty. Zajęcie odwachu na Rynku Krakowskim miało symboliczne znaczenie. Unaocznilo, że skończyło się panowanie zaborcy, że Kraków jest znowu wolny. Zgromadzeni licznie ludzie byli tego świadomi: „Entuzjazm był nie do opisania – pisze Stawarz. – Nieznani ludzie padali sobie w objęcia, płakano ze wzruszenia, że po 70 latach przyszła wreszcie upragniona chwila oswobodzenia królewskiego stołecznego miasta Krakowa. Szczególnie głośno radość swą manifestował jakiś weteran z 1863 r. [...] Biało-czerwona flaga zajęła miejsce dwugłowego orła, strąconego i podeptanego. Ludność przystroiła kraty żelazne odwachu kwiatami i zielenią”. [...]



81. Rząd w Lublinie.

[Ze wspomnień Jędrzeja Moraczewskiego [w:] *Rok 1918 we wspomnieniach mężów stanu, polityków i wojskowych*, wybrał i oprac. Jan Borkowski, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1987]

[...] Zaraz o paręset kroków od miejsca zebrania spotykam na Krakowskim Przedmieściu kompanię żołnierzy austriackich idącą w pełnym rynsztunku środkiem ulicy. I oto odgrywa się scena, jakiej można być świadkiem tylko na bardzo osobliwych nawrotach historii. Z chodnika wyskakuje na środek jezdni dwóch brzdąców z 4-ej lub 5-ej klasy. Stanęli na wprost maszerującej kompanii i jeden z nich przeraźliwym dyszkantem wrzasnął: „Stać!”. Stanęli. „Złożyć broń!”. Złożyli. „Rozejść się!”. Rozeszli się, a wtedy malcy, załadowawszy broń na dorożkę, odjechali ze swoją zdobyczą. Pomyślałem, że władza nie tylko leży tu na bruku, ale pcha się w ręce.

Stamtąd poszedłem na ul. Początkowską 24 (?) do komendy POW, gdzie mnie przyjął zastępca komendanta, Konrad Puszczyński, smukły chłopak o zdecydowanym, chwilami trochę drapieżnym wyrazie twarzy. Pokazał mi swoje zapasy: kilkaset karabinów ręcznych, 48 maszynowych (do jednego co prawda tylko miał obsługę), granaty ręczne, amunicję. Oglądałem to w milczeniu, a na pożegnanie młody wojak, który najwidoczniej znał mnie ze słyszenia, wybuchnął z pasją: „Na miłość Boską, nie oglądajcie się na nikogo, zaczynajcie”. – „Chłopi przyjdą?” – „Na jedno słowo stanie ich tu 10 000. Tylko zaczynajcie”.

Poszedłem znów łązić po ulicach przepelnionych ludźmi jak gdyby czegoś wyczekującymi, pełnymi nerwowego lęku. Sprawa wydawała mi się prostą i łatwą, ale kiedy koło 5-ej po południu dowiedziałem się, że przysięga Radzie Regencyjnej została w imieniu wojska złożona, nastąpiła znowu gruntowna zmiana dekoracji. Należało właściwie wracać do Warszawy, ale zacięliśmy się w uporze, czekając nie wiadomo na co. Nie chcieliśmy naśladować garści inteligencji warszawskiej, która przybywszy wieczorem i pokręciwszy się po kawiarniach, wróciła bezzwłocznie z powrotem.

Swoją drogą sytuacja była dość głupia i oczekiwaliśmy z godziny na godzinę aresztowania, ale jakoś nikomu nie chciało się nas aresztować. Po paru dniach przybył [Bogusław] Miedziński, który przywiózł zdumiewającą wiadomość, iż Świeżyński usunął Radę Regencyjną i ogłosił Republikę Ludową. Poza tym doręczył mi jakąś gazetę warszawską, z której dowiedziałem się, że przedstawiciele lewicy,



pp. Artur Śliwiński i Feliks Perl, zgłosili się do Rady Regencyjnej, zwracając jej uwagę na konieczność mianowania ze względu na nastroje mas rządu społecznie radykalnego, wysuwając jako kandydatów na stanowisko premiera Witoso albo mnie. Przyznam się, że schwyciłem się za głowę: lewica, która wysyła nas do Lublina dla obalenia Rady Regencyjnej i równocześnie chce się u tejże rady wystarać dla mnie o stanowisko premiera, to już trochę za dużo dla mojego dosyć prostolinijnego umysłu. Na szczęście [Tadeusz] Hołowko, który przybył nazajutrz, zdementował przynajmniej pierwszą z tych wiadomości: okazało się, że to nie Świeżyński usunął Radę Regencyjną, lecz wręcz przeciwnie – przy pierwszej oznace samodzielności rada zmusiła go do ustąpienia. Zapytany o interwencję lewicy u Rady Regencyjnej machnął tylko ręką.

W każdym razie te wiadomości ruszyły nas z martwego punktu. Omówiliśmy z Hołowką zasady manifestu, od którego rozpoczęliśmy swoje wystąpienie, przy czym powierzono Hołowce zredagowanie tekstu i ostateczne uzgodnienie go ze mną. Potem nastąpił podział czynności w rządzie, w którym zostałem ministrem spraw wewnętrznych przy premierze Daszyńskim. Przy rozdziale tek okazało się, że „Wyzwolenie” ma o jednego kandydata za dużo, chcieliśmy bowiem ściśle obserwować równą ilość tek w rządzie PPS i „Wyzwolenia”. [...]

4 listopada 1918 r. przyjechał z Krakowa [Marian] Wojtek-Malinowski, który z pewnym wyrzutem zapytał nas, na co czekamy, skoro w Krakowie wszystko, od wojska zaczynając, a kończąc na przywódcach partyjnych, czeka tylko, abyśmy dali hasło. Daszyński, Witos i [Jan] Stapiński przyjadą tu lada chwila, ale proszą, żeby na nich nie czekać i ogłosić ich podpisy jako członków rządu. Zapytałem kilkakrotnie, czy dotyczy to także Witoso, i zawsze otrzymywałem twierdzącą odpowiedź. Nieodległa przyszłość pokazała, że w ten sposób stałem się mimowolnym fałszerzem.

Dnia 6 wieczorem było już wszystko gotowe. Udałem się z ulicy Namiestnikowskiej, gdzie była nasza główna kwatera (u pp. Kunickich), na Krakowskie Przedmieście do Hołowki. Uzgodniwszy ostatecznie tekst, poszedłem z powrotem na Namiestnikowską. [...]

Koło godziny 4-ej w nocy udaliśmy się do koszar, w których [Medard] Downarowicz wygłosił krótkie przemówienie i pozyskał dla nas żołnierzy. Kiedyśmy o świcie wyszli na miasto, mury oblepione już były naszym manifestem. Równocześnie w Hotelu Victoria aresztowano dowodzącego garnizonem lubelskim generała, Hołowko zatrzymał w domu do dalszej dyspozycji delegata Rady Regencyjnej, [Juliusza] Zdanowskiego, a Sieroszewski, udawszy się na drugą stronę



Bystrzycy do przysłanego na poskromienie buntu batalionu Rady Regencyjnej, skłonił go do poddania się zwierzchnictwu nowego rządu. Wczesnym rankiem już było wszystko skończone.

Udaliśmy się na plac Katedralny dla złożenia i odebrania przysięgi; była tam już garść wojska, która od razu poszła za nami, endecka Straż Obywatelska, Milicja Ludowa i sporo ludzi. Brakowało tylko batalionu, pozyskanego w nocy przez Sieroszewskiego. Czekaliśmy na niego tak długo, że sytuacja zaczęła się stawać całkiem niewyraźna; nie wiadomo było, czy za chwilę batalion wkroczy na plac dla złożenia przysięgi, czy ostrzela nas z karabinów maszynowych. Ale oni tylko stroili się na paradę. W ostatniej chwili musiałem jeszcze ułożyć rotę przysięgi, którą później nie bez słuszności wyśmiano, bo była tam mowa o Bogu Najwyższym, podczas gdy Bóg jest jeden. Zaraz po przysiędze udałem się do p. Zdanowskiego, żeby mu oświadczyć, że jest całkowicie wolny. Był wyraźnie zestrachany i wściekły, doręczył mi jednak listę mianowanych w ostatnich dniach starostów w okupacji austriackiej. Niestety, mogłem z niej zużytkować tylko jedno nazwisko, potrzebowaliśmy bowiem ludzi pewnych. Tego jeszcze dnia musiałem mianować 32 starostów w okupacji austriackiej i tyłuż sekretarzy starostw. Znałem w tamtych starostwach bardzo niewielu ludzi, zmuszony ponadto byłem podpisać przedłożoną mi listę w ciągu godziny, bo czas naglił. Nic dziwnego, że przy tej okazji popełniłem dużo błędów [...]. Co do Zarządu Centralnego wszyscy urzędnicy Polacy generał-gubernatorstwa lubelskiego oddali się do naszej dyspozycji, z tym tylko zastrzeżeniem, że usunięty ze służby zostanie ich szef. Musiałem się na to zgodzić – pan ten zresztą został później wysokim dygnitarzem w służbie polskiej.

Po obiedzie tego dnia przyjechali Daszyński, Witos i Stapiński, ten ostatni z ciężko na jakimś szlabanie rozbitą głową. Wieczorem odbyła się pierwsza Rada Ministrów. Zaproponowałem, zgodnie zresztą z poprzednim układem, Ignacego Daszyńskiego na premiera czy, jak się to wówczas nazywało, prezydenta rządu. [...]



82. Łódź wolna.

[Ze wspomnień Bolesława Fichny [w:] *Rok 1918 we wspomnieniach mężów stanu, polityków i wojskowych*, wybrał i oprac. Jan Borkowski, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1987]

[...] Padł rozkaz. Pier[w]sze oddziały bojowe ruszyły na miasto. Mogła być godzina 7 wieczorem. Wydane dyspozycje głosiły: zaalarmować miasto, rzucić postrach na Niemców, pociągnąć za sobą ludność.

Ob. Kazimierczak wraz ze swoją dziesiątką ruszył do centrum miasta, na ul. Piotrkowską. Jego zadaniem było: napaść na siedzibę Orts-Kommandantur przy ul. Piotrkowskiej nr 139 i siedzibę tę siłą zająć. Zadanie zostało częściowo tylko spełnione, mimo iż wykonano je błyskawicznie i z szaloną determinacją. Gdy padły pierwsze strzały, nie obyło się bez ofiar na ulicy: przechodzący chłopiec ranny został w nogę, zaś mała dziewczynka – w plecy. Z Niemców ranny został jeden żołnierz. U nas ofiar nie było.

Ob. Szymański poprowadził jednocześnie drugą dziesiątkę, jeszcze słabiej niż oddział Kazimierczaka uzbrojoną. Uderzył nagle na niemiecki Komisariat Policji przy ul. Karola 22. Niemców rozbroił, pałkarzom kazał iść do domów, broń skonfiskował, budynek obsadził swoimi ludźmi.

Te pierwsze strzały, te pierwsze natarcia odbiły się potężnym echem w całym mieście. Ulice zawrzały...

W tym samym czasie przeprowadzona akcja na Widzewie nie mniej dodatnie wydała rezultaty. Uległa ona co prawda pewnemu opóźnieniu, a to z tej racji, iż Feliks Tomczak-Tomaszewski czekał na wiadomości z centrum miasta oraz na pomoc, którą mu z Komendy Głównej przyrzeczono.

[...] Już późną nocą oddział Stolarskiego opanował obiekt wojskowy w fabryce nici, gdzie były zainstalowane urządzenia telegraficzne i telefoniczne. Najtrudniejszą była sprawa z dużym wojskowym oddziałem Niemców, którzy zamknęli się w gmachu szkolnym przy ul. Szpitalnej i stamtąd grozili wypadami. O zdobyciu szkoły szturmem – mowy nie było. Dlatego zastosowano taktykę ścisłej obserwacji, która w rezultacie skończyła się poddaniem Niemców. Bezpośrednia rozmowa ob. Stolarskiego z niemieckim oficerem przekonała widać Niemców o bezskuteczności walki i dlatego też – broń oddali, a sami, załadowani na Dworcu Kaliskim, pojechali do Vaterlandu.

Widzew znalazł się prawie całkowicie w naszych rękach.



Tymczasem akcja w samym mieście rozszerzała się jak pożar. Objęła nie tylko peryferie miasta, ale przerzuciła się na miasta sąsiednie, jak Pabianice, Zgierz, Konstantynów, Aleksandrów.

Jednym z najpiękniejszych zadań to zajęcie Dworca Kaliskiego [tak w oryginale]. Na czele specjalnie zorganizowanego plutonu, wśród którego znajdowali się i tramwajarze, stanął Stefan Pudlarz. Miał zaledwie 5 rewolwerów systemu Browning, 4 rosyjskie karabiny i 5 sztuk szabel. Pierwsza potyczka rozegrała się przy moście kolejowym. Obustronna wymiana strzałów doprowadziła do kapitulacji 10 uzbrojonych żołnierzy niemieckich, strzegących mostów, torów i bagażowni. Zdobyto 10 karabinów wraz z amunicją. Dalszy etap zbrojnego zajmowania dworca odbył się już przy czynnej pomocy kolejarzy. W ciągu godziny unieszkodliwiono Niemców całkowicie: niezmiernie ważny punkt strategiczny z olbrzymimi składami, 40 parowozami, całymi gotowymi pociągami i całym nagromadzonym przez Niemców materiałem dostał się w nasze ręce. Rozstawione gęsto posterunki strzegły czujnie obiektu kolejowego, który na magistrali Warszawa–Łódź–Kalisz–granica niemiecka odgrywał poważną rolę. Przesłany przez pułkownika Jasińskiego podporucznik Zglenicki objął wkrótce Komendę Dworca, zaś kol. Pudlarz został jego zastępcą.

Nie powiódł się za to atak na Dworzec Fabryczny. Oddział nasz, przyjęty gęstym ogniem przez Niemców, musiał się wycofać. Rannego w nogę kol. Bolesława Sałacińskiego dopadli Niemcy i zakłuli go bagnietami. Stało się to na ul. Skwerowej na szynach przed dworcem.

Trzeci fragment „kolejowy” to zbrojny wypad na dworzec w Chojnach. Tam kolega Józef Gabinowski wraz ze swoimi kompanami rozbroili niemiecki posterunek kolejowy, zagarnęli lokomotywę i już na niej pojechali na stacje Widzew i Karolew, gdzie również: rozbijali posterunki, zabierali broń i amunicję. Lokomotywę, broń i amunicję odwiózł kol. Zagórowski na stację Łódź Kaliska i tam przekazał Komendzie Dworca. [...]



83. „Mamy Polskę, tę Polskę upragnioną, wymarzoną, wyśnioną”

[List żołnierza Legionów Polskich Władysława Kownasa do Matki 29 października 1918 roku [w:] Marek Arpad Kowalski, *Na stos*, Warszawa, Wydawnictwo Nowy Świat, 2005]

Kochana Mamusiu!

[...] Żyjemy sobie ani dobrze, ani źle. Pracy mamy trochę, ale to nic. Najgorsze tylko, iż obawiamy się, aby wypadki, jakie obecnie rozgrywają się w Polsce, nie przerwały nam nauki – to byłoby straszne. Lecz z drugiej strony to, co się dzieje – napędza serca nasze dumą i radością bezbrzeżną. Miesiąc temu, gdyśmy byli w Radomiu, jakże smutno było w Polsce naszej. A teraz... teraz po czterech tygodniach?... Co za szalone zmiany, jakież olbrzymie zmiany, jakie radosne – oszaleć można. Mamy Polskę!!! Polskę Wolną, Niepodległą, całą... całą.

Mamy Polskę, tę Polskę upragnioną, wymarzoną, wyśnioną, tę Polskę, za którą tyłu zginęło, tyle krwi się polało, za którą i ja... ja też walczyłem i cierpiałem przez całe 3 lata.

W tym, co się teraz staje, w tym gmachu, który stanął, jest i moja maleńka cegielka, jest i mój trud, jest i mój cierpień garstka, jakież ja dumny z tego, bom nie pasożytem, nie jestem tylko zwykłym zjadaczem chleba.

Niech się Mamusia nie boi o mnie, abym nie poszedł do wojska. Nie! Tego nie zrobię, choć twierdzę, że wojsko jest nam na gwałt potrzebne. Wysłużyłem 3 lata, teraz muszę myśleć o sobie, a gdy stanę się człowiekiem, wtedy znów oddam wszystko ojczyźnie, którą trzeba będzie wznosić z ruin. Teraz pracuję nad sobą. Niech ci, co jeszcze nie byli w wojsku – idą, a jest ich dość.

[„Trochę egzaltowane słowa, ale egzaltacja zrozumiała. Po półtora-wiekowej niewoli! [...] No, Polska jeszcze nie była w zupełności wolna, a na pewno nie cała była wolna. Kraków, Małopolska, Galicja – praktycznie tak. Ale reszta? Jeszcze na wolność musiała nieco poczekać. [...] Wuj Władek mógł więc być dumny ze swojej cegielki. Wytrwał! Mimo wszelkich załamania. Lecz trzeba było jeszcze wytyczyć granice odradzającego się kraju, no i tej wolności bronić przed jej możliwą rychłą utratą” – komentował ten list siostrzeniec Władysława Kownasa, Marek Arpad-Kowalski. Władysław Kownas nie dotrzymał obietnicy danej matce. W czasie wojny z bolszewikami przerwał studia na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie i w 1920 roku zgłosił się do Wojska Polskiego. O jego dalszych losach pisał Arpad-Kowalski: „to już było we wrześniu 1920 roku, po przełomowej



Bitwie Warszawskiej, podczas tzw. operacji niemeńskiej. [...] Pech chciał, że wuj Władek zachorował na tyfus. Został odesłany na tyły, do szpitala w Białymstoku. Rzeczywiście, jakoś nie miał szczęścia do wojska. W Legionach ciągle rany, kontuzje, teraz choroba. Ale szybko się z niej wylizał. Rodzina proponowała, by na rekonwalescencję wrócił do domu, do Radomia, lecz nie chciał – bo chciał być bliżej wojska: jak tylko wyzdrowieje, to znów zamelduje się do służby, a bliżej będzie miał z Białegostoku, niż z Radomia, bo nasze armie szybko parły na wschód. Lecz Rosja Sowiecka poprosiła o zawieszenie broni i rzeczywiście 12 października zawarty został układ rozejmowy, działania wojenne wstrzymane (traktat pokojowy został podpisany w Rydze 18 marca 1921 roku). Wuj Władek nadal przebywał w białostockim szpitalu. I oto pod sam koniec października, kiedy już dawno umilkły strzały, jakieś większe zgrupowanie rosyjskich żołnierzy zagubionych na tyłach frontu po polskiej stronie, na skutek szybkiego przesuwania się frontu na wschód, wtargnęło do Białegostoku, usiłując przedostać się do granicy czy też wtedy jeszcze linii zawieszenia ognia. Białystok mieli po drodze. To bolszewickie zgrupowanie naturalnie nie miało szans na zajęcie miasta, chciało przemknąć przedmieściami i dalej dążyć na wschód. Szpital znajdował się na przedmieściach miasta, na drodze owej grupy, acz lepiej w tym przypadku powiedzieć: bandy. Wywiązała się strzelanina. Podczas walki Rosjanie ci wtargnęli do szpitala, w którym leżał wuj Władek i tam mordowali chorych i rannych. No, i tak zginął, mimo że w kilka godzin białostocki garnizon poradził sobie z tą bolszewicką bandą. Dokładniej – był ciężko bardzo ranny i zmarł 1 listopada 1920 roku”].



84. Powrót Komendanta.

[Ze wspomnień Jana Gawrońskiego [w:] *Rok 1918 we wspomnieniach mężów stanu, polityków i wojskowych*, wybrał i oprac. Jan Borkowski, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1987]

[...] Wraca z Niemiec komendant. Lada chwila spodziewany pociąg. Wybiegam. Jeszcze ciemno. Na peronie czeka Zdzisław Lubomirski – stoi sam z adiutantem [Stanisławem] Rostworowskim, inne grupki czekających nie zbliżają się do niego. Wiem od Mury, że na mieście panuje nastrój wrogi regentom i że dziś były manifestacje żądające ich ustąpienia. Podchodzę: serdecznie jest zdziwiony moją tu obecnością i moim mundurem. Zaczynamy gawędzić, wyglądając pociągu. „Co za szczęście, że zdołaliśmy uzyskać zwolnienie Piłsudskiego! To ostatnia nadzieja. Może on potrafi opanować sytuację. Bo Rydz zdradził. Kilka dni temu przysięgał na wierność Radzie Regencyjnej, a teraz przeszedł do »rządu« w Lublinie. Zamiast nam pomagać w utrzymaniu porządku – wicherzy. Nigdy nie miałem zaufania do tego malarza”.

Ale pociąg już się zbliża. Napięcie rośnie. Pierwszy wychodzi Piłsudski, w szaroniebieskim płaszczu wojskowym i takiejże maciejówce, chudy, smukły, spod sumiastego wąsa zdaje się przeziierać uśmiech. Sprężystym krokiem idzie prosto do Lubomirskiego, z którym wita się bardzo serdecznie. Zdaje się żartować, ale regent nader poważnie mu coś klaruje. Po chwili wuj zabiera go do swego samochodu i wiezie do siebie na Frascati.

[Był 10 listopada 1918 r. Józefowi Piłsudskiemu towarzyszył płk Kazimierz Sosnkowski, wraz z nim zwolniony z twierdzy w Magdeburgu].



85. Warszawa wolna.

[Z pamiętników Bohdana Hutten-Czapskiego [w:] *Rok 1918 we wspomnieniach mężów stanu, polityków i wojskowych*, wybrał i oprac. Jan Borkowski, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1987]

[...] W Warszawie przewrót rozwijał się w pełni. W nocy [z 10] na 11 listopada oddziały POW – przeważnie studenci – ale i dawni dowórcy zaczęli w różnych punktach miasta rozbijać poszczególnych wojskowych niemieckich. Żołnierze polscy zajęli Belweder, mosty na Wiśle i park samochodowy. Żołnierze niemieccy przeważnie odmawiali posłuszeństwa oraz użycia broni przeciwko powstańcom polskim. Planowo więc rozbrojono Niemców, zajęto niemieckie urzędy, koszary i magazyny, zdobyto w ogromnych ilościach broń, amunicję, materiały, pieniądze i akta.

Przez cały ten czas generał-gubernator von Beseler siedział zupełnie sam na Zamku i nie pokazywał się nikomu. W tym strasznym położeniu Nethe okazał całą siłę swego charakteru. W swym pokoju, dawniej wypełnionym przez osoby składające raport, sam z wiernym swym adiutantem von Bredowem palił w wielkim piecu najważniejsze i najtajniejsze papiery generał-gubernatorstwa. Nethe musiał się z tym liczyć, że zostanie pierwszą ofiarą powstania polskiego, nie miał jednak na względzie własnej osoby. Opracował plan, niedający się już zresztą przeprowadzić, przebiecia się do granicy niemieckiej z wojskami, częściowo już rozbrojonymi. Z okna swego mógł widzieć oddziały Polaków, Alzaczyków i komunistów, którzy jeszcze w swych mundurach niemieckich, ale z biało-czerwonymi i czerwonymi, a nawet trójkolorowymi chorągiewkami przeciągali ulicami i wznosili okrzyki na cześć Polski, Francji i rewolucji albo wyzwiska na Niemcy. Wielu oficerów straciło głowę i opuściło swe stanowiska, niektóre jednostki okazywały nawet rewolucjonistom swe sympatie. [...]

Okolo jednej trzeciej garnizonu warszawskiego nie było zdemoralizowane, a mianowicie, pułk aspirantów oficerskich i dwa bataliony landszturmu. Wzbraniały się one oddać broń i trzymały Cytadelę obsadzoną. W tych warunkach mogło dojść do strasznego, a bezcelowego i bezsensownego rozlewu krwi. Na szczęście Piłsudski interweniował osobiście zaraz na początku w sprawie rozbijania i czuwał nad spokojną likwidacją okupacji.

W dniu 11 listopada około godz. 9 rano Piłsudski udał się do utworzonej dopiero co warszawskiej rady żołnierskiej, urzędującej w gmachu gubernatorstwa,



obleżonym przez tłum, i miał tam przemowę. Wezwał żołnierzy, aby bezwarunkowo posłuszni byli swej nowej władzy – radzie żołnierskiej, gdyż tylko w tym wypadku będą mogli szczęśliwie powrócić do swego kraju. Naród polski nie pożąda zemsty za grzechy rządu niemieckiego. Ani jednej kropli krwi więcej! Jeżeli żołnierze nie będą prowokować narodu polskiego, obiecuje wszystkim bez wyjątku powrót do ojczyzny. Przydzielił do rady żołnierskiej oficera łącznikowego, w osobie por. Ign[acego] Bernera, który dał jej wartość ochronną i nakłonił tłum do rozejścia się.

Nazajutrz Piłsudski wydał odezwę, w której oświadczył, że obejmuje Naczelną Komendę nad siłą zbrojną Polski i że wskutek przewrotu w Niemczech okupacja przestaje istnieć. Społeczeństwo nie powinno „dać się porwać uzasadnionym uczuciom gniewu i zemsty”, lecz pozwolić na wyjazd Niemców „w najzupełniejszym porządku”, należy zachować „zimną krew, równowagę i spokój, jaki powinien panować w narodzie, pewnym swej wielkiej i świetnej przyszłości”.

Po długotrwałych naradach rozpoczęła się w dniu 13 listopada, przy poparciu szybko zorganizowanych polskich władz kolejowych, ewakuacja niemieckiego wojska i urzędników. Zgodnie z układem zawartym między Piłsudskim a radą żołnierską broń oddawano na granicy. [...]

Jeśli wziąć pod uwagę, że liczba ewakuowanych wynosiła około 80 000, z czego z samej Warszawy 12 000 wojskowych i 18 000 urzędników oraz służby pomocniczej i sanitarnej; że dalej – niemieckie wojsko i urzędnicy byli skutkiem rewolucji wewnętrznie dezorganizowani, kraj zaś znajdował się w pierwszym stadium organizacji, w szczególności zaś koleje zostały nagle opuszczone przez urzędników okupacyjnych, a jeszcze nie przejęte przez Polaków i musiały na nowo być zorganizowane; wtedy trzeba przyznać, że ten olbrzymi wysiłek dokonany został w tak krótkim czasie dzięki wyteżonej, ofiarnej współpracy obu stron i trzeba podziwiać, że nieuchronne trudności i nieprzyjemności nie były większe. [...]



86. Zerwane łańcuchy, groźna chmura.

[Ze wspomnień Jędrzeja Moraczewskiego [w:] *Rok 1918 we wspomnieniach mężów stanu, polityków i wojskowych*, wybrał i oprac. Jan Borkowski, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1987]

[...] Niepodobna oddać tego upojenia, tego szału radości, jaki ludność polską w tym momencie ogarnął. Po 120 latach przysły kordony! Nie ma „ich”! Wolność! Niepodległość! Zjednoczenie! Własne państwo! Na zawsze! Chao)s? To nic! Będzie dobrze. Wszystko będzie, bo jesteśmy wolni od pijawek, złodziei, rabusiów, od czapki z bączkiem, będziemy sami sobą rządzeni. W ciągu dwóch dni nie było śladu po symbolach panowania Austriaków. Kto tych krótkich dni nie przeżył, kto nie szalał z radości w tym czasie wraz z całym narodem, ten nie dozna w swym życiu najwyższej radości. Cztery pokolenia nadaremno na tę chwilę czekało, piąte doczekało. Od rana do wieczora gromadziły się tłumy na rynkach miast; robotnik, urzędnik porzucał pracę, chłop porzucał rolę i leciał do miasta, na rynek, dowiedzieć się, przekonać się, zobaczyć wojsko polskie, polskie napisy, orły na urzędach, rozczulano się na widok kolejarzy, ba, na widok polskich policjantów i żandarmów.

Radość ta oddziaływała na okupację niemiecką. Ruch przeciw Niemcom wisiał w powietrzu. Podziemna robota wojskowa wrzała gorączkowo. Skąd można było, wydobywano broń, amunicję. Szeregi POW rosły jak na drożdżach. Oficerowie uciekali z Benjaminowa, szeregowcy legionowi z Łomży. Wieści napływające z Niemiec rozstrajały okupantów. Sprężystość, pewność siebie, siła Niemców w Królestwie malała z każdym dniem. To dodawało nam otuchy, pewność ustąpienia Niemców z ziem polskich zwiększała się w naszym społeczeństwie.

Tylko groźna chmura zaciemniała nadzieje na bliskie zjednoczenie wszystkich ziem polskich w niepodległym państwie, a tą był Lwów i wschodnia Galicja. Rozpoczęta walka na ulicach Lwowa toczyła się z niesłychaną zaciętością. Po stronie polskiej walczyła garść młodzieży i robotników, która zdołała się zgromadzić koło dworca kolejowego i w zachodnich dzielnicach Lwowa. Chłopcy 13-letni walczyli jak starzy żołnierze. W szeregach walczyło sporo kobiet. Zdobywano i tracono kamienice, ulice, place. Artyleria ruska ostrzeliwała miasto z Wysokiego Zamku. Co chwila wybuchały pożary. W czasie tych walk ulicznych, trwających prawie trzy tygodnie, niepodobna było zaopatrywać miasto w żywność, nie mogło być mowy o służbie sanitarnej, o bezpieczeństwie. Niewalczący chowali się do piwnic zziębnięci, wygłodzeni, zdenerwowani, dziesiątkowani przez choroby.



Szkoły zamieniono w szpitale przepelnione rannymi, chorymi, umierającymi. Najpotworniejszym wieściom dawano wiarę, nie mogąc z powodu odcięcia od Polski skontrolować plotek. A mimo tego pewność siebie, wiara w swe siły, w swój zapal dodawały naszym szeregom zaciętości i uporu koniecznego do zwycięstwa.

* * *

[Kazimierz Sosnkowski, *Przemówienie radiowe z okazji 15. rocznicy odzyskania niepodległości (listopad 1933)* [w:] *idem, Wybór pism*, oprac. Jerzy Kirszak, Wrocław 2009]

[...] zbudzona do życia Rzeczpospolita znalazła się w położeniu przerastającym, zda się, możliwości ludzkie. Gdy świat cały zaczyna odpoczywać po długotrwałej burzy, wokół ziem polskich, zniszczonych, wyczerpanych, wyzutych ze wszelkich zasobów, wokół zgliszczy jeszcze dymiących, zamilkłych fabryk i warsztatów, wokół pól zoranych granatami, rozpała się szereg nowych pożarów. Międzynarodowych aktów prawnych, konstytuujących młode państwo polskie – nie ma jeszcze żadnych.

Trzeba bić się o istnienie, bić się o granice, pamiętając, że przede wszystkim od nas samych zależeć będzie ich przebieg, że pióro dyplomatów lubi obwodzić kontury, wykreślone zwycięskim bagnietem. [...]



kampania przeciwko emigracji polskiej po r[oku] 1863. My ani jednego nie posiadamy świstka, co by sprawy naszej stale, obowiązkowo bronił. Podczas kiedy Moskale i Niemcy opinię publiczną światową bałamucają swobodnie, w obronie naszej kiedy niekiedy ten lub ów dziennik odzywa się z łaski. Czy tak być powinno? Czy we względzie tym na łaskę, na to, że publicysta jakiś o Polsce sobie przypomni, spuszczać się można? [...]

